



**MAREK
KRAJEWSKI**

NIE JESTEM JUŻ CZŁOWIEKIEM

BŁAGANIE

JESTEM ZEMSTĄ

O ŚMIERĆ

znak

MAREK KRAJEWSKI

**BŁAGANIE
O ŚMIERĆ**

**WYDAWNICTWO ZNAK
KRAKÓW 2022**

PROLOG

15 maja 1919 roku



WROCLAW

ASYSTENT POLICYJNY EBERHARD MOCK właśnie się dowiedział, że jest mordercą.

To oskarżenie nie miało żadnej mocy prawnej, nie padło ani z ust prokuratora, ani sędziego. Nie było złowrogą tezą, którą zaraz udowodni jakiś złotousty sługa Temidy. Wyszło ono mianowicie z za pożółkłych od nikotyny wąsów medyka sądowego Wolfganga Lasariusza.

Jak wiele rzeczy na świecie, ów zarzut miał też drugie dno. Za jego literalną treścią kryła się mieszanina uczuć: niechęć, zwątpienie, a nawet pewien rodzaj desperacji, w jaką w ostatnich godzinach popadł doktor.

Obaj mężczyźni stali na środku sali sekcyjnej Instytutu Lekarsko-Sądowego. Za ich plecami rozpościerały się amfiteatralne pulpity dla studentów oraz wielkie okna z oprawionymi w mosiężne ramki nieprzezroczystymi szybami.

Stanowiły one barierę dla podglądaczy, rekrutujących się spośród okolicznej dzieciarni. Tuż po wybudowaniu medycznego kampusu Królewskiego Śląskiego Uniwersytetu Fryderyka Wilhelma wiedzione ciekawością podwórkowe łobuzy – unikając czujnych oczu uczelnianych pedli – przeskakiwały przez parkan i z gałęzi nielicznych młodych kasztanowców, rosnących pomiędzy budynkami z czerwonej cegły, oglądały rozcięte zwłoki na stołach sekcyjnych, delektując się żalosnym *spectaculum mortis*[1].

Ktoś z władz wydziału medycznego w końcu uznał, że ten widok nie jest przeznaczony dla postronnych obserwatorów, a zwłaszcza dla dzieci. Ponieważ woźnym nie udawało się skutecznie odpędzać intruzów, zarządzono wprawienie w okna mlecznych szybek.

Nie przepuszczały one zatem ciekawskich spojrzeń, ale za to musiały zapewnić dostęp świeżego powietrza – co w tym właśnie pomieszczeniu było wręcz niezbędne. Dla spełniania tej wentylacyjnej funkcji górny, najwyższy rząd szybek

odchylał się ku wnętrzu dzięki specjalnym mosiężnym dźwigniom zamontowanym pomiędzy futrynami.

Otwarte oberlufty niewiele jednak dawały w tym dniu – nadzwyczaj ciepłym, dusznym i bezwietrznym. Najłżejszy nawet podmuch nie rozwiewał kłębu miazmatów.

Na obu obecnych tu mężczyznach nie robiły one jednak najmniejszego wrażenia. Nie byli bynajmniej nowicjuszami w medyczno-sądowym świecie.

– Ja wiem z góry. – Lasarius wskazał na ludzką istotę leżącą na stole sekcyjnym. – Doskonale wiem, Mock, co zaraz ujrzę, kiedy rozkroję to ciało. Nawet bez obdukcji mogę panu podyktować raport...

Ujął w dłoń cygaro marki Sułtan, które – odłożone wcześniej na brzeg stołu – rozsiewało wokół ciężki, duszący aromat.

Zaciągnął się, co było nader rzadkie u palaczy cygar i nawet u tych najbardziej doświadczonych wywoływało na ogół krótki atak kaszlu. Ale nie u doktora.

Wypuścił nosem i ustami smużki dymu.

– Wie pan, co jest najgorsze w tej całej tragicznej sprawie? – zapytał i zaraz sam sobie odpowiedział: – Że pan podaje w wątpliwość rację mojego działania, a ono jest racją mego istnienia. Po co mam kroić tego nieszczęsnego nieboszczyka, Mock? Po co mam wykonywać moją pracę, jeśli obaj wiemy, co zobaczymy w środku? Niech no pan mi powie, do czego ja jestem tutaj potrzebny? Pan nie potrzebuje mojej ekspertyzy, pan wszystko wie, bo to właśnie pan go zabił!

Policjant nic nie odpowiedział. Spoglądał długo na Lasariusza spod opuchniętych, zaczerwienionych powiek. Spał zaledwie cztery godziny – mniej więcej od trzeciej nad ranem, kiedy to uczynny fiakier pomógł mu – pijanej, bezwładnej bryle mięśni – wgramolić się na pięterko mieszkania. O siódmej rano obudził go wściekły ojciec, narzekający, że w ich wspólnej sypialni śmierdzi jak w gorzelnii.

Eberhard – trawiony teraz przez bezsenność i wysuszony przez kaca – nie był w nastroju do wysłuchiwania połajanek Lasariusza. Nie miał też zamiaru prosić

o wyjaśnienie postawionego sobie zarzutu ani tym bardziej kajać się przed hamletyzującym doktorem, który dotąd wydawał mu się wcieleniem naukowej powagi i przykładowej wręcz powściągliwości.

Aby uspokoić swoje budzące się gwałtowne reakcje na te oskarżenia, przeniósł wzrok z twarzy medyka na jego mocne palce ściskające cygaro. Przez chwilę zastanawiał się – nigdy nie miał odwagi o to zapytać – co sprawiło, że skóra Lasariusza na twarzy i na dłoniach jest jakby pocętkowana: jakiejś choroby to skutek czy chemikaliów z laboratorium?

Zadawszy sobie to pytanie, nie wiadomo, który to już raz w życiu, odwrócił wzrok od rozgniewanego rozmówcy. Nie podobało mu się to spojrzenie – wyzywające i palące jak płomień.

„Odciać się od jego wzroku to jedno, a uspokoić wewnętrznie, to drugie” – pomyślał.

Wiedział jednak, jak zrobić „to drugie”. Po prostu musiał skupić się na czymś innym. Na przykład na Willibaldzie Mocku, swoim ojcu, dobiegającym osiemdziesiątki emerycie, z którym dzielił pokój nad dawnym sklepem rzeźniczym, jaki im przypadł w spadku po śmierci stryja Eduarda na odległym wrocławskim osiedlu Klein Tschansch[2].

Przypomniał sobie, jak to dzisiaj rano – zresztą tak jak zawsze – ów emerytowany szewc z Wałbrzycha szurał kapciami po starych trzeszczących deskach podłogi, stukał oknami, które zdołały się już wypaczyć i przepuszczały chłód i wilgoć, oraz klekotał źle dopasowaną szczęką. Usłyszał w myślach, jak stary go krytykuje za wczorajsze pijaństwo. W tym przypomnieniu dopadły go znowu obelgi, które padły z ust ojca:

– Huncwot, pijanica!

Przypomniał sobie ból zacięcia na policzku, gdy jeden z epitetów – moczymorda – wydał mu się nadzwyczaj dotkliwy. Nie opanował wtedy drżenia dłoni i brzytwa przecięła naskórek. Dotknął teraz małej ranki, pociągniętej ałunem, i uśmiechnął się nieznacznie.

Pod wpływem tego lekkiego bólu wrócił spokój i pogodna rezygnacja.

„Wystarczy pomyśleć o starym, by zapomnieć o tym wściekłym konowale” – takie znalazł sobie remedium na pełne złości spojrzenia i słowa Lasariususa.

Był to – obok odliczania po grecku i po łacinie – sprawdzony sposób, aby powstrzymać się od wybuchu irytacji. Wystarczyło tylko przypomnieć sobie dawne smagnięcia różgą, ciosy kułakami i obecne poranne marudzenie własnego ojca.

– Oczywiście! No tak! Oczywiście! – Lasarius był najwyraźniej rozsierdzony. – Może pan milczeć! Może mi pan dalej okazywać pogardę! Może pan powiedzieć w myślach: odczep się, stary wariacie, ja nikogo nie zabiłem!

Mock pokiwał głową, jakby tym gestem potwierdzał taką właśnie deklarację.

– No pewnie, że nie zabiłem! – Lasarius przedrzeźniał jego wymyśloną wypowiedź i wskazywał palcem na dłonie policjanta. – Nie pobrudziłbym sobie przecież rączek ani nawet moich ulubionych zamszowych rękawiczek! Ja nikogo nie zamordowałem, ja tylko wykorzystałem wiadomość od Lasariususa, który powiedział o jedno słowo za dużo!

Ktoś inny, słysząc wzmiankę o rękawiczkach, wzruszyłby może ramionami i uznałby ją za bredzenie, ponieważ dłonie Mocka ze starannie przyciętymi paznokciami były teraz pozbawione jakiegokolwiek okrycia. Medyk nie wiedział o tym, od lat nie dowiedział i od lat odmawiał obstalowania sobie silniejszych binokli, przez co obdukcje wykonywał, pochylając głowę bardzo nisko nad badanym ciałem i uzyskując tym samym wśród policjantów i studentów przydomek Pancerny Nos.

Teraz – najzupełniej zresztą nieświadomie – zadał Eberhardowi bolesny cios. Rzeczywiście, jeszcze niedawno miał on rękawiczki. Eleganckie i drogie. Kupione w pierwszorzędnym salonie mody męskiej pod szyldem „Brauner & Fronzek” przy Reuschestrasse[3] 69. Piękne, jasnobrązowe, pokryte subtelnym meszkiem. Drogi prezent. Stary Willibald Mock wysupłał ostatnie oszczędności i dał je synowi, gdy ten wrócił z wojny. Góry uskładanych przez lata drobniaków wyrażały ojcowską dumę z Ebiego – dzielnego żołnierza, walczącego na froncie wschodnim.

– Kup sobie eleganckie rękawiczki, synu. Zaslugujesz na to – powiedział wtedy stary.

Eberhard kupił i dwa tygodnie później zgubił je po pijanemu.

Następnego dnia resztki ojcowskiej dumy wyparowały. Zamieniła się ona w niechęć skutkującą litaniami gorzkich i złośliwych wymówek. Na wzajemność stary szewc nie musiał długo czekać.

Kiedy później Eberhard myślał o tym, co się stało w prosektorium po wzmiance o rękawiczkach, nie mógł zrozumieć, dlaczego ta reminiscencja, akurat ta niezamierzona złośliwość tak wzburzyła jego organizm, powodując silne nudności. Spornych punktów pomiędzy ojcem i synem było przecież wiele, co więcej, wspomnianie ich służyło Eberhardowi do opanowania nerwów. Ponadto gubił po pijanemu mnóstwo rzeczy – dokumenty, pieniądze, a kiedyś nawet akta pewnej sprawy kryminalnej.

Za to, co się teraz wydarzyło, nie winił też prosekteryjnego odoru. Był do niego przyzwyczajony, a przed eksplozją trzewi spędził tu dobry kwadrans.

O tym pomyślał później, ale teraz chwycił się za usta i pobiegł w stronę wyjścia.

Medyk stał i bacznie obserwował policjanta, trzymając w ręku skalpel, z którego krew spływała mu na czarne kauczukowe rękawiczki. Nigdy jeszcze nie widział Mocka w tak ponurym stadium alkoholowej choroby.

Eberhard otarł usta i zataczając się lekko, stanął przed budynkiem, a potem pokuśtykał w stronę ławki. Kulał, kawałek metalu w udzie – pamiątka wojenna – przypominał o sobie przy każdym kroku. Usiadł ciężko. Wysuszone usta, sztywny język, szorstkie podniebienie – każde z nich się domagało wilgoci, błagało o jakiś płyn.

– Wszystkiemu winna ta śmierdząca sprawa – zacharczał Mock sam do siebie. – Ten cholerny bokser.

Na szczęście miał płyn. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął małą buteleczkę. Gdy wychodził do pracy, zabrał ją ze specjalnej skrytki w podłodze

dawnego sklepu rzeźniczego.

Uniósł teraz flaszeczkę do ust. Ulubiona nalewka z derenia przyjemnie paliła gardło. Po kilku łykach odetchnął z ulgą. Otarł usta wierzchem dłoni.

Już nie nazywał tej sprawy „śmierdzącą”, już nie przeklinał śledztwa, jakie niedawno prowadził.

Po łyku dereniówki cały Wrocław pachniał w swej wiosennej krasie.

[1] Spektakl śmierci (łac.).

[2] Obecnie Księża Małe.

[3] Obecnie ul. Ruska.

WROCŁAW

kwiecień 1919

I *Przed atakiem*

NA POCZĄTKU KWIETNIA SŁOŃCE nad Wrocławiem w ciągu dnia prawie nie znikało. W rześkie zimne poranki jaśniało mocno i dumnie na nieboskłonie, tylko popołudniami jego blask tracił nieco ze swej siły, przytłumiony fabrycznymi dymami, które gęsto rozsnuwały się nad miastem i wciskały w ceglaste kaniony wysokich domów, skąd nie przepędzał ich najłżejszy nawet powiew.

Przed drugą po południu kłębiły się one zwłaszcza w studniach pomiędzy kamienicami, w tych wszystkich tylnych podwórkach, gdzie zalegały między ścianami oficyn.

Panna Herta Rossenbach zdołała się już przyzwyczaić do mdlącego nieco dymu, snującego się przy takiej właśnie pogodzie na wąskim i małym dziedzińcu za narożną kamienicą przy Agnesstrasse[4] i Gartenstrasse[5], na tyłach kina Kronprinz. Mieszkała tutaj od dobrych dwóch lat w niewielkiej murowanej przybudówce, służącej niegdyś mieszkańcom oficyny za skład drewna, a później wykorzystywanej przez miejscowego szlifierza jako warsztat do ostrzenia narzędzi domowych. Mieszkanki kamienicy frontowej i oficyn wciąż nazywały to pomieszczenie „warsztatem”, ale – dodawały z przekąsem – „takim, gdzie można zdobyć weneryczne szlify”.

Istotnie, panna Rossenbach wykonywała najstarszy zawód świata, jednak – wbrew obmowom – nigdy nie pracowała w tej ciemnej ceglanej norze zaopatrzonej w jedno zakratowane okienko. Miejscem jej zarobkowania był dom publiczny na Charlottenstrasse[6], tutaj zaś mieszkała ze swoją roczną córeczką Bettiną.

Tam nie zwracała przesadnej uwagi na nieporządek, a nawet na brud kryjący się po kątach pokoików otulonych blaskiem czerwonych lampek, tutaj każdy centymetr kwadratowy podłogowych desek był przez nią wypucowany. Tutaj każde

dziecięce ubranko składała starannie i umieszczała w szufladach komody pomalowanej przez siebie własnoręcznie białą olejnica, a wszystkie makatki z wizerunkami słodkich bobasów wiszące na ścianach, a zwłaszcza nad kołyską Bettiny, zostały oprawione w ramki, tworzące idealne kąty proste. Tam była praca, tu – kipiało młode życie, dla którego brud mógłby stanowić zagrożenie.

Kiedy tego dnia panna Rossenbach odebrała dziecko od znajomej praczki i szła teraz z wózkiem przez podwórko – wyprostowana, zgrabna, smukła – słyszała gwizdy i pokrzykiwania miejscowych łobuzów, z których każdy grzeszył z nią w myślach, gdyby jednak stanęła naga przed jednym czy drugim – tego była pewna – żaden nie sprostałby erotycznemu zadaniu. Słyszała też gniewne posapywania służących, które zazdrościły jej urody, ponieważ widziały, jakie wrażenie robi na mężczyznach jedna zwłaszcza ozdoba jej powabnej sylwetki – duży biust, o przytuleniu się do którego marzył niejeden jej sąsiad.

Choć plotkowały i obsmarowywały ją zażarcie, szepcząc o orgiach, w których bierze udział – co nie odbiegało, nawiasem mówiąc, od prawdy – to jednak te zawistnice musiały przyznać jedno: jej nędzna izdebka lśniła czystością, wszystko było poukładane jak w pudełku, a mała Bettina nigdy nie była głodna i miała zawsze wyprane śpioszki.

Toteż Herta bardzo się zdziwiła, gdy teraz weszła z wózkiem do swego lokum i ujrzała, że pod piecykiem kozą brakuje drewna. Była pewna, że dzisiaj rano leżał przygotowany wystarczający jego zapas.

Nie miała czasu na zastanawianie się, co też się z nim stało. Należało działać, zwłaszcza że Bettina mogła się zaraz obudzić.

Herta zostawiła śpiące maleństwo w izdebce, zamknęła drzwi na klucz, weszła kuchenną klatką schodową do kamienicy, gdzie w piwnicy miała niewielką komórkę na opał.

Instynktownie wyczuła tam czyjąś obecność. Chciała krzyknąć. Nie zdążyła.



Po południu nad miastem wisiała półprzezroczysta zawiesina przemysłowych wyziewów.

Jej dręczącą obecność – dla większości zupełnie niewidoczną i nieodczuwalną – zauważali tylko wrażliwi i chorowici mieszkańcy. Gruźlicy przeklinali męczący ich kaszel i niecierpliwie wypatrywali Świąt Wielkanocnych, kiedy fabryki staną i miasto znów odetchnie świeżym powietrzem.

Gospodarni i utrudzeni działkowicze narzekali natomiast nie tyle na fabryczny pył, ile na brak deszczu, co zapowiadało kiepskie zbiory warzyw, zwłaszcza ziemniaków, które w ten mizerny powojenny czas były jedyną nadzieją na odpędzenie głodu.

Panna Therese Berger nie należała do żadnej z tych grup społecznych. Mimo zbliżającej się sześćdziesiątki ta niewysoka niewiasta, o której jej podopieczne szeptały, że „łatwiej ją przeskoczyć, niż obejść”, stanowiła okaz zdrowia i krzepy.

Nie była specjalnie pobożna, a zatem święta pozostawiała ją całkiem obojętną, ich leczniczo-wentylacyjnego aspektu również nie odczuwała, ponieważ, jak twierdziła, wyziewy fabryk nie mogły już bardziej zaszkodzić jej płucom przez lata doświadczanych mocną, tanią machorką. Jeśli już na coś – poza katarem – chorowała owa zażywna, pyskata i pogodna niewiasta, to przed laty, gdy od pewnego polskiego studenta złapała była wstydliwą chorobę, na szczęście nie tę najbardziej niebezpieczną. Ogródka działkowego również nie posiadała, a jej znany wielu wrocławianom interes wciąż się kręcił mimo trudnych powojennych lat.

W tramwaju miejskiej linii numer 18, którym jechała od samej pętli przy kościele Karola Boromeusza, było gorąco, ponieważ jakaś starsza dama, bojąc się przeciągu, nie pozwoliła konduktorowi na otwarcie okna. Kiedy indziej panna Berger pewnie by się wdała w ostrą wymianę zdań z ową hipochondryczką i wymusiłaby przewietrzenie wnętrza pojazdu, ale nie dzisiaj. Tego dnia była w bardzo dobrym humorze.

Zbliżał się wyjątkowy wieczór, gdy kilku zamożnych panów, zawsze tych samych, pod wodzą młodego, lecz już sławnego adwokata doktora Arthura

Freymorgena wynajmowało piątkę jej dziewcząt na dwie noce.

Takie zapotrzebowanie ów zamożny zleceniodawca zgłaszał cztery razy w roku. Pierwsze zazwyczaj około wiosennego przesilenia. Do panny Berger przychodziło wówczas stosowne i eleganckie zaproszenie z dołączonym czekiem na pokaźną sumę datowanym na tydzień wprzód. Otrzymawszy ów dokument, przystępowała do koniecznych przygotowań. Do erotycznej misji typowała najlepsze dziewczęta, których zdrowie było bez zarzutu. Przed wyjazdem nie pracowały przez kilka dni, nabierając sił. W ustalony dzień osobiście je odwoziła na stację kolejki wąskotorowej Wrocław-Partynice.

Gdy przyjeżdżały do Sobótki, zajmował się nimi stangret wspomnianego prawnika. Zabierał je powozem do pięknego myśliwskiego domu pod masywem góry Ślęży. Tam doktor Freymorgen oraz czterej jego przyjaciele urządzali sobie, jak sami mówili, „święto satyrów”, płacąc dziewczętom za wymyślne brewerie dodatkowe jeszcze honoraria. Potem nasyceni, choć osłabieni na ciele i duchu panowie wracali do żon, dziewczęta zaś – wymęczone ich uściskami – do Wrocławia, by tam odespać dzikie ślęzańskie noce. Panna Berger realizowała wtedy czek, po czym regulowała zaległe rachunki, uiszczała komorne za kilka miesięcy z góry oraz odliczała kwoty na stałe wydatki.

Święta satyrów odbywały się cztery razy w roku i każde z nich miało specjalną nazwę. Po Świącie Barana, jak określali wiosenną orgię, następowała wkrótce Noc Walpurgi, potem zaś dwie inne swawole – Noc Świętojańska, a na koniec Święto Jemioły tuż przed Bożym Narodzeniem.

Aby jednak nastąpiły te radosne chwile, panna Berger musiała spełnić *condicio sine qua non* Freymorgena. Ponieważ i on sam, i jego przyjaciele byli zdecydowanie przeciwni używaniu prezerwatyw, warunkiem uczestnictwa w owych orgiach był nieskazitelny stan intymnego zdrowia wszystkich dziewcząt potwierdzony zaświadczeniem lekarskim.

I właśnie po owo zaświadczenie panna Berger teraz jechała do zaprzyjaźnionego lekarza doktora Rudolfa Epsteina.

Zaraz je dostanie, a potem wyekwipuje dziewczęta, zaopatrzy je na drogę i przekaże im kilka zwyczajowych i koniecznych ostrzeżeń. Dzień zapowiadał się zatem dobrze i nie miała zamiaru psuć go kłótnią w tramwaju z jakąś bojącą się przeciągów babą.

Pojazd zatrzymał się za wiaduktem kolejowym przecinającym Höfchenstrasse[7]. Wsiadła, posapując i opierając się na solidnej, okutej lasce, której potrzebowała głównie do obrony i do straszenia niewypłacalnych klientów. Przydawała się ona zwłaszcza teraz, gdy miasto wypełniały hordy zwolnionych z wojska młodych mężczyzn, wściekłych na cały świat i biednych jak myszy kościelne, którzy byli – owszem – bardzo spragnieni damskiego towarzystwa, ale płacić to już nie bardzo mieli czym. Od takich należało pobierać gotówkę przed usługą, a jeśli nie wyrażali na to zgody, gruba laska panny Berger wskazywała im drzwi, a nierzadko lądowała na ich grzbietach.

Kobieta skierowała się teraz w stronę narożnej kamienicy, mijając po swej lewej ręce miejską halę targową, pod którą tłoczyły się grupki naciągaczy i kieszonkowców. Przeszła przez ruchliwą ulicę, pozdrawiając znanego sobie dobrze grubego policjanta, kierującego tu ruchem, i zniknęła w bramie domu opatrzonego szyldem „Gartenstrasse[8] 30”, na którego parterze mieściła się narożna perfumeria Landsberga, nosząca wzięte od nazwy ulicy miano Garten-Drogerie.

Stróż na widok osoby będącej częstą pacjentką doktora Epsteina ukłonił się z pewną wyższością. Ktoś mu kiedyś szepnął, że owa niewysoka i pękata jejmość to burdelmama. Niezależnie od tego, czy była to prawda, czy też nie, osobom moralnie niepewnym nie zamierzał bić pokłonów.

Panna Berger, nie zważając na zadzieranie nosa przez dozorcę, wspięła się na pierwsze piętro z szybkością, o którą nikt by jej nie podejrzewał. Po chwili siedziała już w gabinecie Epsteina, którego otwarte okno wychodziło na ulicę, przepuszczając do środka zwyczajny tutaj hałas: pokrzykiwania policjanta i wysoki dźwięk policyjnego gwizdka, klaskanie końskich kopyt, dzwonienie tramwajów, niekiedy ryk ruszającego samochodu.



Rudolf Epstein wyglądał na lat czterdzieści. W rzeczywistości był dużo starszy – o czym panna Berger wiedziała od policjanta Eberharda Mocka, bywalca jej przybytku.

Ogólne zaniedbanie na ogół dodaje ludziom lat. To jednak nie dotyczyło doktora, może z tego względu, iż jego głowy nie miała się siwizna. Nieopilowane paznokcie, niedogolony zarost, brudny, wiecznie przekrzywiony krawat, zdefasonowane zakurzone buty czy woń stęchlizny bijąca z pokrytego plamami surduta, a także długie, rzadkawe włosy założone za uszy w połączeniu ze starannym wysławianiem się i częstym używaniem łaciny sprawiały, że jego rozmówcy brali go za lekko zaawansowanego w latach artystę, nie zaś za starego niechlujka, którym był w istocie.

Panna Berger instynktownie czuła sympatię do całego świata i zawsze starała się przyjaźnić z ludźmi, z którymi się widywała. Długo jednak nie mogła się przekonać do doktora Epsteina, który bywał najczęściej wobec niej oschły, rzeczowy, a nawet nieprzyjemny.

W końcu zrozumiała, że symbioza, czyli czerpanie wzajemnych korzyści, nie musi mieć żadnej podstawy emocjonalnej. Co więcej, wytłumaczyła sobie, że ekscentryczny nieco doktor z Gartenstrasse jest i tak o wiele lepszy niż jego poprzednicy, z których jeden za badania brał od dziewczyn premie w naturze, a inny, o znamiennym nazwisku Schwanzer[9], okazał się starym, obleśnym zboczeńcem.

Epstein nie patrzył na pannę Berger. Całą swoją uwagę poświęcał okularowi dużego mikroskopu, który stał na jego biurku. Na blacie leżały otwarte książeczki zdrowia pięciu jej dziewcząt, które dzisiaj wieczorem czeka ciężka praca. W kałamarzu tkwiła obsadka. Doktor po nią nie sięgał, jakby się wahał. Nie odrywał oka od mikroskopu i szeptał coś do siebie.

W końcu spojrzął na kobietę i wyrzekł cicho dwa łacińskie słowa:

– *Neisseria gonorrhoeae*.

– Nie znam łaciny – sapnęła ze złością panna Berger. – Możesz pan po ludzku?

Epstein odsunął się od biurka i uważnie spojrzał na swoją rozmówczynię. Jego źrenice były rozszerzone, ręce drżały.

– Nie podpiszę żadnego zaświadczenia, moja droga pani dobrodziejko – cedził słowa. – U jednej z pani dziewcząt, u Hertę Rossenbach mianowicie, stwierdziłem dwoinki rzeźączki. Trypra, mówiąc po ludzku, że pozwolę sobie zacytować szanowną panią...

Burdelmama poczuła się tak, jakby ją ktoś zdzielił obuchem w głowę. Grunt zaczął usuwać się jej spod nóg. O Hertę Rossenbach imiennie prosił sam pan doktor Freymorgen. Miał szczególną słabość do jej obfitego biustu, który dodatkowo powiększył swą objętość, ponieważ od roku karmiła córeczkę. Freymorgen uwielbiał Hertę i nie dzielił się nią z żadnym przyjacielem, a taka wymiana partnerek w czasie przyjęć pod Ślężą była normą.

Krągłości jej ciała tak bardzo przypadły do gustu zleceniodawcy, że nie chciał nawet słyszeć, aby Hertę – karmiącą matkę – zastąpiła inna dziewczyna z podobnymi walorami. Kategorycznie odmówił też zgody na zabranie przez Hertę dziecka do domku myśliwskiego. Nie trzeba dodawać, że zapłacił za nią podwójnie.

– Co on mi teraz powie? – W jej głosie zabrzmiała rzadko słyszana bezradność. – Zagniewa się na mnie! A może zrezygnuje? Czek będę musiała mu oddać? Stracę klienta i być może cały ten dobry, regularny zarobek! Dzięki niemu nędza nie zajrzała mi jeszcze w oczy!

– Nie mogę pomóc łaskawej pani. – Lekarz szybko uprzedzał jej prośby i sugestie. – Nie wystawię fałszywego zaświadczenia, nie wezmę dodatkowego honorarium za to kłamstwo.

– Takiś pan zasadniczy? – Panna Berger uśmiechnęła się znacząco. – A może zapłata w naturze? No, która z nich się panu najbardziej podoba, co? Czarna Julcia czy ruda Klarcia? Na całą noc, zupełnie gratis!

Doktor Epstein nieoczekiwanie kichnął. Odwrócił się. Dyskretnie i cichutko wytarł sobie nos. Jego oględne zachowanie dżentelmena dziwnie kontrastowało z bałaganem na biurku, na którym walały się pogryzione ołówki, zabazgrane kartki oraz kilka błyszczących, stłuczonych, cieniutkich szkiełek do mikroskopu.

– Doceniam pani łaskawość – rzekł w końcu, schowawszy chustkę do nosa w rękaw surduta. – Ale gdyby wyszło to na jaw... Gdyby panna Herta zaraziła teraz jakiegoś pacjenta z wyższych sfer... A ten pacjent sprawdziłby, kto jest jej lekarzem... To wtedy, moja szanowna pani... To w takim wypadku...

Nagle nieoczekiwanie popłynęła mu po policzku łza. Otarł ją i sapnął.

– Będę wobec szanownej pani szczery... Wtedy nie miałbym najmniejszych szans na stanowisko profesora uniwersytetu, o które od lat się ubiegam...

Pani Berger wstała. Była przygotowana na odrzucenie propozycji honorarium w naturze. Od asystenta policyjnego Eberharda Mocka wiedziała, że kuszenie Epsteina wdziękami dziewczęcymi czy nawet chłopięcymi – a o takie atrakcje też się mogła postarać – było bezskuteczne.

Lekarz miał tylko jedną namiętność. Morfinę. Jej zdobycie było dla zwykłego człowieka piekielnie trudne w powojennych czasach, gdy pokieraszowani weterani potrzebowali na gwałt tego specyfiku. Ale medyk, posiadający szerokie znajomości w kręgach aptekarzy, a nawet domorosłych chemików, mógł go zdobyć stosunkowo łatwo i tanio.

Jedyną namiętność zaspokajał zatem sam. Panna Berger nie miała niczego, czym doktor Epstein byłby zainteresowany i czym mogłaby go przekupić.

Zapłaciła lekarzowi honorarium za wykonanie badań i wyszła z gabinetu. Kiedy zamykała drzwi, usłyszała, jak trzaskają szuflady biurka. Do tych dźwięków dołączył delikatny brzęk szkła.

„Pewnie doktor już stuka paznokciem w swoją strzykawkę” – pomyślała.

Wyszła na ruchliwą ulicę zalaną przytłumionym już nieco słonecznym blaskiem. I nagle ta zdrowa kobieta zaczęła kaszleć, gdy niespodziewanie do jej

płuc doszła woń spalenizny. Dym z kotłowni Miejskiej Szkoły Rzemieślniczej[10], stojącej po drugiej stronie, buchał wprost na ulicę.

Cofnęła się do bramy. Od wejścia na górę powstrzymało ją nie tyle ponure spojrzenie stróża, ile słuszne zapewne przypuszczenie, iż Epstein już się pogrążył w narkotycznych majakach. Biła godzina czwarta po południu, oznaczając koniec jego dzisiejszej ordynacji. Panna Berger była ostatnią interesantką doktora.

Poczuła teraz zmęczenie i ciężar swoich lat. Stłumiła przekleństwo i opierając się o laskę, poszła ruchliwą główną ulicą miasta w stronę dworca. Przecznicę dalej mieszkała Herta Rossenbach.

Przez całą drogę wyzywała ją w myślach wulgarnymi słowami – tę idiotkę, która była na tyle głupia, że nie zaopatrzyła jakiegoś klienta w podstawową ochronę przed chorobą zawodową.

– Gdybyż to było tak dostępne w moich czasach jak teraz! – mówiła do siebie ze złością. – To ja bym na trypra nigdy nie zachorowała! A tutaj dawaj kondomy tym głupim pindom, wtłaczaj do tych durnych, rozczochranych łbów, że nie powinny pracować bez gumy! Wszystko na nic! Jak grochem o ścianę!

Chciała to wygarnąć Hercie. Lubiała tę dziewczynę, a szczególnie jej roczną córeczkę, i rzadko robiła jej wyrzuty, ale tym razem miarka się przebrała.

„Nie mogę stracić takiego klienta jak doktor Freymorgen”, myślała gorączkowo.

I nagle wpadła na pomysł.

„Jest nadzieja! Tak! Jest nadzieja! Może to nie jest tak wyraźne, takie widoczne, może ją trochę przypudruję i pójdę z nią do Schwanzera, a ten stary dewiant wystawi mi zaświadczenie za grubszą kwotę? Czasy są ciężkie, a ten potrzebuje czegoś, co nie jest tanie... Jest nadzieja!”

Kiedy kwadrans później przyszła do nędznej kwatery Herty Rossenbach przy Agnesstrasse[11] 13, zrozumiała, że na nadzieję trzeba będzie jeszcze poczekać.

Drzwi do mieszkania dziewczyny nie były zamknięte na klucz, co nieco zaniepokoiło burdelmame. W tych czasach zostawianie otwartego mieszkania

groziło natychmiastowym splądrowaniem tegoż.

W jednopokojowej klitce z zakratowanym okienkiem pod sufitem było zupełnie pusto. Panna Berger, obdarzona bystrym wzrokiem i znająca tutaj każdy kąt, natychmiast zauważyła coś wysoce niepokojącego, za co panna Herta prawdopodobnie nie odpowiadała. Dziewczyna nie tylko dbała o czystość swego lokum, ale wręcz obsesyjnie pilnowała, aby wszystkie rzeczy były zawsze na swoim miejscu. Irytowały ją nawet nieznaczne przestawienia przedmiotów, co wprawiało pannę Berger w nastrój skłonny do osobliwych facecji.

– Oj, poczekaj ty, moja księżniczko – mawiała do Herty z miną osoby, która dobrze zna życie. – Oj, zobaczysz, kiedy twoja Bettina podrośnie i zacznie chodzić, wtedy dopiero tu się zrobi galimatias! Mała ci wszystko do góry nogami przewróci. Przyzwyczajaj się!

Z tymi słowy przestawiała jakieś drobiazgi na stole i na półkach, a Herta – lekko zdenerwowana, ale i rozbawiona tymi głupimi psikusami – chwyciła przedmioty i odstawiała na miejsce. Młoda udawała, że się dobrze bawi, gdy stara rechotała radośnie.

Tym dziwniejsze wydawały jej się teraz zmiany w mieszkaniu Herty. Przede wszystkim aż raził oczy brak makatek, na których panna Rossenbach własnoręcznie haftowała wizerunki małych bobasów z kręconym lokiem nad czołem. Po tych trzech ozdobach zostały tylko puste, jaśniejsze nieco plamy na ścianach oraz połamane ramki na podłodze.

Dostrzegła też – co ją szczególnie dotknęło – brak sukienek dziewczynki. Były one prezentami od niej, to na nich panna Berger zostawiała ślad dobrego serca w postaci wyhaftowanych inicjałów B.R., czyli Bettina Rossenbach. Zwykle ciuszki dziecka leżały w szufladach komody, które teraz były lekko wysunięte i zupełnie puste.

Kołyska niemowlęcia stała w rogu pokoju i była pozbawiona kołderki, co dodatkowo zdziwiło i mocno zaniepokoiło przybyłą.

Kiedy zauważyła stojący w drugim rogu pokoju wózek dziecięcy, zrozumiała, że musiało się tu wydarzyć coś niedobrego. Wózek pozostał nietknięty, a kołderka oraz wszystkie – co do jednego – i letnie, i zimowe ubranka dziecka zniknęły.

Ogarnęła ją panika, a złe przeczucia zaczęły się kłębić w jej piersi. Momentalnie podjęła decyzję. Musi pójść do jedyne go policjanta, którego znała i szanowała, i zgłosić mu zaginięcie Herty Rossenbach i jej dziecka.

Wiedziała, że mężczyzna ten nie zlekceważy takiego doniesienia. Był bardzo opiekuńczy i czuły na niewieścią krzywdę. Nigdy nie lekceważył nawet błahych doniesień, jeśli dotyczyły one sprzedajnych dziewcząt. Wiele jej podopiecznych do niego wzdychało, ale on – poza zwykłym korzystaniem z ich wdzięków – nie dopuszczał nigdy do większej zażyłości.

Spojrzała na zegar wiszący nad kuchnią. Szedł kwadrans na piątą. Policjant ów był już dawno po pracy, a adresu miejsca jego zamieszkania nie znała.

Nagle – ku swej radości – przypomniała sobie, że dzisiaj jest walka bokserska na Kępie Strzeleckiej, a Eberhard Mock nie przeoczyłby żadnego pięściarskiego pojedynku.



Szły trzy kwadranse na szóstą po południu, gdy sędzia wyszedł na ring i oznajmił, że rozpoczęcie walki zostaje przesunięte o kwadrans z powodu awarii, jakiej uległ furgon wiozący Georga Mittaga i jego sekundantów. Bokser o tym nazwisku był przeciwnikiem Dużego Arniego, czyli Arnolda Behringera, zawodnika Wrocławskiego Związku Bokserskiego Kępa Strzelecka. Większość ze stu może kibiców całym sercem była za tym właśnie zawodnikiem i informację o spóźnieniu Mittaga uznała za próbę uchylenia się tegoż od walki.

– Walkower! Walkower! – krzyczeli. – Pieniądze zwracać!

Podeksytowani widzowie, niektórzy mocno już pijani, aby dodać mocy swoim słowom, walili kuflami o parkiet sali gimnastycznej.

– Spokój mi tu! – wrzasnął nieoczekiwanie potężny mężczyzna, który stanął koło sędziego. – Spokój ma być! Chcecie tu policji? Chcecie, jak ostatnio, ustawiać zasieki z krzesel?

Wypowiedziawszy te słowa, organizator zawodów Eugen Schlieps, szef Wrocławskiego Związku Bokserskiego Kępa Strzelecka, znany w mieście propagator sportu i filantrop, powiódł oczami po zgromadzonych. Nad czołem zjeżyły mu się ciemne włosy, jakby rozcięte na środku szerokim, jasnym pasmem. Ów osobliwy pas siwizny biegnący od czoła aż po kark był powodem, dla którego otrzymał przydomek Borsuk.

Tubalny głos Schliepsa i jego imponująca postura uspokoiły krewkich kibiców. Ci najbliżej ringu uśmiechali się do niego przymilnie, inni wracali już na swoje miejsca wśród szurania krzesel i pomruków, jeszcze inni pozdrawiali go uniesionymi kuflami. Słusznie mu się należało miano króla Kępy Strzeleckiej, które ten i ów teraz wypowiedział pod jego adresem. Do Schliepsa bowiem należała duża część obszaru tego malowniczego, zalesionego nadodrzańskiego zakątka Wrocławia wraz parkiem i zakładem rozrywkowym.

Willibald Mock i jego syn Eberhard nie wznosili wiwatów na jego cześć. Zupełnie inne targały nimi uczucia. Stary czuł się znudzony, młody – zawiedziony. Willibald najchętniej wróciłby do domu, wyszedł na podwórko i pogawędził z sąsiadami; Eberhard zaś sięgnąłby za pazuchę, by wyjąć drugą już tego dnia buteleczkę dereniówki. Syn stłumiłby w ten sposób gorzkie myśli, jakie wywoływała w nim wiecznie niezadowolona mina ojca – taka jak teraz, gdy siedział sztywno w swej czystej i niedoprasowanej koszuli z archaiczną kokardą pod źle ogoloną brodą.

Eberhard wymyślał ojcu rozmaite rozrywki – raz byli w ogrodzie zoologicznym, innym razem w cyrku Buscha, a kiedy indziej nawet w teatryku *variété* – wszystko po to, aby choć trochę zniwelować frustrację, jaką w starym wywoływało życie syna w tak oczywisty sposób niezgodne z ojcowskimi wyobrażeniami i marzeniami.

Willibald chciałby już bawić wnuki, tymczasem trzydziestosześcioletni Eberhard, przebywając, wedle słów starego, tylko „wśród złodziei i kurew”, małe miał szanse na spotkanie przyzwoitej kandydatki na żonę. Willibald chciał się przed wszystkimi chełpić synem, który „wyszedł z biedy, a jest wielkim panem”, tymczasem ten – rozstrojony wojennymi przeżyciami – staczał się coraz bardziej, pił z bandytami i obcował z kobietami sprzedajnymi.

Nie pomagały tu bynajmniej narzekania i wspomnianie dawnych uzdolnień Ebiego – do matematyki i języków obcych; nic nie dawało wypominanie porzuconych studiów^[12]. Ten – słysząc to wieczne marudzenie – w głębi ducha miał ochotę pięścią zamknąć ojcu gębę. Aby tego nie zrobić, próbował poprawiać sobie nastrój alkoholem. Bez skutku. Pod jego wpływem uczucie agresji wobec rodziciela się potęgowało. Eberhard kręcił się w błędnym kole nałogu, poczucia krzywdy i synowskich powinności.

Rozglądał się teraz po sali gimnastycznej bardziej z nudów niż z zainteresowania. Patrzył na drabinki, z których zwisały żółto-czerwone proporczyki Wrocławskiego Związku Bokserskiego Kępa Strzelecka z dumnie wyhaftowaną datą powstania tej instytucji – 1912. Przyjrzał się prowizorycznemu ringowi z wiotkimi linami konopnymi, przerobionemu zapewne z podium dla orkiestry, gdzie kręcili się nerwowo dwaj ludzie z ekipy Behringera, trzymający w rękach wilgotne i podarte na małe kawałki prześcieradła, które mieli moczyć w wiadrze z zimną wodą, by potem okładać nimi opuchlizny na twarzy swego podopiecznego.

Eberhard był pewien, że tutaj nie ujrzy tak emocjonującej walki jak słynne starcie stulecia z roku 1910 na ogromnym stadionie pod gołym niebem między amerykańskimi bokserami wagi ciężkiej – Jimem Jeffriesem i jego czarnoskórym rodakiem Jackiem Johnsonem, który wygrał po piętnastu rundach morderczego znoju. Dwudziestośmioletni Mock siedział wtedy wraz w tysiącem widzów w kinie Colosseum przy Nikolaistrasse^[13] i gryzł palce z ekscytacji. Dwugodzinny film przedstawiający tę walkę był oszałamiającym powiewem wielkiego świata,

katalizatorem emocji, jakich na darmo oczekiwał w tej nędznej brudnej salce, gdzie z powodu powojennej biedy za ręczniki służyły podarte prześcieradła.

Eberhard Mock się mylił. Walka, którą miał obejrzeć tego dnia na Kępie Strzeleckiej, zapisała się w historii niemieckiego boksu. Nie złotymi jednak, lecz czarnymi zgłoskami.



Do szatni sali gimnastycznej wpadł z wiadrem pielęgniarz ze szpitala Bethesda, nazwiskiem Heinz Weidenstrass, i krzyknął:

– Do roboty, panie Behringer! Mamy najwyżej kwadrans! Wszystko idzie zgodnie z planem!

Bokser siedzący na długiej, twardej ławce doskonale wiedział, co oznaczają gwizdy na widowni. Okrzyk pielęgniarza potwierdzał to, o czym mówiły gniewne okrzyki kibiców: teraz Behringer miał czas, by przygotować się do bardzo ważnego ciosu.

Bokser nie miał pojęcia, że oto nastąpiła ostatnia runda skomplikowanej akcji, która się rozpoczęła wczoraj w nocy na podwórku przy Hochstrasse[14]. Wtedy to jakiś zamaskowany człowiek wślizgnął się na dziedziniec, na którym zwykle po ćwiczeniach odpoczywali sportowcy z klubu Germania 1897. Stał tam zawsze furgon z chorągwią klubową. To właśnie nim miał jechać następnego dnia Georg Mittag, gwiazda sekcji pięściarskiej tegoż klubu, na pojedynek z Arnoldem Behringerem, reprezentującym Kępę Strzelecką.

Ów tajemniczy osobnik wszedł cicho pod wóz, usunął żelazny rygiel, który uniemożliwiał przesunięcie się dyszla w tył, i zniknął jak duch. Kiedy dzisiaj furgon ruszył, na jego awarię nie trzeba było długo czekać.

Wiadomość o tej nocnej akcji nie była ekswieźniowi Behringerowi do niczego potrzebna. Musiał on zdawać sobie sprawę tylko z jednego: oto nadszedł czas spłaty długu wdzięczności, jaki zaciągnął wobec pana Eugena Schliepsa. Szef związku, klubu boksterskiego oraz Schiesswerder Faustschule[15] troskliwie się

zajął Arnoldem Behringerem, gdy ten w wieku lat dwudziestu sześciu przed rokiem wyszedł na wolność z wrocławskiego więzienia przy Kletschkau Strasse[16]. Borsuk dał mu wikt, nocleg, a nawet zapoznał z Käthe, dziewczyną o nieobyčajnej przeszłości. Za to wszystko Duży Arni miał się odwdzięczać morderczym treningiem i wkrótce przynieść swemu protektorowi sportowe trofea.

Dobrze o tym pamiętał. Ani przez chwilę nie wahał się oddać w ręce pielęgniarza Weidenstrassa. Ten zmieszał teraz w wiadrze zawiesinę gipsową, a następnie zamoczył w niej pocięte paski jakiegoś płótna, najpewniej ze starego prześcieradła. Czynił to bardzo starannie i bez pośpiechu. Gips był towarem deficytowym, niemal niedostępnym w aptekach. Pielęgniarszowi nie pozostawało nic innego, jak ukraść go z magazynu szpitalu Bethesda. Uczynił to na prośbę Borsuka. Weidenstrass również wiele mu zawdzięczał i należał do jego najzaufańszych ludzi.

Behringer odwrócił wzrok, by nie widzieć, jak pielęgniarz sięga po mokre gałgany. Bokser nie był mimozą, ale widok brudnych bandaży zawsze wzbudzał w nim niechęć i obrzydzenie. Na jednym z takich powiesił się w celi jego najbliższy koleżka, Klaus.

Przez chwilę mignęła mu we wspomnieniach jego napęczniała twarz, gdy wisiał na kracie.

Przeszedł go dreszcz.

„Może to, co robię, jest złe?” – pomyślał.

– Nie drzyj pan! – zawołał pielęgniarz. – Bo się pomylę! Taki chłop, waga ciężka, a trzęsie się jak osika!

Behringer natychmiast otrząsnął się z chwilowej słabości. Przypomniawszy sobie artykuł w gazecie „Vossische Zeitung” o Związku Bokserskim, nazywanym tam „organizacją samopomocową byłych więźniów”. Tekst zawierał passus o nim samym, jako o „kryminaliście, który dzięki pomocnej dłoni podanej mu przez jego dawnych braci w więziennej doli może odnaleźć szansę lepszego życia w rywalizacji sportowej i powrócić do zacnych społecznych zachowań”.

Przypomniał te sobie dziennikarzy, pisarzy, reyserów oraz aktywistów z komunistycznej Czerwonej Pomocy, ktrzy po kolejnych walkach ciskali mu donie, a potem gdzie znikali z jego mentorem i dobrodziejem panem Schliepsem.

Weidenstrass owin praw do Arnolda gaanami, a potem naoy na paski z gipsem. To wszystko posmarowa wod. Pielgniarz popatrzy na boksera znacaco.

– Nic mu si nie stanie, panie Behringer. Podczas walki my pan o swojej onie Kthe. Przecie niedawno si pan oeni. Jest w ciy, niedugo bdziesz pan ojcem. Przyda si panu tysac piset marek, co nie?

– No juci! – odpar Arnold i po raz tyseczny policzy w mylach warto nabywc swojego honorarium.

Zapaci z gory szeciomiesiczne komorne za jednopokojowe mieszkanke w oficynie przy Schiesswerderplatz^[17], gdzie si urodzi jego synek. Tak, marzy wnie o synu.

Weidenstrass wpchn mu rekawice na donie. Prawa nigdy by nie wesza na kloc, jakim staa si jego pi, gdyby pielgniarz nie usun by weszniej poowy wyciki.

Prawa do, ktr potrafi zadawa piekielnie mocne ciosy podbrodkowe, zostaa teraz unieruchomiona. Nie mog rusza palcami. Zamiast pici mia bry – tward jak kamie.

By gotowy do nierownej walki.

[4] Obecnie ul. Bauckiego.

[5] Obecnie ul. Pisudskiego.

[6] Obecnie ul. Krucza.

[7] Obecnie ul. Zieliskiego.

[8] Obecnie ul. Pisudskiego.

[9] *Schwanz* – ogon (niem.). Wulgarne okrelenie mskiego czonka.

[10] Obecnie Urząd Skarbowy Wrocław-Śródmieście.

[11] Obecnie ul. Bałuckiego.

[12] Zob. Marek Krajewski, *Mock. Pojedynek*.

[13] Obecnie ul. św. Mikołaja.

[14] Obecnie ul. Wysoka.

[15] Szkoła Pięściarska z Kępy Strzeleckiej (niem.).

[16] Obecnie ul. Kleczkowska.

[17] Obecnie pl. Strzelecki.

II

Śmiertelny cios

DO TEJ AKCJI SZYKOWAŁ SIĘ PRZEZ PÓŁ ROKU. W wolnym od pracy czasie przesiadywał przy kuflu w pobliskich knajpach i zasięgał języka o tej dziwce – bardzo ostrożnie i sprytnie, by nie wzbudzać niczyich podejrzeń. Szkicował w myślach precyzyjne posunięcia, ale co rusz musiał porzucać swój plan wraz z kolejnymi nowymi informacjami o tej suce.

Pierwotnie akcja miała być bardzo prosta: porwać bachora, a potem zaszantażować jego matkę i zmusić, by sama po niego przyszła.

Po kilku dniach rozważań „za” i „przeciw” doszła nowa wiadomość, która ów plan pogrzebała. W knajpie Scholza przy Sonnenstrasse[18] 6 jakiś złodziej powiedział coś bardzo ważnego – była kiedyś jebadłem gliniarza, a ów gliniarz jest ojcem jej bękarta.

Jeśli to prawda, byk[19] dostanie szału, gdy jego dawna kochanka przyjdzie do policyjnego rewiru z płaczem z powodu porwanego dziecka. Ów gliniarz mógłby wtedy postawić na nogi nie tylko rewirowych, ale i całą obyczajówkę, a nawet kryminalnych. Cel nie zostałby osiągnięty, a szpicle zastrzygliby uszami. Tych nie brakowało przecież w żadnym wrocławskim fyrtku[20], również na Schweidnitzer Vorstadt[21]. Któryś z nich mógłby sobie przypomnieć człowieka, co to o blond dziwę po knajpach wypytywał.

Porwanie ladaczniczy, a przy tym zabicie i porzucenie gdzieś bękarta też nie było dobrym pomysłem. Dziecko to dziecko, a z dziećmi na ogół wiążą się ciepłe uczucia. Jego trup zostanie prędzej czy później odkryty i wzbudzi wściekłość u gliniarzy – nawet u tych, którzy w czasie niedawnej wojny widzieli stosy trupów.

To rozwiązanie groziło podobnymi kłopotami co poprzednie, a nawet większymi, zwłaszcza gdyby byk rzeczywiście okazał się ojcem i ujrzał swój

pomiot bez życia. Martwy niemowlak na śmietniku w dzielnicy występku budzi tylko chwilowe emocje, ale martwe dziecko byka to powód do długomiesięcznych prześladowań okolicznej ferajny. I znów jakiś jej członek mógłby sobie coś przypomnieć o bywalcu okolicznych knajp.

Najlepszym, ale i najtrudniejszym wyjściem było zatem jednoczesne porwanie i dziwki, i jej bachora. Dawny czy obecny kochanek nie wiedziałby, o co chodzi, nie rozumiałby, dlaczego jej nora jest pusta, żadnych śladów przestępstwa, kobieta wyjechała, może nowe życie gdzieś rozpoczyna? Tak mogliby przecież ocenić całą sprawę rewirowi i zapomnieliby o niej mimo nacisków kolegi.

A on sam, sprytny porywacz i bezwzględny mściciel, miałby wtedy ich dwoje. Zadusiłby bachora i spuścił Odrą albo zakopałby w jakiejś dziurze, aby nie było śladów. Miałby na to czas, nie musiałby się śpieszyć i porzucać trupka gdzieś pod murem.

Bezwstydnicę zaś przykładowie by później ukarał. Nikt nic wie, zniknęli obydwój, kto by się przejmował jakąś wywłoką? Tak by mówiono na rewirze.

To był najlepszy pomysł. I do jego realizacji starannie się przygotował. Dzisiaj nadszedł długo wyczekiwany czas.

Wiedział, iż kobieta, mimo że kupczy swym ciałem, prowadzi bardzo uregulowany tryb życia. Po południu zostawia szczenię u znajomej praczki mieszkającej w bramie obok, a potem jedzie osiemnastką do burdelu na Charlottenstrasse[22]. Po całonocnym ostrym ruchaniu zostaje tam, aby się porządnie wyspać – do południa, w pokoiku niedostępnym dla klientów. Wysypiając się, dba, aby widome oznaki rozpusty – szarość cery i sińce pod oczami – stały się niezauważalne. Potem wraca do domu i zajmuje się swoim suczym pomiotem. Zwykle jeszcze tego samego dnia wieczorem zostawia go znowu u praczki i wraca do burdelu, aby zarażać syfilisem kolejnych niewolników żądzy, takich jak niegdyś on sam.

Ale to wszystko do czasu – do tego najważniejszego dla takich grzesznic momentu, kiedy odezwie się gniew ludzi zgorszonych ich rozpustą.

– To ja jestem takim człowiekiem – szeptał, siedząc tego dusznego kwietniowego dnia w jej piwnicznej komórce o godzinie pierwszej po południu.

Przyszedł tu pół godziny wcześniej wraz z futerałem na akordeon. Do całego kwartału domów dostał się przez kino Kronprinz przy Gartenstrasse^[23] 40. Kupił bilet, po czym wymknął się tuż po rozpoczęciu seansu i znaną sobie klatką schodową przedostał się na podwórko. Po chwili, przemknąwszy wśród śmietników i sznurów z bielizną, stał obok jej lokum.

Przy podłej oficynie, obok której mieszkała, było pusto, bo o tej porze ludzie albo byli w pracy, albo leżeli pijani w swych barłogach. Nie kręcił się tutaj żaden stróż, bo właściciel kamienicy – co dokładnie był sprawdził w czasie swych przygotowań – takowego tu nie zatrudniał, chcąc ograniczyć wydatki.

Każdy mógł wejść na podwórko. Nikt nie zwracał teraz uwagi na to zabłocone czarne miejsce wśród murów, gdzie oprócz starych krzeseł, na których rankiem albo w pogodnej nocy zasiadali miejscowi pijacy, znajdowała się tylko szopa tej rozpustnicy.

Podszedł do tego dawnego warsztatu. Obok jego drzwi postawił akordeonowy futerał, rozejrzał się, w ciągu kilkunastu sekund otworzył zamek wytrychem, po czym wpadł do środka.

Gdyby nawet ktoś zauważył włamywacza, to na pewno nie podniósłby alarmu i nie zawiadomiłby policji z dwóch powodów. Do siedziby rewiru XXII przy Trinitasstrasse^[24] było dość daleko. A poza tym lepsze towarzystwo, o ile takie w ogóle tu mieszkało, miało swoje lokale od frontu. Przez okna salonów patrzyli na Gartenstrasse, jedną z głównych ulic miasta, nie zaś na ponurą, śmierdzącą odpadkami i pełną szczurów dziuplę podwórka. A sąsiedzi, którzy ze swych okien ją widzieli, mieli najczęściej coś na sumieniu, policji unikali i mało czemu się dziwili. Nie sądził zatem, by nawet akordeonowy futerał wzbudził ich zainteresowanie.

W mieszkaniu dziwki złapał wszystkie szczapy drewna na rozpałkę owinięte włochatym sznurkiem i leżące pod piecykiem kożą. Schował je do futerału. Potem

zamknął drzwi wytrychem i poszedł szybko w stronę otwartego tylnego wejścia do kamienicy. Wślizgnął się do piwnicy i schował w jej komórce.

Wróciła przed drugą. Weszła na podwórko, pchając wózek z dzieckiem. Wszystko poszło zgodnie z planem. Zobaczyła, że nie ma drew pod piecem, i udała się po nie do piwnicy.

A on tam na nią czekał – już od półtorej godziny.

Ogłuszył ją umiejętnie pończochą wypełnioną piaskiem. Nie za mocno, aby nie zabić. Potem przyłożył do jej nosa chustkę nasączoną chloroformem i dopilnował, by wielokrotnie zaciągnęła się chemiczną substancją.

A potem poszedł po bękarta.

Wskoczył do nory. Dziecko obudziło się w wózku i zaczęło płakać. Otworzył futerał, włożył do środka kołderkę z kołyski. Ze ścian zerwał upatrzone wcześniej jakieś głupie makatki i też poupychał je w futerale. Ich ramki połamał i ze złości podeptał obcasami. Z szuflad wywłócił ubranka i również je tam włożył.

Kołderka i te gałgany miały wytłumić skrzeczenie bachora. Teraz bez najmniejszej delikatności wepchnął do futerału niemowlę owinięte w becik. Zatrzasnął wieko. Pomiot płakał, ale ten wytłumiony dźwięk na pewno nikogo nie zaalarmuje na podwórku.

Wypadł z jej nędznej budy, niosąc futerał, wszedł do piwnicy, minął komórkę, w której ladacznica leżała bez ducha, korytarzem piwnicznym wydostał się na schody prowadzące na klatkę schodową, a stamtąd wyszedł wprost na ulicę.

Jego automobil stał pod delikatesami przy Agnesstrasse^[25] 11. Rzucił futerał na tylne siedzenie i poszedł po kobietę.

Przed nim była teraz najtrudniejsza część zadania. Dziwa była ciężka i bezwładna. Musiał ją nieść, a widok ponurego draba – nie łudził się, że jego aparycja jest miła dla oka – niosącego przelewającą mu się przez ręce młodą blondynkę z całą pewnością żadnego przypadkowego widza nie pozostawiłby obojętnym. Ktoś mógł o coś zapytać, ktoś mógł zażartować, a jakiś chojrak mógłby nawet chcieć uwolnić piękną z rąk bestii...

Tutaj należało działać szybko i przez zaskoczenie.

Owszem, był silny, lecz postawna kobieta ważyła dużo więcej niż futerał z niemowlęciem. Wyciągnął ją za włosy z komórki i na piwnicznym korytarzu chwycił pod pachy. Ciężko dysząc, włókł za sobą po schodach. Bezwładnie uderzała obcasami o stopnie. Na ostatnim z nich przystanął i sapał przez dłuższą chwilę.

Uchylił drzwi, lekko kopiąc je szpicem buta. Nasłuchiwał odgłosów z klatki schodowej. Gdzieś zaszczekał pies, gdzieś grał patefon.

Kopnął drzwi mocniej. Otworzyły się, skrzypiąc zawiasami. Ukucnął i chwycił kobietę pod pachy i kolana. Uniósł się z jękiem, nie wypuszczając jej z rąk.

Udało się.

Trzymał ją, dzierżył mocno ciężkie cielsko grzesznicy.

Udało się.

Nie wyślizgnęło mu się z rąk.

Kiwając się jak tragarz dźwigający szafę, sunął powoli w stronę drzwi wejściowych do kamienicy. Zostawił je wcześniej otwarte, gdy już wrzucił do samochodu futerał z bachorem. Na szczęście nikt ich nie zamknął.

Drugą stroną ulicy szła grupa wyrostków. Wykrzykiwali coś i popychali się wzajemnie. Nie zwracali na niego uwagi. Jakaś staruszka wystawiła za okno obrus i otrzepywała go z resztek po obiedzie. Nie sądził, by dostrzegła jego oblicze pod szerokim rondem kapelusza.

Do samochodu miał kilka metrów. Drzwi do auta, przezornie wcześniej uchylone, otworzył znów szpicem buta.

Teraz dał się ponieść długo tłumionej wściekłości. Wreszcie już mógł – choćby częściowo – dać upust swemu gniewowi na takie jak ona zakały natury.

Rzucił kobietę na siedzenie pasażera obok kierowcy jak bezwładny wór z ziemniakami.

– Worek gnoju! – krzyknął i spoliczkował bezwładną głowę. – Tłumok z nawozem!

Wlazł do samochodu, usiadł za kierownicą i – zamiast ruszyć – zaczął ją bić kulakami po twarzy i wydatnych piersiach.

– Gniew, zgorszenie! – szeptał, słuchając, jak jego pięści dudnią po jej żebrach.

Wciąż była nieprzytomna. Tylko jej głowa przekręcała się pod jego ciosami to w jedną, to w drugą stronę. Przerwał w końcu to katowanie, gdy pisk dochodzący z futerału stał się tak donośny, że mógł zaalarmować jakiegoś przechodnia. To go uspokoiło.

– Może teraz udusić tego bachora? – szepnął do siebie. – Nie, później mu łeb ukręcisz, tu zbyt dużo ludzi... – odpowiedział sam sobie.

Uśmiechnął się do swojego odbicia w lusterku i zapuścił silnik.



Bokser wagi ciężkiej Georg Mittag, reprezentujący klub Germania 1897, do sali gimnastycznej na Kępie Strzeleckiej przybył rzeczywiście z kwadransowym opóźnieniem.

Kiedy klubowy woźnica usiłował naprawić dyszel, on nie czekał na wynik jego poczynąń. Pobiegł na Dworzec Fryburski[26]. Na szczęście na postoju dorożek stało kilka drynd czekających na pasażerów.

Mittag spóźnił się zatem stosunkowo niewiele, jednak i tak nie uchroniło go to od gwizdów zniecierpliwionej publiczności. Być może to uchybienie naraziłoby go nawet na kontakt z pustymi kuflami od piwa, gdyby na ring nie wyszedł i nie zapowiedział walki sam pan Eugen Schlieps.

– Moi panowie! – zakrzyknął szef Związku Bokserskiego Kępa Strzelecka. – Przed nami walka o mistrzostwo Wrocławia w wadze ciężkiej. Jej zwycięzca będzie reprezentował nasze miasto w międzynarodowym turnieju, który organizuję w cyrku Buscha! Już zaprosiłem na to święto boksu wikingów ze Szwecji. Zawodników z Örgryte Göteborg.

Przerwał, a publiczność ryknęła z entuzjazmem. Eberhard Mock włączył się do tego chóru. Jedyne stary Willibald milczał i uśmiechał się drwiąco, jakby chciał

powiedzieć: „Nie takie rzeczy w życiu widziałem, żebym teraz miał się tak podniecać!”.

Schlieps uniósł ręce, uciszając gawiedź.

– Bardzo cenię wasze oddanie klubowi! – zawołał. – Klubowi, który podnosi z upadku byłych więźniów i daje im szansę nowego życia. Ale sport to pojedynki honorowy. Okażcie zatem szacunek panu Georgowi Mittagowi z Germanii 1897, bo on jest u nas gościem i spóźnił się nie z własnej winy!

Na sali rozległy się niemrawe okrzyki aplauzu, które umilkły szybko, aby po chwili zamienić się w ogłuszający doping. Kufle stukały o siebie, krzesła się przewracały, gdy z nich zrywali się rozemocjonowani kibice. Wszyscy krzyczeli, bo oto na ring wkroczył Arnold Behringer.

Eberharda zaniepokoił nieco widok jego trzęsącego się brzucha. Willibald pochylił się do synowskiego ucha i szepnął:

– Czemu oni tak drą te mordy? Przecież ten grubas nie ma szans... Zaraz mu pęknie ten worek z sadłem. Jeden cios wystarczy... O taki, patrz!

Pochylił się i zamarkował w powietrzu uderzenie.

Eberhard wzdrygnął się ze wstrętem. Przypomniał sobie dawne ciosy starego. Willibald, opacznie biorąc ten gest za oznakę niezrozumienia tego, co powiedział, wykrzyknął:

– No przecież ten Behringer nie ma szans! Jest zbyt spasiony! Zbyt powolny!

Powiedział to bardzo głośno i mężczyzna siedzący przed nimi się odwrócił. Miał tłuste włosy i szczecinę na brodzie. Kaprawymi oczami spojrzał z wściekłością na starego.

– Nie siej wrogiej propagandy, staruchu, bo cię nauczę rozumu!

Eberhard wstał.

– Coś powiedział, kurwi synu? – rzucił z zaciśniętymi zębami.

Nie usłyszał odpowiedzi. Sędzia uderzył w gong, którego brzęk wyraźnie wskazywał na to, iż instrument został kupiony w sklepie z dewocjonaliami.

Rękawice bokserów dotknęły się lekko – jak to zawsze przed walką. Pojedynek się rozpoczął.

Ludzie siedzący za Mockami, nie szczędząc przekleństw, zaczęli się domagać, by Eberhard usiadł. Człowiek, tak wulgarnie przez niego określony, odwrócił w stronę ringu swe zażawione oczy.

Eberhard usiadł i szybko zapomniał o scysji. Sportowe emocje wzięły górę nad chęcią wpojenia dobrych manier chamowi, obrażającemu starszych ludzi.

Zawodnicy zaczęli skakać wokół siebie. Ciosy były lekkie i obliczone bardziej na ustawienie gardy niż na bolesne trafienie.

Trwało to jednak krótko. Po minucie Mittag zaatakował z głośnym okrzykiem. Uczynił lekki gest lewym ramieniem i kiedy Behringer uniósł rękawice do osłony, Mittag – zmyliwszy przeciwnika – uderzył prawym sierpowym.

Potężny cios trafił Behringera w lewy policzek. Ten zachwiał się i postąpił dwa kroki w tył. Jego brzuch zatrząsł się lekko. Był o wiele niższy, wyglądał jak kula przy bokserze liczącym ponad metr osiemdziesiąt, o harmonijnej posturze dyskobola z rzeźby Myrona.

Zawodnik Germanii zaatakował teraz swego przeciwnika potężną serią ciosów podżebrowych. Behringer kulił się i osłaniał boki łokciami. Po każdym uderzeniu w żebra zduszony jęk trafionego rozlegał się w ciszy, która zapadła na sali. Kibice, którzy jeszcze przed chwilą rykiem dopingowali swojego, teraz zaciskali usta ze zgrozą. Na drgających policzkach Behringera pojawiły się czerwone plamy – nie wiadomo, czy od ciosów, czy ze wstydu.

Gong uratował miejscowego boksera od kompromitacji. Ciężko dysząc, ruszył w stronę swego narożnika, szurając stopami po deskach ringu. Mittag toczył wokół rozbawionym, triumfalnym wzrokiem.

– A co? Nie mówiłem? Nie mówiłem? – Ojciec szarpnął syna za rękaw.

Wokół panowała grobowa cisza.

– Nie tak głośno! – odparł zniecierpliwiony Mock.

– Łać mi się chce – rzekł Willibald. – Idę pod drzewko!

Eberhard dojrzał kose spojrzenie człowieka, którego zwyzywał przed walką.

– Idę z ojcem! – zdecydował. – Jeszcze się ojciec doigra tymi swoimi komentarzami. Tutaj kibicują Behringerowi, niech sobie to ojciec wbije do głowy! I nie wszyscy szanują siwe włosy...

– Zostań tu! Nie boję się tych kanalii! – zawołał stary i potoczył wokół wyzywającym spojrzeniem. – Oni wszyscy srali jeszcze w gacie, kiedy ja rządziłem najgorszą dzielnicą Wałbrzycha!

Eberhard wznosił oczy ku sztukateriom sufitu, jakby tym gestem chciał pokreślić, jakież to ubolewanie i bezradność budzi w nim zachowanie ojca.

Emeryt wyszedł, obaj bokserzy wypadli na ring ze swych narożników, a Eberhard skupił się na walce. Nie zauważył, iż kaprawooki dał znak pewnemu wyrostkowi, który zeskoczył z drabiny, używanej zapewne przez robotników przyklejających sztukaterię.

Chłopak pobiegł za Willibaldem Mockiem i chwycił go za rękaw surduta.

– Szanowny panie! – zawołał i wskazał na drzwi. – Tu jest kibel, jeśli pan sobie życzy! Tutaj!

– Doprawdy? – Stary uśmiechnął się do wyrostka. – A ja myślałem, że to szatnia. Dobry chłopak! Dobry!

To miały być podziękowania.

Wszedł do środka. Nie była to ani ubikacja, ani szatnia.

Pomieszczenie stało puste, jeśli nie brać pod uwagę stosu materaców w jego rogu i kilku gruszek bokserskich wiszących u powały. Willibald odwrócił się ze złością. Drzwi się zatrzasnęły, a klucz szczęknął w zamku.

– Tu se oglądaj, dziadu! – zawołał chłopak zza drzwi i roześmiał się złośliwie.



Hertę Rossenbach obudził dotkliwy chłód i potężna fala mdłości. Ktoś gładził ją po policzku, ktoś ocierał jej czoło mokrą szmatką. Ktoś o nią dbał.

Przesunęła dłońmi po ciele. Była naga, ten ktoś ją rozebrał.

Teraz się nad nią pochylił i szepnął:

– Zaraz będzie po wszystkim. Zaraz...

Przez głowę przeszła jej absurdalna myśl, że to jej policjant Ebi tak się z nią bawi, ów miły pan, który w łóżku zamieniał się w brutala – zresztą za jej przyzwoleniem, a nawet za zachętą.

I wtedy poczuła zapach porywacza. Jej policjant tak nie pachniał. Tamten rozsiewał woń tytoniu, alkoholu i wody kolońskiej, ten śmierdział ziemią, mokrym, wilgotnym gruntem. I jeszcze czymś – gnijącymi jabłkami.

Nie widziała go, tylko wyczuwała. Miała opaskę na oczach.

To z pewnością nie był jej policjant. On wprawdzie lubił zabawy z zasłanianiem oczu, a nawet z kajdankami, ale nigdy by nie dopuścił, aby bolało ją bardziej, niż tego sobie życzyła. Herta lubiła cierpieć w jego ramionach i nawet chętnie przekroczyłaby z nim pewną granicę bólu, ale on trzymał się zasad, wiedział, kiedy przestać. Zawsze w tych słodkich chwilach wmawiała sobie, że jest ojcem Bettiny.

Poczuła, jak strumień wody leje się jej na głowę. Owocowy smród się wzmógł, kiedy zerwał jej opaskę z oczu. Ujrzała nad sobą jego twarz, a nad nią sklepienie. Było wysokie, ostre, chropowate i ceglane. Jak w gotyckim kościele.

Nie znała porywacza. Nigdy nie widziała tych małych ust i bardzo jasnych oczu ze źrenicami zwężonymi jak szpilki.

Przez myśl jej przeszło, że zostanie złożona teraz w jakiejś barbarzyńskiej pogańskiej ofierze – jak bohater jej ulubionej książki *Piętnastoletni kapitan Jules’a Verne’a*, przywiązany do pala przez dzikie plemię w Angoli.

Nie dopuszczała jednak do siebie myśli, że zostanie zabita. Ten człowiek nie mógł tego zrobić, bo przecież na pewno wiedział, że ona musi wychować dziecko, swoją Bettinę. Otworzyła usta, aby mu wykrzyknąć w twarz ten oczywisty i przekonujący argument.

I wtedy zobaczyła nad sobą długi wojskowy bagnet. Jego ostrze zbliżyło się do jej piersi.

Wciąż miała nadzieję, że to tylko zabawa. Kiedy czubek nacisnął na naskórek i przeciął go, pojawiła się kolejna iskra nadziei – że oto skądeś nadejdzie jej policjant Ebi i ją uwolni, tak jak w powieści Verne’a potężny i dobry czarnoskóry Herkules uratował Dicka Sanda, przywiązanego do słupa i przeznaczonego na męczeńską śmierć.

Nikt jej jednak nie przyszedł z pomocą. Oprawca, ciężko dysząc, wciskał w nią bagnet coraz głębiej.

– Jestem gniewem i zgorzeniem – powtarzał cicho. – A ty staniesz się częścią natury, bo każdy nawóz jest jej częścią...

Zaczęła się krztusić, kaszleć. Chciała powiedzieć: „Błagam, nie!” – ale na jej wargach pojawiły się tylko smugi śliny.



Cała sala wyła. W przeciągłych dźwiękach słyhać było srogi zawód, rozczarowanie, a nawet ból. W drugiej rundzie Mittag okładał tułów Behringera, jakby ten był workiem treningowym. Atakowany stał w rogu i sapał po każdym uderzeniu w żebra.

Ten odgłos sprawiał dziwne wrażenie. Eberhardowi zdawało się, że Behringer nie wydaje z siebie dźwięków bólu, lecz odgłosy jakiejś dziwnej masochistycznej ulgi.

Mittag odprężył się i odsunął nieco. Zaczął ośmieszać przeciwnika. Opuścił rękawice, co chwila kuczał bez żadnej gardy i podskakiwał wesoło. Chwiał się przy tym na nogach, jakby imitował zachowania Behringera, trzęsącego się, zlanego potem i purpurowego na napuchniętym obliczu.

Upokarzał go. Śmiał się przy tym w głos, na co sala odpowiadała pomrukiem:

– Nie daj się! Zabij go! Zabij!

Eugen Schlieps nie oponował wobec tych krwiożerczych wezwań. Stał i patrzył zdumiony na młockę, której ofiarą stał się jego bokser.

Georg Mittag wyglądał na odprężonego i pewnego wygranej. Wprawdzie otrzymał w tej rundzie od zapędzonego w róg przeciwnika dwa, może trzy bezradne ciosy, jednak były one niewiele bardziej bolesne od uderzenia śnieżką w czasie zimowych bitew między chłopakami z różnych podwórek, jakie toczył w latach chłopięcych w rodzinnej Bielawie.

Raz się zdarzyło, że zamiast śnieżką ktoś rzucił w niego kamieniem. I poczuł wtedy taką eksplozję jak teraz, gdy Behringer nieoczekiwanie podskoczył i uderzył prawym prostym. Teraz to nie był kamień, lecz głaz, bryła lodu.

Strop oczodołu Mittaga pękł z cichym trzaskiem. Oczy zasnuły się mrokiem. Małe piwo, które wypił do skromnego obiadu, podniosło mu się teraz do ust.

Runął na ring jak kłoda. Zadrżały deski dawnego podium dla orkiestry.

W organizmie znokautowanego uruchomił się cały ciąg procesów. Krew zaczęła się wlewać do jego czaszki. Było jej coraz więcej i więcej. Wzrastało jej ciśnienie, nie miała ujścia. Naparła na mózg, a ten szybko napęczniał. Pod sklepieniem czaszki zrobił się obrzęk, zapanowała straszliwa ciasnota. I wtedy krew nacisnęła na mózdzek, a jego migdałki wepchnęły się w otwór kości potylicznej. Naparły na centrum sterownicze ludzkiego organizmu – rdzeń przedłużony. Owo centrum, brutalnie zaatakowane, popadło w natychmiastowy chaos i przestało kontrolować oddech i krążenie.

Po kilku minutach bokser wagi ciężkiej Georg Mittag lekko się poruszył i półotwartymi ustami wycharczał swoje młode życie.



W odróżnieniu od zawodnika Germanii 1897 Herta Rossenbach przeżyła zadany jej cios.

Leżąc w kompletnej omroce, poczuła nagle, jakby coś nią zatrzęsło, jakby w jej ciało wtargnął ożywczy powiew wiatru, jakby jej głowa wynurzyła się ponad lepką czarną powierzchnię. Jakiś nieprzyjemny majak, jakaś wyrazista scena, której później zupełnie nie pamiętała, wyrwała ją z otchłani snu i śmiertelnego bezwładu.

Otworzyła oczy. Czuła nad sobą pustą przestrzeń, zimną masę powietrza. Niewiele widziała w gęstym mroku, ale intuicja podpowiadała jej, że nie została donikąd przeniesiona. Wydawało się jej, że nad nią wciąż się rozpina to gotyckie sklepienie, które było ostatnim widokiem, nim zapadła w nicość.

Poruszyła głową i kończynami. Pod policzkiem wciąż czuła wilgoć od wody, którą została polana. Przewróciła się na bok. Ciężko dysząc, oparła głowę na łokciu. Coś pod nim szcęknęło metalicznie i głucho – jakby odgięła się przyciśnięta blacha.

Herta usiadła, a jej nogi zawisły w powietrzu. Zakręciło się jej w głowie, do ust napłynęła treść żołądka, a rana nad piersią zapulsowała krwią. Wypluła gorzki, lepki płyn i zeskoczyła, drapiąc sobie pośladki o jakąś szorstką krawędź.

Nie spadła z żadnej znacznej wysokości, nie złamała ani nie skręciła sobie nogi. Stała na zimnym kamieniu i cała się trzęsła. Ruszyła na oślep. Boleśnie uderzyła się biodrem o coś twardego. Ostatkiem siły woli zebrała myśli: „Muszę się stąd wydostać! Muszę do Bettiny”.

Poruszyła głową, pokręciła nią, a potem wysoko uniosła oczy.

Ujrzała przyćmione światełko u góry. Miało mały zasięg. Nie oświetlało niczego oprócz kilku nieotynkowanych cegieł.

Ruszyła w jego kierunku. Sunęła stopami po kamieniu, czuła, jak jej język boleśnie się ociera o suche, szorstkie podniebienie. Krew ciekła z rany na piersi powoli, jej ciepły strumyczek czuła na swym boku i na biodrze.

Nagle się potknęła. Gdyby się nie oparła o szorstką ścianę, upadłaby. Poczowała, jak jej paznokcie łamią się o cegły. Nie dbała o to. Przed nią było światło.

Wchodziła, powoli opierając się obiema rękami o ściany stromej klatki schodowej. Czasami pod palcami czuła jakiś szorstki lub śliski materiał. Jakby coś wisiało tu i ówdzie.

Krew buchała coraz mocniej. Herta rozumiała, że jeśli jej nie zatamuje, to zemdleje i umrze. A Bettina zostanie sama.

Ta myśl ją natychmiast ożywiła. Szarpnęła za jakiś materiał i przycisnęła go do rany. Zerwała go chyba wraz z gwoździem, bo coś stuknęło jej pod stopami i tynk się posypał po ceglach.

Sycząc z bólu, dotarła do samego szczytu schodów. Nacisnęła na klamkę. Drzwi były otwarte.

Wyszła na zewnątrz. Usłyszała szum drzew i poczuła zapach wilgotnej ziemi. Nad nią błyskały gwiazdy. Całe gwiazdozbiory odbijały się w jakiejś stojącej wodzie, jakby w stawie, na brzegu którego stała, kiwając się w skrajnym osłabieniu.

Poszła w prawo, jej dawno już zmarła mama zawsze mówiła, że w chwilach niepewności należy zawsze wybierać tę stronę, gdzie ma się serce. A Herta Rossenbach jakimś dziwnym wybrykiem natury serce miała po prawej stronie. Taka się urodziła.

I to ją ocaliło.



Ojciec Mocka nie wytrzymał. Chciał zanieczyścić pomieszczenie, w którym go zamknął wredny szczeniak, zamierzał tam nalać w kąt, zrobić wielką kałużę. To miała być jego zemsta na tym podłym klubie, do którego kibiców należał ten wstrętny gnojek.

Nie zdążył jednak. Kiedy już rozpinał w kącie rozporek, stracił kontrolę nad pęcherzem.

Stał z dłońmi opartymi o ścianę i czuł, jak wilgoć rozlewa się na jego spodniach.

To było upokorzenie. On, Willibald Mock, niegdyś silny i budzący grozę młokos z dworcowej dzielnicy Wałbrzycha; potem szewc, co to poturbował młotkiem niejednego złodzieja, mającego czelność szukać łupu na podwórku, gdzie stał jego warsztat; potem samotny ojciec, nie poddający się złym podmuchom losu i wychowujący żelazną ręką dwóch synów: Eberharda i Franza. Tak, był kiedyś

tym wszystkim, ale owa chwalebna przeszłość zamieniła się w smutną terażniejszość, dawny zaś wojownik zaułków stał się popuszczającym mocz starcem, którego nikt nie szanował. Nawet własny syn.

– Gdzie jest ten niewdzięcznik? – wykrzykiwał stary w pustej sali treningowej.

Określony tym mianem człowiek, stwierdziwszy zgon boksera Mittaga, stał tymczasem na ringu obok Eugena Schliepsa i palił papierosa.

Kibice zaczęli się rozchodzić, potrząsając głowami nad niewiarygodnym zdarzeniem, którego byli świadkami.

– Nic tu po nas – szeptali między sobą. – Zaraz tu przyjdzie Gruby, a temu bydlakowi lepiej nie pchać się przed oczy.

Wiedzieli, że pan Schlieps wysłał już posłańca do pobliskiego rewiru VII przy Rossplatz^[27] i zaraz tu przyjdą tamtejsi funkcjonariusze, może nawet sam szef rewiru, komisarz Schwabe, zwany Grubym, z którym niejeden z obecnych tutaj miał mocno na pieńku.

W ciszy, jaka teraz zapadła w sali, słychać było wyraźnie walenie w drzwi. Eberhard – zaaferowany nagłą śmiercią na ringu – teraz sobie dopiero uświadomił, że nie ma przy nim ojca.

– Otwierać, kurwa wasza mać! – rozległ się skądś zduszony krzyk starego Mocka.

Młodszy spojrzał pytająco na Schliepsa, wskazując oczami kierunek, skąd dochodziły te odgłosy.

– Może ktoś kogoś przez pomyłkę w magazynku zamknął? – odpowiedział szef klubu na to nieme zapytanie i wyciągnął ku swemu rozmówcy pęk kluczy. – Trzeci, licząc od największego. Pójdzie pan sam czy ktoś z moich ma otworzyć?

Zapytany wolał zrobić to sam. Wiedział, w jakim celu ojciec opuścił go kwadrans temu. Jeśli celowo lub przez pomyłkę został tam zamknięty, to można się było spodziewać przykrego widoku. Ostatnimi czasy zdarzało się, że nie zdążył w nocy użyć nocnika.

Eberhard odebrał klucze i zszedł z ringu, mijając Arnolda Behringera, który siedział w narożniku z twarzą w rękawicach.

Policjant zbliżył się do drzwi magazynku.

Widok był rzeczywiście żaloszny, gorsze jednak były słowa dochodzące z wnętrza.

– Nie spieszyłeś się, pijanico, co? – warknął stary. – Wolałeś chlapnąć sobie w tajemnicy przed ojcem, co?

Mock miał zupełnie inne wspomnienia z Wałbrzycha niż jego rodziciel. Nie imponował mu władca zaułków, za jakiego we własnych oczach uchodził stary. Eberhard i jego brat Franz pamiętali pijanego brutala, który im „liczył kości” z powodu najłżejszej niesubordynacji. Obaj przyrzekli sobie, że w dorosłym wieku nie będą mieli z nim nic wspólnego.

Franzowi to się nawet udało. Ożenił się bowiem z dziewczyną imieniem Irmgard, którą stary, nie wiadomo na podstawie jakich przesłanek, uznał za „dziwkę”. Ponieważ nie omieszkał jej tego raz czy dwa zasugerować podczas wspólnie spędzanych świąt, Irmgard się popłakała, a Franz, krzepki majster pracujący na kolei, wywalił starego ze swojego skromnego mieszkanka przy Nicolaistrasse[28] na zbity pysk i na zawsze. Eberhard nie znalazł żadnego pretekstu do zerwania z ojcem, a nawet gdyby taki się pojawił, to – tego był pewien – wyrzuty sumienia by go zeżarły szybciej niż alkohol i syfilis, co jako przyczyny przyszłej synowskiej śmierci wymieniał Willibald w chwilach złości.

Teraz stał on w mokrych spodniach, a jego pięści były uniesione – tak jak kiedyś, gdy ruszał do pokoiku na tyłach warsztatu szewskiego, aby „nauczyć moresu swoich dwóch huncwotów”.

Eberhard poczuł, jak tężeją mu mięśnie. Wysunął szczękę ku staremu i ruszył. Uniósł prawą pięść i wtedy w oczach ojca dojrzał strach.

To go jednak nie powstrzymało. Jego wściekłość ostudziło coś całkiem innego.

– *Herr Polizei-Assistent!* – wołał znajomy kobiecy głos. – Błagam o pomoc! Coś się stało z Hertą! Z pańską Hertą!

Eberhard nie uderzył ojca. Schował zaciśniętą dłoń do kieszeni. Odwrócił się powoli.

Panna Therese Berger wpatrywała się w niego przerażonym wzrokiem.

– Ktoś porwał Hertę i jej malutką! Moją ukochaną Bettinkę! Mieszkanie całe rozbebeszone! Czuję, że coś się stało! Pan przecież kiedyś bywał u Herty, lubił ją pan. A poza tym wiem, że pan nie gardzi takimi dziewczynami jak moje... Tylko pan! Jaki inny policjant dba o dziwkę i jej bękarta, ale pan ma dobre serce, *Herr Polizei-Assistent!*

Mock stał tak przez dłuższą chwilę pomiędzy ojcem a znaną sobie dobrze burdelmama, o której wiedział na pewno, iż jest odważna i nieskłonna do paniki. Nadszedł moment wyboru. W jednej chwili zrozumiał, że tutaj już nie będzie potrzebny.

Wyjął grzebień, przeczesał gęste czarne włosy, przeciągnął palcem po kielkującym wieczornym zarostie na policzkach, poprawił pod szyją granatowy krawat w błękitne zygzaki, błyskając przy tym złotymi spinkami. Podciągnął szare spodnie z czarnymi prążkami i opuścił je, tak że nogawki osiadły na błyszczących jak lustro butach.

Poprawianie garderoby oznaczało, że rusza do akcji.

Jego sylwetka – mocna, solidna jak bryła – budziła zaufanie. Szerokie bary obiecywały ochronę.

Wyjął pugilares i wpatrywał się przez chwilę w jego zawartość. Może mu nie wystarczy do wypłaty, bo święta są po drodze. Powinien oszczędzać na ubraniach? Albo na alkoholu? Bo inaczej żadnej nie ma nadziei na wynajęcie osobnego mieszkania, aby się uniezależnić od starego przebiegłego tyrana, wyprowadzić raz na zawsze z tej dziury w Klein Tschansch[29], gdzie mdła woń dawnej rzeźni wrosła w ściany.

Wyłuskał banknot pięciomarkowy. Spojrzał na ojca.

– Niech no ojciec weźmie za to dorożkę. Stoją niedaleko, na Rossplatz[30]. Reszty nie żądać, to zapłata, że dryndziarz weźmie ojca zasikanego...

Odwrócił się do panny Berger.

– Idziemy do mieszkania Herty – powiedział spokojnie i uśmiechnął się lekko. – Nigdy nie lekceważyłem pani intuicji...

– Rzucasz mi ochłapy jak dziwce? – krzyknął Willibald Mock. – Wolisz jakąś starą, grubą ropuchę od własnego ojca? Odwieź mnie do domu, ale już!

Eberhard podszedł do starca.

– Niech no ojciec nie obraża tej pani! – Kwadratowa szczęka pokryta cieniem zarostu zacisnęła się mocno.

A potem Ebi lekko się roześmiał i po raz pierwszy w życiu zwrócił się do ojca *per* „ty”.

– Tak, wolę ją od ciebie. Idę ratować dziecko. Być może moje własne. Z dziwką je mam.

Wiedział, że to nieprawda, lecz nie zamierzał korygować swoich słów.

[18] Obecnie ul. Pawłowa.

[19] *Der Bulle* (niem.) – byk, potoczne wrocławskie określenie policjanta.

[20] *Viertel* (niem.) – dzielnica.

[21] Obecnie Przedmieście Świdnickie.

[22] Obecnie ul. Krucza.

[23] Obecnie ul. Piłsudskiego.

[24] Obecnie ul. Trójcy Świętej.

[25] Obecnie ul. Bałuckiego.

[26] Obecnie Dworzec Świebodzki.

[27] Obecnie pl. Staszica.

[28] Obecnie ul. św. Mikołaja.

[29] Obecnie Księża Małe.

[30] Obecnie pl. Staszica.

III

Na trzeźwo

ZGODNIE ZE WSKAZÓWKAMI SWEJ MATKI Herta Rossenbach skierowała się na prawo. Szła powoli, czując bolesne ukłucia pod stopami, pod którymi chrzęścił żwir. Szczękała zębami i mocniej przyciskała do piersi kawałek materiału, który był śliski i kiepsko wchłaniał krew.

Natrafiła na jakąś żelazną bramę. Pchnęła ją, a ta w odpowiedzi przeraźliwie zaskrzypiała.

Kobieta zaczęła biec. Zerwał się wiatr, rozszumiały drzewa, zimno przeniknęło ją do szpiku kości. Musiała zwolnić, ból w piersi stawał się nie do wytrzymania. Oparła się o jakiś mur, a potem szła wolno wzdłuż niego, krok za krokiem, nie odrywając dłoni od cegieł.

Nagle ujrzała jakiś jasny, duży kształt. Był to okryty plandeką furgon. Wóz skrzypiał, coś się poruszało na jego koźle. Na tle rozgwieżdżonego nieba dobrze było widać, iż jest to jakaś kobieca postać z rozczochranymi włosami.

Poruszała się szybko. W górę i w dół. W górę i w dół.

Coś klasnęło. Zajęczał męski głos.

Herta wślizgnęła się pod plandekę i dotknęła skórą zimnego metalu. Targnęły nią dreszcze. Zacisnęła zęby. Tylko cisza mogła ją ocalić.

Mężczyzna zawył nieco głośniej. Potem umilkł. Kobieta się roześmiała. Po kilku chwilach trzasnął bicz. Furman cmoknął na konie. Furgon ruszył.

Herta przycisnęła się do metalu. Poczuła, że jest nieco wilgotny. Usta miała wysuszone na wiór, opuchnięty język tkwił w nich jak pełen drzazg drewniany klocek. Nie mogła się powstrzymać, aby nim nie dotknąć owej wilgoci.

To było mleko. Herta znalazła się wśród baniek z mlekiem.

Woźnica podśpiewywał coś gardłowym głosem, kobieta wtórowała mu, mocno fałszując. Trzasnęła gdzieś w pobliżu rozbita butelka. Ten dźwięk rozbawił ich obydwój. Zaśmiali się pełnym głosem. Beztróska, serdecznie, jazgotliwie.

Jechali długo. Herta z całych sił się broniła przed snem, który zaczynał ją ogarniać. Bała się, że już się nie obudzi, że popadnie w omdlenie, a potem nadejdzie śmierć. A to by oznaczało, że nie ujrzy Bettiny.

Przegrała jednak walkę z sennością. Zastygła, przycisnąwszy swe sine, poranione ciało do zimnych baniek z mlekiem tak mocno, jakby to były kafle pieca wydzielające dobroczynne ciepło.

Obudziły ją uderzenia. Otworzyła oczy. Rozzochrana kobieta biła ją pięściami po ramionach. Już świtało.

– Nienawidzę cię, Wilfried! – wrzeszczała. – Ze mną się migdalisz, a nagie dziwki na furze wozisz!

– Nie znam jej, nie znam – jęczał mleczarz. – Nie widzisz, Paula, że to jakaś chora? Nienormalna jakaś! Bezdomna przecież!

Rozzochrana kobieta zepchnęła nogami Hertę z fury.

– Won, kurwo! Won, menelico!

Ranna upadła na bruk i natychmiast się podniosła. Wszystko ją bolało.

Ale też wszystko w niej śpiewało z radości. Znajdowała się na Sonneplatz^[31]. Dwa kroki od swojego domu.

Poszła w jego kierunku poganiana przekleństwami i płaczliwymi tłumaczeniami furmana.

Na swoje podwórko dotarła niecały kwadrans później. Było tam pusto, tylko pod murem dopalało się ognisko, na którym zapewne pijacy przypiekali kromki suchego chleba, jak to mieli w zwyczaju w letnie i w wiosenne miesiące.

Drzwi do jej mieszkania były otwarte. Wbiegła tam pełna nadziei, że zaraz zobaczy dziecko.

Coś się poruszyło na łóżku. Oblała ją fala szczęścia. To jej córeczka. Dopadła do posłania.

Ale Bettina nigdy tak nie śmierdziała. Nie wydzieliała ze swego ciała zapachu torfu i gnijących jabłek.

– Zmartwychwstałaś, suko – usłyszała głos porywacza. – Zobaczyłem, że cię nie ma, to przyjechałem do ciebie... Nieładnie, oj, nieładnie... Ja cię zaprosiłem do pięknej sali, a ty uciekasz... Oj, nieładnie...

Poczuła, jak wielka silna dłoń ściska ją za gardło.

– Nikomu ani słowa. – Głos był teraz syczący jak u gada. – A pod poduszką zostawiam ci wiadomość: dokąd i kiedy masz przyjść. Będzie nas dwóch, weźmiemy cię, jakbyś była kurczakiem na rożnie: jeden od przodu, drugi od tyłu. Przygotuj się na ostry tartak. Ani słowa bykom. Jesteś w mojej mocy, ladacznico, bo mam twojego bękarta...

Wsunął jej kartkę pod poduszkę.

W ostatnim przeblasku świadomości zdawało się jej, że oto trzyma ją za gardło jej policjant i że to są ich zwykłe, dawne igraszki.

Uśmiechnęła się do niego, a on troskliwie otulił ją pierzyną.



Uśmiechała się do niego i teraz, gdy obudziła się w swym małym domku. Ale uśmiech zaraz zamarł jej na wargach.

Było ich dwoje.

Na odwróconej balii spoczywał pan Eberhard, jej dawny klient, ów policjant, którego lubiła nazywać w myślach swym kochankiem. Obok niego szefowa domu pod czerwoną latarnią przy Charlottenstrasse[32]. Panna Therese Berger rozpięła się na trójnożnym taborecie, niebezpiecznie trzeszczącym pod jej ciężarem.

– Obudziłaś się, Herto.

Ten truizm mężczyzna wyrzekł tylko po to, aby powiedzieć cokolwiek. Wiedział, że wystarczy tylko jedna dłuższa chwila ciszy w domu, w którym słycać było do niedawna płacz i gaworzenie dziecka, aby uwaga kobiety została natychmiast skierowana w stronę maleństwa.

W stronę dziecka, którego tu nie było.

Herta poruszyła się i spojrzała na puste łóżeczko. Potem podniosła kołdrę, która ją okrywała. Nie ujrzała tam jednak córeczki, lecz tylko swe posiniaczone nagie piersi. Nad jedną z nich był prowizoryczny opatrunek, uczyniony niezwykłą takich czynności ręką Eberharda.

Zaczęła krzyczeć:

– Nie ma! Nie ma Bettiny! To nie był sen!

Mock siedział jak skamieniały i wpatrywał się w bukiet suchych kwiatów stojący w wazoniku na skrzynce, która udawała szafkę nocną. Obok niego stała fotografia oprawiona w starannie wystrugane ramki. Przedstawiała słodkie, nagie niemowlę w czepku, leżące na tygrysyj skórze na stole w jakimś atelier. Dziecko się uśmiechało, pokazując dwa ząbki. „Bettinka” – mówił napis wykaligrafowany na dolnej ramce.

Wycie kobiety cięło teraz powietrze, chwilami załamywało się w szloch, czasami przechodziło w kaszel lub w mokry plusk śluzu w nosie.

Zaczęła się rzucać na łóżku, a panna Berger pochyliła się nad nią i delikatnie ujęła jej twarz w swoje miękkie, ciepłe dłonie.

– Gdzie jest moje dziecko?! Porwał mnie i Bettinę!

– Kto? – zapytał Mock. – Kto to był?

– Nie wiem, nie wiem, nie wiem. – Kobieta z każdym słowem przewracała głowę w prawo i w lewo. Jakby w jakimś transie albo opętaniu uderzała policzkami o poduszkę.

Eberhard poczuł łyzy pod powiekami. Nie wątpił, że są to łyzy pijackie, ale czuł też rozsadzające go żal i współczucie.

Nie te jednak emocje kazały mu teraz opuścić to skromne i czyste mieszkanko.

W piersiach kłębiła mu się wściekłość na samego siebie, a nawet wstręt do własnej osoby. Musiał wyjść i obficie splunąć, aby choć trochę podłości z siebie wyrzucić.

Narodziła się ona wraz z myślą, która mu zaświtała w głowie tuż po przebudzeniu, w prezydium policji przy Schuhbrücke^[33] 49, gdzie spędził noc. Była to myśl ohydna.

Wcześniej, po śmiertelnej walce bokserskiej, porzuciwszy ojca na pastwę dorożkarzy, inną dryndą pojechał wraz z panną Berger do mieszkania Herty przy Agnesstrasse^[34] 13. Tam czekali na nią do północy.

Mock obejrzał wtedy dokładnie całe mieszkanie i zapisał swoje obserwacje. Zwrócił uwagę na brak węgla pod piecem i zaraz dowiedział się od jednego z sąsiadów, właściciela pobliskich delikatesów nazwiskiem Paul Kache, że „panna Cycatka”, jak ją lubieżnie określił, miała komórkę trzecią po lewej stronie, licząc od wejścia do piwnicy.

Policjant udał się tam natychmiast i znalazł wiązkę drewnianych szczap obwiązanych sznurkiem, jakby przygotowanych do zanieśienia do domu. Było też tam coś, co przyśpieszyło bicie jego serca – pończocha wypełniona piaskiem, na której widniała niewielka plama z przyklejonymi do niej kilkoma długimi blond włosami.

Wrócił wtedy do domku Herty i ciężko usiadł na balii. Nie poinformowawszy – dla zaoszczędzenia czasu – panny Berger o znalezisku w komórce, poprosił, aby mu zrelacjonowała po kolei wszystkie zdarzenia tego dnia. Sam zaczął przy tym popijać dereniówkę.

Opiekunka kurtyzan opowiedziała mu o swojej wizycie u doktora Epsteina, o złości na Hertę z powodu złapanego gdzieś przez nią trypra. Nie wspomniała jednak ani słowem o orgiach w domku myśliwskim Freymorgena – pan doktor był zbyt znaną osobą i jej najlepszym klientem, w tym wypadku dyskrecja była cnotą, zwłaszcza że wiadomość o breweriach pod Ślężą nie wnosila, jej zdaniem, niczego do sprawy.

Mock słuchał tego wszystkiego, łykając wódkę wprost z butelki. Oczy miał coraz bardziej zamglone, jego mowa stawała się coraz bardziej bełkotliwa, a szyja coraz bardziej giętka. Raz mu się wymknęło jakieś niezrozumiałe, najpewniej

nieparlamentarne słowo pod adresem doktora Epsteina, które panna Berger przetłumaczyła sobie w głowie jako „obłąkany narkoman”. Zapisał zresztą w notesie to nazwisko rozstrzelonym i nierównym pismem, jakby sporządzał właśnie listę podejrzanych.

Równo o północy przekonał pannę Berger, że lepiej będzie, jeśli przyjdą tutaj rano.

– Ani tu spać, ani siedzieć nie ma gdzie... – zabełkotał.

Tak naprawdę powód był zupełnie inny. Pusta butelka.

Wyszli razem, ona pojechała dorożką na Charlottenstrasse[35], on załomotał do mieszkania właściciela delikatesów pana Kachego, od którego kupił butelkę wiśniowego sznapsa.

Potem powlókł się w stronę prezydium policji i właśnie tam spędził noc – padł na siennik na pryczy w jednej z cel więziennych, dokąd go wpuścił szef aresztu śledczego Josef Maron. Stary klawisz nie raz i nie dwa udzielał schronienia nadużywającemu trunków asystentowi policyjnemu, zatrudnionemu w decernacie obyczajowym, czyli w wydziale IIIb.

I właśnie następnego dnia tuż po przebudzeniu wraz z kacem nadeszła podła myśl, która wywołała u niego dzisiaj gorsze mdłości niż cała zatruta słodycz wczorajszego alkoholu.

„Dobrze, że przestałem u niej bywać roku temu”, brzmiała podła konstatacja. „Dobrze. Coraz częściej o niej myślałem. Tęskniłem za tą prostytutką. Może miałem się z nią ożenić? Z dziwką! Słusznie postąpiłem. Gdyby to dziecko było moje, to dopiero bym płakał!”

Wytarł się pod pachami wilgotną szmatą, dostarczoną mu przez troskliwego Marona, chwycił ledwo napoczętą wczoraj butelkę wiśniówki i wyszedł chwiejnym krokiem z celi. Pierwszemu napotkanemu fiakrowi kazał się wieźć do mieszkania Herty. Miał nadzieję, że jej córka też tam będzie.

Nadzieja była płonna.



Spała, a jej opuchnięta, sina twarz wystawała znad krawędzi pierzyny. Panna Berger wilgotną szmatką przecierała jej czoło.

Córeczka tu była, ale tylko *in effigie*[36]. Mock patrzył na fotografię Bettiny i teraz z całą bolesną, kacową jasnością zrozumiał swój straszliwy egoizm, który paskudnie mu brzęczał w głowie: „Ciesz się, że nie jesteś ojcem małej! Po co masz cierpieć? Lepiej baw się i pij do upadłego! Niech cierpią gorsi od ciebie, tacy jak ta dziwka!”.

Jednym przekleństwem stłumił w głowie ten szatański podszept.

W szufladzie znalazł wodę utlenioną, jakieś plastry, a nawet bandaż. Niewprawną ręką opatrzył dziewczynie ranę, a potem odwrócił znów balię i klapnął na nią, aż zatrzeszczała. Czuł się pijany. Siedział tak do momentu, aż Herta się obudziła i zaczęła znów wyć po stracie córeczki.

To było zbyt wiele na jak na nerwy Eberharda. Wyszedł na podwórko, potarł palcami oczy i splunął, wierząc, że wraz z plwociną wywali z siebie całą podłość myśli o Hercie i jej dziecku.

– Hej, patrzcie na tego aliganta, jak tam stoi! – krzyknął chrapliwy głos. – Jak chuj pana młodego na weselu!

Rozległ się śmiech.

Mock oderwał palce od powiek. Poprawił szelki pod kamizelką i ruszył w stronę trzech mężczyzn, najwyraźniej pijanych, zgromadzonych wokół wygasłego ogniska. Stał przed nimi na szeroko rozstawionych nogach.

Nie wyglądał tak dobrze jak na zawodach bokserskich. Na szczęście lekko jeżyła mu się szczecina, oczy miał podpuchnięte, krawat przekrzywiony, a popelinową koszulę niemiłosiernie wygniecioną po nocy spędzonej w celi.

– Mógłbym was zamknąć za zakłócanie porannego spokoju – wycharczał. – Mógłbym wyciągnąć blachę i już by was tu nie było! Spierdalalibyście stąd aż miło! Ale tego nie zrobię! Ja dwóch z was rozpierdolę i rozmażę na tej ścianie! A trzeci to mi buty wyczyści!

Wlazł z impetem w popiół ogniska i patrzył spokojnie na okrążających go mężczyzn. Nosili brudne koszule bez kołnierzyków, połatane kamizelki i kaszkiety z szorstkiego grubego materiału. Wydzielali smród przetrawionego alkoholu. Byli wyćwiczeni w bijatykach. Jak chude, wściekłe psy, szczerzące zęby.

Czuł, jak napinają się jego mięśnie. Przed oczami stanął mu obraz ojca okładającego go po grzbiecie kijem.

Zachodzili go ze wszystkich stron. Dwaj z nich unieśli pięści, w dłoni trzeciego, blondyna z przygolonym od góry wąsikiem, trzasnął nóż sprężynowy.

– Co tu się dzieje?! – rozległ się nagle potężny głos. – Co to za rozróżba, panie asystencie kryminalny?

Mock przypomniał sobie, że – wychodząc rankiem w półpijanym stanie z prezydium – kazał gońcowi Peterowi lecieć w te pędy po doktora Lasariusa z prośbą, by ten przybył do oficyny na Agnesstrasse^[37] 13. I medyk to uczynił.

– Może w czymś pomóc? – zapytał, lekko sepleniąc.

W półotwartych ustach krzywe zęby zaciskały mu się na ogryzku cygara. Stał na środku podwórza i budził u bandytów wyraźny respekt. Zapewne nie swym groźnym wzrokiem, którym ten wysoki, żylasty mężczyzna o dziobatej twarzy, upstrzonej jaśniejszymi nieco plamami, piorunował teraz podwórkowych rzezimieszków. Nie ostrym laboratoryjnym nożem, który dzierżył w dłoni ten znakomity znawca pośmiertnych procesów w materii organicznej.

Wzbudzał strach gumowym fartuchem, na którym widać było rozpryski krwi. Tytuł, jakim obdarzał swego kolegę, uświadomił „władcom zaułka”, że „aligant” nie kłamał. Był bykiem. A atak na byka równał się kłopotom. I to dużym.

Bandyci przywarli do muru i zaczęli się wycofywać, nie odrywając pleców od cegieł. Jeden po drugim opuszczali strefę zasięgu ramion Mocka i Lasariusa.

Dwaj zniknęli w otwartych drzwiach piwnicy. Trzeci nie zdążył. Mock złapał go za rękaw i szarpnął. Mężczyzna zatrzymał się i przywarł do muru.

Eberhard uniósł utyłany popiołem trzewik.

– No, na co czekasz? – zapytał. – Rękawem mi te buty z kurzu wyczyść, ale już!

Poczuł, że jest w tej scenie bardzo podobny do swego ojca. Niegdysiejszy władca wałbrzyskich zaułków właśnie w taki sposób upokarzał ludzi.

Jego syn puścił wolno blondyna z przygolonym wąsikiem i spojrzał z wdzięcznością na Lasariususa.

– Jestem na pańskie wezwanie. – Ten schował nóż laboratoryjny do specjalnej kieszeni fartucha. – Pański goniec oderwał mnie od ciała boksera. Byłbym szybciej, ale musiałem zatelefonować do inspektora Mühlhausa i przedstawić mu wstępne wnioski z obdukcji. Co to za zwariowana noc... – Spojrzał na zegarek, który z trudem wy dostał z kieszeni spodni. – Dopiero trzy kwadranse na dziewiątą. Ledwo skończyłem sekcję, a tu jestem wzywany do oględzin kolejnych zwłok, prawda?

– Nie, tu nie ma żadnych zwłok – rzekł Eberhard cicho i wskazał głową murowaną przybudówkę. – Poprosiłem pana doktora do ciężko pobitej kobiety. Ona leży tam, w szopie... Wymaga pilnej pomocy.

Lasarius spojrział zdumiony na Mocka. Zamiast jednak powiedzieć: „Co to ma znaczyć? Czy ja jestem lekarzem pomocy medycznej przy nagłych wypadkach?“, mruknął z rezygnacją:

– No cóż... *Salus aegroti suprema lex*[38].

Ruszył w stronę przybudówki. Mock tymczasem oparł stopę o mur i chusteczką oczyścił but z popiołu.

– Zaraz przyjdę – odpowiedział na nieme pytanie Lasariususa. – Nie godzi się wchodzić do niczyjzego mieszkania w brudnych butach.

Doktor patrzył na policjanta przez dłuższą chwilę.

– Za dużo pan pije, Mock. Pomoc jest potrzebna również panu. Ale ona przekracza moje kompetencje. Tu trzeba lekarza od duszy, a ja jestem tylko medykiem od trupów.

Czterej funkcjonariusze, pełniący służbę w inspekcji policji kryminalnej pod wodzą inspektora Heinricha Mühlhauasa, przybyli do sali gimnastycznej na Kępie Strzeleckiej przed godziną dziewiątą rano, tuż po odprawie. Rozkaz, jaki otrzymali od swego przełożonego – aby całą salę, ring i szatnie przeszukać „cał po calu” – wydał im się nadzwyczaj dziwny i nieracjonalny.

Komentowali go już w służbowym furgonie, który ich wiozł z prezydium policji na Kępę Strzelecką. Z ich ust padało wiele nieprzychylnych słów pod adresem szefa.

– Zwariował stary dureń – perorował najmłodszy tutaj, trzydziestoletni komisarz Ludwig Knoff, człowiek niewysoki, szczupłej postury, obdarzony budzącym respekt niskim głosem. – Przecież tutaj policja nie ma nic do roboty! Jeden gladiator walnął na ringu w ryj drugiego i ten wykorkował. I tyle.

– Aż czterech nas wyznaczył? – wściekał się komisarz Emmanuel Amelung, wysoki, z rumianym obliczem wesołego opoja. – Czterech z jedenastu swoich podwładnych? Do sprzątanania po kątach jakiejś sali gimnastycznej?

– Przestań narzekać, Emmi. – Richard Eckmann, najstarszy z nich wszystkich, dobiegający pięćdziesiątki, starannie ogolony i pachnący z daleka dobrą wodą kolońską, poklepał go po ramieniu. – Służba to służba! Rozkaz to rozkaz!

– Idiotyczny rozkaz to jak pierdnięcie – rzucił sentencjonalnie Knoff. – Wiemy, kto kogo zabił! Co tam mielibyśmy niby znaleźć? Przepecone skarpety?

– Stuknij się w ten pusty łeb, chłopczyku! – Amelung się roześmiał, ale jego oczy pozostały poważne. – *Corpus delicti*, młody człowieku! Na przykład kastet. Przecież Lasarius przekazał już starym wyniki sekcji. I już wiemy, że coś z tą walką było nie tak! Rękawica bokserska to nie młot pneumatyczny!

Knoff umilkł. O jego niskiej pozycji świadczyło to, że do każdego się zwracał *per* „pan”, podczas gdy wszyscy mówili mu na „ty”.

– Złamany oczodół, obrzęk mózgu – wyrecytował Eckmann. – Tak pisał „zimny doktor”. To prawda. Coś z tą walką było nie tak. Musisz szukać i wąchać

po kątach. Jeśli znajdziesz na przykład podkowę, to masz awans w kieszeni, młody!

– Podkowę? – Zdumiał się Knoff.

Władczym gestem obejmował dużą skrzynkę z proszkiem daktyloskopijnym. Czuł się ważny i potrzebny.

– No, pomyśl, chłopcze – rzekł Amelung ojcowским tonem. – Coś musiało mu złamać ten oczodół...

– Przecież gdyby ten zabójca na ringu rzeczywiście miał jakąś pancerną rękawicę – nie ustępował młody policjant – toby się już jej pozbył. I czego mamy szukać? Należy tego Behringera wziąć w obroty, i tyle!

Umilkli. Młody mówił rozsądne.

– Panowie, czy Lasarius kiedykolwiek zaczynał pracę o piątej rano tak jak dzisiaj? Nigdy. – Podsumował Ferdinand Ulbrich, czwarty z nich, milczący dotąd czterdziestoparoletni rudzielec o szczupłej sylwetce i nieoczekiwanie dużym brzuchu. – Słyszeliście kiedyś o takim cudzie, aby trzy godziny po sekcji nasz stary znał jej wyniki? Nigdy. Widzieliście go kiedyś tak wkurzonego na odprawie? Bo ja nie. Tu coś śmierdzi i wcale to nie są przepocone bokserskie skarpety... – Położył swoją ciężką dłoń na ramieniu Knoffa. – Posłuchaj, chłopcze! Przestępcy nie są „geniuszami zła”. Oni są często prostakami i prymitywami, u których po dokonaniu zabójstwa uruchamia się zwierzęcy instynkt ucieczki. I uciekają. Głupio i bezmyślnie. A na miejscu zbrodni pozostawiają ślady. Ewidentne jak podpis i wpychające do piekła jak cyrograf. Nie gadaj już i bierz się do roboty.

Z pewnym ociąganiem wszyscy przystąpili do spełniania swych obowiązków.

Po żmudnych i długich przeszukiwaniach cal po calu Ferdinand Ulbrich i Richard Eckmann wleźli pod ring z zapalonymi latarkami. Posuwali się tam na czworakach, brnęli wśród odłamków szkła po rozbitych kuflach, beztrąsko zamiecionych pod deski. Brudzili się przy tym okropnie.

Ale opłacało im się. Eckmann na coś natrafił. *Corpus delicti* – odłamki gipsu i kawałek tejże substancji owinięty ni to bandażem, ni to jakąś opaską. Pokazał to

Ulbrichowi.

Ten kiwnął głową z aprobatą. Wszedł spod ringu i machinalnie otrzepywał spodnie z kurzu. Rozglądał się przy tym na boki. I wtedy ujrzał ślad po gipsie na parkiecie. Jakby Behringer walnął dłonią o parkiet, skruszył gips i kopnął jego resztki pod ring.

Ulbrich znał dobrze tego boksera przed jego odsiadką, gdy ów był jeszcze bandytą, napadającym na ludzi wokół Rynku Solnego^[39]. Policjant był pewien, że mógł on bezmyślnie kopnąć gips pod ring. Kilka lat temu go zaaresztował i posadził za kratki. To naprawdę nie był geniusz zbrodni. Raczej brutal o mózgu kijanki.

Ulbrich wszystko, co zebrali pod ringiem, schował do dużej brązowej koperty i mrugnął na Richarda Eckmanna.

– Coś panowie znaleźli? – Knoff oderwał się od statywu fotograficznego i przypatrywał się kopercie. – Coś może ważnego?

– Lubisz sentencje, chłopcze? – zapytał go z uśmiechem Eckmann. – No to ci powiem jedną. Zapamiętaj. Każda rzecz jest ważna lub nieważna. Zależy, kto na nią patrzy.

Klepnął Ulbricha w bark i obaj oddalili się od Knoffa. Wyszli z sali gimnastycznej odprowadzani złym spojrzeniem jej właściciela Eugena Schliepsa, który właśnie teraz zeznawał Amelungowi o obecności na walce niejakiego Eberharda Mocka, asystenta policyjnego z obyczajówki.

Ulbrich i Eckmann udali się w stronę rewiru przy Rossplatz^[40]. Działali ramie w ramię. Razem odnosili sukcesy i cierpieli po porażkach.

Nie tylko Schlieps patrzył na nich ze złością. Wyraz twarzy Knoffa również zdradzał to samo uczucie. Miał dość karmienia truizmami przez jakiegoś Klugscheissera^[41]. Nie czuł się już ważny i potrzebny.



Inspektor Mühlhaus – do momentu, aż połączono go z rewirem przy Rossplatz^[42] i usłyszał spokojny głos Ferdinanda Ulbricha – miał nadzieję, że ta sprawa rozejdzie się po kościach. W głębi duszy liczył, że okaże się zwykłą bijatyką, w której jeden drab uderzył innego draba zbyt mocno. Że niedługo wszystkie dotyczące jej papiery – protokół sekcji zwłok, notatki z rozpytywania świadków – znajdą właściwie sobie miejsce na półkach zakurzonego archiwum.

Tymczasem wiadomość o gipsie zmieniała wszystko. Zapowiadała duże kłopoty.

Nieżywy bokser budził zainteresowanie kogoś, kto był na tyle potężny, aby po nieszczęsnej walce zatelefonować do Mühlhause o drugiej w nocy i wyrwać go ze snu.

– Szybko! Bardzo szybko! – Owa osobistość cedziła wtedy słowa. – Szybko macie rozwiązać tę sprawę, a jeśli było to coś więcej niż wypadek... To sprawca tego „więcej” ma się równie szybko znaleźć pod toporem. W przeciwnym razie trafi pan do policji wodnej w Miliczu i będzie pan ścigał kłusowników łowiących karpie po nocy. Rozumiemy się, panie inspektorze kryminalny?

Mühlhaus bardzo dobrze wszystko zrozumiał. Długo siedział w swym gabinecie w pięknej willi przy Schenkendorfstrasse^[43], palił fajkę i gładził się po długiej, niemodnej już brodzie.

Nie mógł zwlekać. Słowa nocnego rozmówcy były rozkazem. O czwartej nad ranem zatelefonował do Lasariususa i ubłagał doktora, by ten dokonał błyskawicznej sekcji zwłok. Trzy godziny później, posiadając już jej wynik podyktowany telefonicznie, zrobił nadzwyczajną odprawę, a do sprawy Mittaga wyznaczył aż czterech swoich ludzi – najlepszych, jak Ulbrich, lub dobrze rokujących, jak Knoff.

Ulbrich i Eckmann siedzieli teraz w komisariacie rewiru VII i nie odłożywszy słuchawki, czekali na decyzję szefa. Ten wydał w końcu dwa krótkie rozkazy.

– Behringera aresztować. Bukmacherów prześwietlić.

Po namyśle dodał:

– Eberharda Mocka wezwać.



Asystent policyjny miał już dość tego zaplutego podwórka. Stał tam od rana, wdychał ciężkie powietrze nieruchomo zalegające między ścianami, skołowaciałym językiem przesuwiał po spierzchniętych ustach i ocierał pot płynący mu po czole i sklejąjący tłuste włosy. Wiśniówki dziś nie tknął, kaca nie uleczył, jakby jego dolegliwościami sam chciał siebie za coś ukarać. Wciąż dźwięczał mu w uszach wysoki krzyk Herty Rossenbach:

– Znajdź moje dziecko! Błagam!

To były jedyne słowa, jakie wypowiedziała nieszczęsna kobieta, oprócz wspomnienia, że porywacz ją zawiózł do kościoła, do jakiejś wysokiej katedry, gdzie w nawach bocznych stały jakby feretrony. Pamiętała też staw i liczne gwiazdy odbijające się w wodzie. Niczego więcej sobie nie przypominała, na indagowanie o szczegóły nie reagowała inaczej niż tylko krzykiem:

– Znajdź moje dziecko! Błagam!

Mock, spodziewając się, iż oględziny dokonane przez Lasariusza przekroczą granicę intymności, uprzejmie odprawił pannę Berger i sam wyszedł na puste podwórko, z którego wcześniej wraz z medykiem *viribus unitis*[44] przepędzili byli miejscowych zbirów. Zapalił papierosa i czekał na opinię doktora.

Po upływie dwudziestu może minut, w czasie których Mock planował dalsze działania – rozpytanie miejscowych lokatorów – Lasariusz wyszedł, stanął obok i zapalił cygaretkę, nie mniej smrodliwą niż jego ulubione cygara Sułtan.

– Została uśpiona chloroformem – powiedział, wydmuchując kłęb dymu. – Nie została zgwałcona. I wciąż żyje. Powiem więcej, ona będzie żyła.

W przekrwionych od niewyspania i alkoholu oczach Eberharda pojawił się błysk radości. Uśmiechu też nie pohamował.

– Zawdzięcza to swojej budowie anatomicznej – ciągnął medyk, nie zwróciwszy uwagi na pantomimę rozmówcy. – Kobieta ta ma niezwykle rzadkie, odwrotne, prawostronne ułożenie trzewi i narządów. Ma serce po prawej stronie, *Herr Polizei-Assistent!* Bydlak, który wbił w nią duży nóż, sztylet, a może i bagnet,

nie miał o tym pojęcia. Myślał, że doszedł do serca. A ostrze nawet płuca nie przebiło, bo uniemożliwiła mu to gruba, bardzo gruba warstwa tkanki tłuszczowej na piersiach. Ta kobieta ma z natury duży biust, a do tego jest teraz matką karmiącą.

– Tylko nie ma kogo karmić – szepnął Mock z goryczą.

Lasarius pokiwał głową.

– Nie wziąłem ze sobą stetoskopu, bo sądziłem, że mnie pan wzywa do trupa – powiedział po chwili. – Ośluchałem ją starą jak świat metodą, czyli za pomocą szklanki. W płucach normalny szmer, nie ma odmy. Zdezynfekowałem ranę jodyną i założyłem bandaż. Tamten opatrunek, co był wcześniej, to kto zakładał? Pan?

Eberhard pokiwał głową.

– Tak sądziłem – skomentował tę informację Lasarius. – Dobre chęci, umiejętności małe.

Wypuścił kłęb dymu w stronę błękitnego spłachetka nieba widocznego między kamienicami.

– Niech jej ktoś pilnuje! Ona może sobie zrobić coś złego. Powiesić się na przykład.

Popatrzył na Mocka spokojnym wzrokiem.

– Ale tym kimś nie może być pan. Pan musi zrobić to, co ona wciąż powtarza... O co ona ciągle błaga. Znaleźć jej dziecko.

Pstryknął cygaretką w kąt podwórka i spojrzał Mockowi prosto w oczy.

– Na trzeźwo, Eberhardzie! Tylko na trzeźwo. To zbyt poważna sprawa, by ją jeszcze mącić twoimi alkoholowymi majakami.



Przy Albrechtstrasse^[45] 15 stała trzypiętrowa niepozorna kamieniczka. Choć kształtna i harmonijnie zaprojektowana, rzadko zwracała uwagę przechodniów. Przytłaczały ją okazalsze budynki. Po prawej stronie rozpierał się wielki dom towarowy pod znaną na całym Śląsku marką Ohlendorff & Co., oferujący

wyposażenie mieszkań i biur; po lewej zaś swym mieszanym romańskim i gotyckim pięknem przyćmiewał ją budynek narożny, przechodzący na Bischofstrasse^[46] – mieściły się w nim hotel, winiarnia, jedna z najlepszych kwiaciarni w mieście oraz damski fryzjer Paul Paprotny, do którego wrocławskie damy musiały się zapisywać przynajmniej z dwutygodniowym wyprzedzeniem.

I tutaj, pomiędzy te znane wszystkim mieszkańcom kamienice, wciskał się mniejszy od nich budynek, który od dekad był w posiadaniu rodziny Scheche. Jej obecna głowa, pan August Scheche, nosił dumny tytuł „generalnego przedstawiciela królewskich loterii” i prowadził koncesjonowany punkt sprzedaży rozmaitych kuponów loteryjnych.

Dochód z tej działalności nie był wielki, ale uzupełniało go komorne płacone przez solidnych i słownych lokatorów, składających się głównie z przedstawicieli handlowych oraz z urzędników miejskich. Inni najemcy również – szczęśliwym trafem – nie zostali zrujnowani przez Wielką Wojnę. Antykwariat Trewendt & Granier, zajmujący parter od frontu, sklep z kasami pancernymi oraz atelier fotograficzne, specjalizujące się w ogromnych powiększeniach zdjęć – szefowie wszystkich tych firm płacili regularnie za wynajem swych siedzib, pomieszczeń i witryn.

Pan August Scheche, nie mający zbyt wielkich potrzeb, prowadził zatem swój punkt loteryjny i zadowalał się dochodami z najmu, może nie tak dużymi jak przed wojną, ale na pewno nie dającymi powodów do narzekań.

Narzekał natomiast jego młodszy o piętnaście lat brat imieniem Max. W odróżnieniu od Augusta, wiernego małżonka i ojca pięciorga dzieci, młodszy Scheche był kawalerem i miał całkiem inne, dużo większe potrzeby niż zarządzający kamienicą *pater familias*.

Można by je określić krótko – piękne, młode kochanki. Nie byłoby w tym nic wyjątkowego, gdyby nie wyrafinowany gust Maksa Schechego. Nie zadowalał się prostytutkami. On chciał mieć cały harem wiernych mu i gotowych na każde skinienie odalisek.

Nie było to proste. Należało słono zapłacić pośrednikom za znalezienie takich dziewcząt, a ich późniejsze utrzymanie – bo to był niezmiennie stawiany przez nie warunek stałości i wierności swemu „sułtanowi” – kosztowało fortunę.

Nic zatem dziwnego, że Max Scheche, który pozazdrościł erotycznych uciech tureckim możnowładcom, rozpaczliwie potrzebował pieniędzy.

Był odważny, sprytny, przebiegły i bezwzględny, jednak do pełni szczęścia trochę mu brakowało. Nie mógł sobie pozwolić na takie życie, o jakim marzył, i zaczął planować to samo co wielu ludzi mających nadmierne oczekiwania od losu – oszustwa i nielegalne interesy.

Oszukiwał własnego brata, prowadząc na tyłach sklepu z kasami pancernymi – w tajemnicy przed Augustem oraz w porozumieniu z właścicielem tegoż interesu, niejakim Hansem Floterem – założony przez siebie punkt przyjmowania nielegalnych zakładów. Ponieważ oferował wysokie wygrane i na początku miał niebywałe szczęście, wkrótce punkt zaczął bardzo dobrze prosperować.

Młodszy Scheche opłacał milczenie stróżów prawa z II policyjnego rewiru przy Sandstrasse^[47] 12 i działał pełną parą. Obstawiali u niego zakłady miłośnicy psich i konnych wyścigów, kibice piłkarscy, a nawet obserwatorzy życia politycznego prognozujący wygraną tej czy innej partii. On sam kilka dni przed zakładami wzywał do siebie informatorów, którzy komentowali każde typowanie. Ponieważ jego brat August zaczął coś podejrzewać, Max postanowił poprowadzić swój lukratywny interes w jakiejś innej lokalizacji.

Już kilka takich znalazł, już miał rozwinąć skrzydła, gdy nadszedł feralny kwietniowy dzień. Zjawił się u niego nie znany mu wcześniej, elegancko ubrany, pięćdziesięcioletni na oko mężczyzna z dziwnym pasem siwizny przecinającym wpół gęstą czarną fryzurę.

Zamożny pan postawił pięć tysięcy marek na wygraną boksera Arnolda Behringera w walce przeciwko Georgowi Mittagowi. W razie wygranej tego pierwszego elegancki hazardzista miał otrzymać dokładnie trzydzieści pięć tysięcy marek, co równało się cenie małego domku pod miastem.

Max Scheche był sprytny i przebiegły. Wiedział od swych informatorów, że Behringer nie ma szans z Mittagiem, a zatem walka najpewniej jest ustawiona. Jak najuprzejmiej mógł, odmówił zatem zamożnemu panu. Ten wyszedł z tajnego kantoru wyraźnie rozczarowany, obiecując, że następnego dnia o tej samej porze ktoś od niego przyjdzie i sprawdzi – może bukmacher zmieni zdanie?

I Scheche rzeczywiście podjął inną decyzję. Zasięgnął znów języka i okazało się, że walkę Mittaga będzie obserwował jakiś bogacz z Hamburga, który pomaga niemieckim bokserom zrobić karierę w Ameryce, a mówiąc bardziej dosadnie – sprzedaje ich na rynku amerykańskim tamtejszym nababom zbijającym fortuny na sportowych widowiskach. Pięściarz Mittag dołoży zatem wszelkich starań, aby się nie skompromitować przed hamburczykiem, a Behringer zapewne nie doczeka drugiej rundy.

Następnego dnia przyszło do niego dwóch potężnych chłopów z pytaniem, czy aby nie zmienił zdania i jednak nie przyjmie zakładu.

Zrobił to.

Nie wiedział, że owe osiłki – w razie odmowy – miały zastosować wobec niego siłową perswazję. Nie miał też pojęcia, że jego informatorzy siedzieli w kieszeni owego zamożnego pana i mówili to, co im nakazał. Zgodziwszy się na przyjęcie zakładu, oszczędził sobie mnóstwa kłopotów, z których zdemolowanie punktu bukmacherskiego było najmniejszym, a zgwałcenie którejś z jego kobiet – największym.

Kiedy następnego dnia po walce przyszedł czas wypłaty trzydziestu pięciu tysięcy marek, Max Scheche dostał paroksyzmów wściekłości. Wypłacił ludziom, którzy okazali mu kwit zakładu, całą sumę, a potem zerwał znajomość z dwiema ze swoich kochanek, na które już nie było go stać. Całą swoją furię postanowił skierować przeciwko eleganckiemu panu. Zemsta miała być sroga.

Z pobliskiej Poczty Głównej przy Mäntlergasse^[48] zatelefonował do policyjnego rewiru II i – nie przedstawivszy się – powiedział o ustawionej jego zdaniem walce Behringer *contra* Mittag. Miał nadzieję, że policja zacznie węszyć

i dotrze do mężczyzny z charakterystyczną fryzurą. Ze strachu nie opisał go jednak ani słowem. Emocje przysłaniały mu racjonalne myślenie.

Zwykle z tego rodzaju anonimowych doniesień sporządzano krótką notatkę i odkładano ją *ad acta*. Nikt nie miał czasu zajmować się takimi donosami. Były ważniejsze sprawy niż ustawione walki. Ale tym razem postąpiono inaczej. Wszystkie rewiry zostały bowiem zobligowane przez Mühlhauasa, aby meldować natychmiast inspekcji kryminalnej prezydium policji o najmniejszych nawet wzmiankach i plotkach na temat ustawionego pojedynku bokserskiego.

Szef rewiru komisarz policji Martin Zucker zatelefonował do Mühlhauasa, a ten natychmiast po rozmowie podjął decyzję, zwłaszcza że Ulbrich położył mu na biurku torebkę z resztkami gipsu.

Policja zadziałała błyskawicznie. W południe owego ciepłego kwietniowego dnia, nazajutrz po wygranej walce, bokser Arnold Behringer został aresztowany.



Eberhard Mock już się wybierał, aby przesłuchać doktora Epsteina i lokatorów, kiedy jakiś dzieciak na podwórku wykrzyknął do niego zuchwale: „jakiś szpicel cię szuka” i stoi pod kamienicą „jak chuj na weselu”. Tu chłopak, naśladujący porównania swoich bandyckich mentorów, splunął obficie na znak pogardy.

Mock pogroził mu palcem dla zasady i wyszedł na trotuar. Tym „szpiclem” był młody Ludwig Knoff, który oznajmił Mockowi, że muszą natychmiast się udać do Mühlhauasa.

Eberhard poklepał napoczętą poprzedniego dnia butelkę wiśniówki i przeprosił Knoffa na chwilę. Poszedł po raz ostatni na podwórko, gdzie teraz siedzieli rozgonieni przez niego niedawno bandyci dowodzeni przez blondyna z przygolonym wąsikiem.

Mock wręczył mu alkohol i powiedział pojednawczo:

– Gdyby się źle poczuła, to idźcie do wenerologa z Gartenstrasse, nad drogerią, i powiedzcie mu, że Mock każe do niej przyjść!

– A ty się źle nie poczujesz? – mruknął kompan blondyna. – Wyszniysz bez gorzały.

– Od dzisiaj nie piję – sapnął Mock.

Swoją decyzję mógłby uzasadnić tylko jednym: musiał odnaleźć dziecko i nie mógł sobie pozwolić na żadne umysłowe dziury, żadne luki w pamięci.

Podszedł do framugi drzwi domku Herty i zapisał tam ołówkiem nazwisko swoje oraz „dr Rudolf Epstein”.

– Pilnujcie jej, chłopaki, to dobra dziewczyna!

– I bez ciebie, glino, wiemy, że dobra...

Blondyn, patrząc wyzywająco na Eberharda, wylał całą zawartość butelki w popiół ogniska.

Mock pokiwał w spokoju głową, odwrócił się i wyszedł, słysząc za plecami gwizdy, przekleństwa i wyzwiska, z których „kuternoga” było najbardziej eleganckie.

Nie dziwił się niczemu. W takich miejscach i od takich ludzi nie oczekiwał fanfar na swoją cześć.

[31] Obecnie pl. Legionów.

[32] Obecnie ul. Krucza.

[33] Obecnie ul. Szewska.

[34] Obecnie ul. Bałuckiego.

[35] Obecnie ul. Krucza.

[36] Na wizerunku (łac.).

[37] Obecnie ul. Bałuckiego.

[38] Dobro chorego najwyższym prawem (łac.).

[39] Salzring (niem.), obecnie pl. Solny.

[40] Obecnie pl. Strzelecki.

[41] Ten, co sra mądrościami (wulg. niem.).

[42] Obecnie pl. Strzelecki.

[43] Obecnie ul. Orła.

[44] Wspólnymi siłami (łac.).

[45] Obecnie ul. Oławska.

[46] Obecnie ul. Biskupia.

[47] Obecnie ul. Piaskowa.

[48] Obecnie ul. Krawiecka.

IV

Przemocą

NA BIURKU DOKTORA RUDOLFA EPSTEINA panował bałagan. Walały się tam pogryzione ołówki, niektóre tak krótkie, że trudno je było uchwycić. Pod zardzewiałą i przymocowaną do blatu jak imadło temperówką skręcały się spirale lakierowanego drewnianka – pozostałości po ostrzeniu ulubionych przyrządów piśmienniczych doktora. Błat był upstrzony okruchami chleba i suchymi listkami jakichś ziół, a wśród tego wszystkiego walały się szkiełka mikroskopowe. Niektóre całe, inne – potłuczone.

Eberhard Mock nie poszedł do Mühlhausa, Knoffowi oświadczył, iż ma ważniejsze sprawy na głowie niż śmierć gladiatora. Nie dbał o to, czy młody powtórzy jego słowa swemu szefowi, czy też nie.

Siedział teraz naprzeciw Epsteina i patrzył na te szkiełka. Nie mógł zrozumieć, dlaczego lekarz ich stąd nie usunie. O niebezpieczeństwie, jakie niosły ze sobą – i to wcale nie jakimś hipotetycznym – świadczyło kilka kropel zaschniętej krwi na jednym z nich.

– Mam alibi – powiedział lekarz i otarł załzawione oko. – Wczoraj od godziny dziesiątej do czwartej przyjmowałem pacjentów, tutaj w mojej ordynacji.

– Pacjentów oraz interesantów – poprawił go policjant. – Panna Berger nie była pańską pacjentką.

Medyk milczał. Ręce mu drżały. Żrenice miał powiększone tak bardzo, że uniemożliwiały stwierdzenie, jakiego koloru są jego oczy, co zresztą Mocka niewiele obchodziło.

Epstein nie wytrzymał tego milczenia. Poruszył się gwałtownie, spojrzał na szufladę biurka, a potem na swego rozmówcę. W jego oczach migotało wiele uczuć, ale żadne z nich nie było dla Eberharda miłe.

– Panna Berger nie była moją pacjentką! – prawie krzyknął wysokim głosem. – Ale pan był! Przed rokiem pan był u mnie i błagał o pomoc.

Cios był celny. Mocka, który nie pił dopiero od kilkunastu godzin, ogarniała już abstynencyjna euforia. Kac prawie minął, czuł się dobrze, zdawało mu się, że cały świat ma u swych stóp.

Z pogardą i wyższością patrzył na lokatorów domu, przeważnie nietrzeźwych lub „wczorajszych”, którzy bełkotliwymi głosami na każde jego pytanie o pannę Rossenbach odpowiadali: „nie wiem”, albo – dla odmiany – „nie widziałem”. Jeden z miejscowych łobuzów oznajmił Mockowi wprost, że tutaj ludzie nie lubią policji i trzymają język za zębami, choćby im matkę zabiło.

Spośród przesłuchiwanym dzisiaj osób jedynie bileter z kina Kronprinz, niejaki pan Paschke, przekazał dwie interesujące informacje. Otóż w czasie wyświetlania komedii *Moja żona jest aktorką filmową* w reżyserii Ernsta Lubitscha bileter wyszedł na podwórko, aby odetchnąć świeżym powietrzem, i ujrzał, jak znana mu panna Herta, młoda samotna matka, przychodząca do kina – najczęściej w towarzystwie koleżanki, miejscowej praczki – zmierza przez podwórko do swojego lokum, pchając wózek. Co więcej, na pytanie Mocka, czy zauważył coś podejrzanego, bileter odparł, że i owszem:

– Na sali brakowało jednego widza, pana w kapeluszu i z akordeonem, nie zauważyłem, kiedy wyszedł...

O akordeoniście bileter nie potrafił dodać już niczego, co by ułatwiało jakiegokolwiek rozpoznanie. Co gorsza, tego dnia na południowym seansie nie było nikogo, kogo pan Paschke by znał, a zatem nie potrafił wskazać świadka, od którego Mock mógłby uzyskać dodatkowe informacje na temat tajemniczego widza.

Policjant przypominał sobie wszystko nie po to, aby teraz, akurat w tym momencie, gdy siedział u Epsteina, dokonywać rekapitulacji śledztwa. On chciał opanować gonitwę myśli. Doktor jednym ciosem rozpędził jego całą abstynencyjną radość.

Zupełnie sobie nie przypominał, aby był kiedykolwiek pacjentem tego lekarza chorób skórnych i wenerycznych. Tę niepamięć wyjaśniało jedno – w czasie wizyty u niego musiał być tego pijany. Dzisiejszego dnia – w dumnym poczuciu trzeźwości – nie chciał, aby ktokolwiek mu przypominał o dawnym picciu.

– Tak, tak. – Doktor jakby rozumiał jego ponure milczenie. – Był pan u mnie. Pijaniutki jak nieboskie stworzenie. Tak, tak, miał pan krostki tam na dole. Nic wielkiego. Drobiazg. Drożdżyca. Żaden tryper czy, Boże broń!, syfilis. Ale trzeba uważać. I nie zbliżać się do żadnej dziewczynki bez kapturka na głowie!

„Faktycznie – pomyślał Eberhard. – Nie wiedziałem, skąd potem w mojej marynarce była maść na drożdżycę. Myślałem, że to jakiś aptekarz, a to ten mi dał! No i co? Pomogła”.

Spojrzał na lekarza twardo.

– Proszę o spis pacjentów i interesantów – powtórzył tę frazę – którzy u pana wczoraj byli pomiędzy dziesiątą a drugą! Oni potwierdzą pańskie alibi.

Medyk poruszył się i uderzył dłonią w stos zawiązywanych na tasiemki kartonowych teczek. Uniósł się z niego kurz, a jego obsypana łupieżem marynarka wydzieliła woń stęchlizny.

– Nie mogę – powiedział szybko i kilkakrotnie przełknął ślinę. – Obowiązuje mnie tajemnica. Ja leczę wstydlive choroby. To szanowani obywatele i obywatelki. Tacy jak pan. Pan by chciał, abym ujawnił jego schorzenie?

Tego było już za dużo dla Mocka jak na pierwszy dzień trzeźwości. Sapnął ciężko, podszedł do lekarza. Wszystko to uczynił powoli.

Teraz jednak nadszedł czas na działania szybkie. Uniósł nogę i popchnął obrotowy fotel, na którym medyk siedział. Mebel podjechał aż po szklaną gablotę, w której stały probówki, menzurki i maści. Uderzył lekko w szybę, a ta zabrzęczała ostrzegawczo.

Eberhard otworzył szufladę biurka. Jednym z ołówkowych ogryzków zaczął przesuwac zalegające tam szpargały. Nagle coś brzęknęło.

Policjant wyjął strzykawkę. Twarz lekarza pokryła się teraz kropelkami potu. W półotwartych ustach pojawiła się jakby biała piana, gęste smugi śliny.

– Dostanę spis twoich pacjentów, konowale? – zapytał słodko Mock. – Czy mam rozdeptać tę strzykawkę z magicznym eliksirem?

Niedługo czekał na decyzję. Otrzymał spis pacjentów z poprzedniego dnia. Jego wiedza o stanie zdrowotnym kilkorga wrocławian wielce się wzbogaciła.

Na temat napadu na Hertę Rossenbach oraz na temat porwania jej córeczki – ani na jotę.



Jedną z najmniej okazałych kamieniczek na wrocławskim Rynku był barokowy dom Pod Złotym Psem. Stał na rogu pierzei wschodniej oraz Albrechtstrasse^[49] i tylko ta lokalizacja – każdy, kto wchodził do serca miasta od północy lub od wschodu musiał przejść obok niego – sprawiała, iż w ogóle zwracano nań uwagę. Tuż obok rozpierał się ogromny dom towarowy i szwalnia, gdzie pod szyldem „Louis Lewy Jr.” szyto gotowe płaszcze damskie. Fabrykę Lewy’ego z domem Pod Złotym Psem, wprawdzie czteropiętrowym, ale z dwoma ostatnimi piętrami waziutkimi i jakby przyklejonymi, łączyła wspólnota interesów. Pan Otto Lewy, aktualny właściciel szwalni, sprowadzał tkaniny ni mniej, ni więcej, tylko z hurtowni mieszczącej się właśnie w owym barokowym domu.

Pan Reinhold von Schwast, właściciel kamieniczki i mieszczącej się w niej hurtowni, od lat współpracował ze swym sąsiadem z bardzo dobrym skutkiem dla nich obu.

O ile może sam budynek Pod Złotym Psem nie budził wielkiego zachwytu, o tyle gabinet jego właściciela – jak najbardziej. Sufit jakby płynął przez to, że rozbijał się na szereg małych, pofalowanych sklepień, z których każde otoczone było złotym roślinnym ornamentem. Najznamienitszy otaczał całe sklepienie, z którego zwieszał się potężny kryształowy żyrandol. Ściany obite zostały

wiśniową aksamitną tapetą, która stanowiła tło dla nielicznych obrazów w złotych ramach.

Pod jednym z okien stało barokowe biurko, pod drugim – okrągły stół przykryty ciężkim obrusem z frędzlami. Pomędzy oknami wychodzącymi na Rynek umieszczono ogromny portret Joachima Wolfganga von Schwasta, który na początku minionego wieku zgromadził chałupników i tkaczy z Bielawy i założył tam manufakturę, a ta wraz z każdą dekadą potężniała – i architektonicznie, i finansowo.

Jego wnuk Reinhold von Schwast, wzbogacony przed Wielką Wojną dostawami tkanin na mundury wojskowe, kupił kamienicę Pod Złotym Psem i założył w niej swój wrocławski oddział i biuro. Częściej niż w pałacu w Bielawie mieszkał tutaj – na skraju wrocławskiego Rynku.

Siedział teraz za wielkim biurkiem, palił cygaro i wpatrywał się wzrokiem kobry w inspektora kryminalnego Heinricha Mühlhauusa. Jego gość pykał spokojnie fajkę i rozsiewał wokół waniliową woń tytoniu Candela. Oczy gospodarza miotały gromy, lecz Mühlhaus miał doskonały wewnętrzny piorunochron. Wiedział, co oznacza milczenie von Schwasta – wielki bogacz i przemysławiec czeka na jego płaczliwe usprawiedliwianie się, na oznaki zakłopotania, na jąkanie i dukanie. On i jemu podobni tylko milczą i patrzą znacząco z wysokości swoich ogromnych biurków. Ich rozmówcy winni się więc pod takim spojrzeniem i zgadywać życzenia jaśnie pana. Inspektor znał jego myśli, jednak nie zamierzał mu dać tej satysfakcji. Palił, milczał i czekał.

Von Schwast rozgonił kłęby dymu, który ciężko spływał w dół w świetle promieni słonecznych przebijających się przez wpółzaciągnięte zasłony.

– Twój Lasarius stwierdził, że śmierć mojego boksera była zaaranżowana – powiedział wysokim, zgrzytliwym nieco głosem, w którym pobrzmiwał silny śląski akcent – i że ta śmierć, zespół ciasnoty wewnątrzczaszkowej, jak to opisał, nie była przypadkowa. Twój człowiek znalazł gips na owijaczach i pod ringiem.

Trzasnął z całej siły płaskimi dłońmi o blat biurka. Karafka z wodą, którą popijał, aż podskoczyła.

– Czemu mi jeszcze nie dałeś na tacy głowy mordercy?! – krzyknął.

Mühlhausowi zgasła fajka. Zaczął grzebać wyciorem w jej główce. Nie miał gdzie jej wystukać. Na okrągłym stole, przy którym miejsce wskazał mu kamerdyner, nie było popielniczki. Ani niczego do picia. Z powodu gorąca panującego w pomieszczeniu szef policji kryminalnej czuł suchość w gardle.

– Aresztowaliśmy boksera Arnolda Behringera – rzekł powoli. – Przesłuchują go moi najlepsi ludzie. Wszystko nam wyśpiewa...

Von Schwast wstał i podszedł do stołu, przy którym siedział Mühlhaus. Oparł na blacie swe potężne pięści, obsypane gęstymi włoskami.

– Ale od wczoraj nic jeszcze nie wyśpiewał – rzekł cicho. – Twój ludzie nie są najlepsi... To ja jestem najlepszy!

Oderwał ręce od obrusu i złożył palce na brzuchu. Spojrzał na stojący pod portretem przodka stary zegar z pięknymi kolumnkami po bokach, imitującymi spiralne sploty z konfesji Świętego Piotra w watykańskiej bazylice.

– Jeśli dzisiaj do szóstej... – zawahał się. – Tak... Jeśli dzisiaj do szóstej Behringer nie wyśpiewa... To już nie będzie u niego nikogo z twoich. Będę tam tylko ja.



Arnold Behringer siedział przywiązany do krzesła. Ludwig Knoff podtrzymywał je z tyłu, aby się nie przewróciło, co było rzeczywiście możliwe, gdyż dwaj potężni strażnicy więzienni nie żalowali przesłuchiwanemu ciosów.

Bili na przemian, pozostawiając już w spokoju zmasakrowaną wcześniej twarz boksera. Teraz walili w jego korpus, z każdym uderzeniem potęgując ból, jaki wywołały niedawne ciosy Mittaga.

Działali w określonym rytmie. Jeden wymierzał dwa ciosy i odskakiwał. Wtedy walił drugi i czynił to samo. Unikali w ten sposób pochłapania krwi i śliny, które

tryskały wokół obficie wraz z każdym jękiem Behringera.

Knoff trzymał krzesło i co chwila dawał im znak, by przerwali. Chciał w tym momencie wytchnienia obetrzeć sobie twarz, na którą co i rusz kapały resztki wydzielin z nosa i ust katowanego człowieka. Strażnicy tego nie widzieli, pilnie trwając przy swej robocie. W końcu Knoff się wściekł. Odskoczył i ze wstrętem otarł twarz chustką.

Krzesło runęło na klepisko celi, której okienko, szczelnie teraz zasłonięte, wychodziło na dziedziniec policji przy Schuhbrücke^[50] 49. Oprawcy stanęli pod ścianą, ciężko dysząc.

Emmanuel Amelung podszedł do leżącego więźnia. Ukucnął tyłem prawie nad jego głową – tak blisko, jakby się chciał na nią wypróżnić.

– Powiedz, słoneczko – rzekł słodko – kto ci zapłacił za zabicie Mittaga...

Zmasakrowany człowiek zaczął coś bełkotać przez wybite zęby. Powtarzał to samo od kilku godzin. Znali tę deklarację na pamięć. Reagował nią na każde pytanie.

– Lojalności nauczyłem się w kiciu – szeptał. – Ona mnie ocaliła i ona mnie ocali...

Knoff zbliżył się do Behringera i syknął:

– Zdechniesz. Nic cię nie ocali.



Reinhold von Schwast odsłonił okno i do gabinetu wpadł snop światła. Mühlhaus przyglądał mu się badawczo. Dawno go nie widział i zauważył, iż mocno się posunął w latach.

Przemysłowiec był człowiekiem średniego wzrostu i średniej tuszy. Siwe włosy zaczesywał do góry, przez co jego pobrużdżone, wysokie czoło wydawało się jeszcze wyższe. Ostry sępi nos, głęboko osadzone oczy i wąskie usta znamionowały człowieka zdecydowanego i bezwzględnego, który rzadko obdarza bliźnich dobrym słowem.

Gdyby ktoś nie zgadzał się z tą interpretacją jego oblicza, straciłby na pewno złudzenia, jeśli spojrzełby na sentencję, oprawioną w ramki i stojącą na jego biurku. Brzmiała ona: „Wymagam od siebie, wymagam od innych. To wszystko”. Podpisana: „Joachim Wolfgang von Schwast”.

Gospodarz tego gabinetu, mimo że dla swojego dziada, założyciela fabryki włókienniczej, żywił bezgraniczny, bałwochwalczy wręcz podziw, wiedział, że druga część sentencji: „to wszystko”, czyli „i to wystarczy”, może i była prawdziwa w czasach wielkiego Joachima, kiedy zamiast żelaznych maszyn pracowały drewniane czółna tkackie, a właściciel znał każdego ze swoich robotników z imienia i codziennie jadał z nimi obiady. Dzisiaj samo wymaganie od siebie i od innych nie było gwarancją sukcesu. Potrzebny był spryt, a niekiedy nieczysta gra.

Bo czymże by teraz był on, wnuk starego, gdyby nie łapówki, jakimi obdarzał oficerów armii cesarskiej, aby szepnęli dobre słowo o jego wyrobach intendentom korpusów armijnych? Czy mógłby sobie wymarzyć posiadanie takiej kamienicy w sercu pięknej stolicy Śląska, gdyby nie przekupił wielu z nich i nie zapewnił sobie intratnego zamówienia na płótno mundurowe? Czyż jadałby teraz obiady z burmistrzem miasta i z wieloma radnymi, gdyby nie miliony, jakie do niego spłynęły po zniszczeniu niegodnymi metodami zagrażającej mu konkurencji? Czyż należałby do loży masońskiej Horus i przemawiałby teraz do tego policjanta, jednego z jej członków, nieznoszącym sprzeciwu tonem?

Spojrzał na Mühlhausa. Ten był szczupły, wyprostowany i średniego wzrostu. Nosił surdut, palił fajkę, gładził długą brodę, cedził słowa, mrużył wąskie oczy – uderzająco przypominając tym wszystkim nauczyciela języków klasycznych, który sprawił, że Reinhold von Schwast swoją edukację gimnazjalną skończył – co wyszło na dobre i firmie, i rodzinie – na klasie czwartej.

– Zgadzam się – rzekł wolno Mühlhaus. – Poruszę niebo i ziemię, aby organizatorzy tej podłej, niesportowej walki zasiedli na ławie oskarżonych...

Wstał i podszedł do wielkiego biurka, chwycił nagle karafkę z wodą stojącą przed von Schwastem i pociągnął z niej kilka potężnych łyków.

Zrobiło to pewnie wrażenie na przemysłowcu.

– Trzeba było powiedzieć, że pić ci się chce. – Błysnęły jego oczy, głęboko wtopione w ciemne oczodoły.

– Ja nie mówię, że czegoś chcę – odparł Mühlhaus. – Ja robię to, co chcę.

Zabrzmiało to chępliwie. Von Schwast wiedział, że policjant nie ma aż takiej swobody działania, aby tak mocno się przechwalać. Uznał to za oznakę słabości.

– Co masz na myśli, mówiąc, że poruszysz niebo i ziemię? – zapytał.

– Jeśli nie wytlukę informacji z tępego łba tego osiłka – Mühlhaus odsapnął z ulgą, zaspokoiwszy już pragnienie – to zatrudnię do tej sprawy dodatkowych ludzi. Mam takiego człowieka do specjalnych poruczeń. On dobrze rozumuje, a przesłuchuje jeszcze lepiej. Jest brutalny i skuteczny. Niestety, zbyt dużo pije. Nazywa się Eberhard Mock.

Inspektor kryminalny doskonale wiedział, że włókienniczy magnat jest miłośnikiem szczegółu i zamiast pustych obietnic, gładkich słów i przechwałek woli uchwytny konkret. Zdawał sobie też sprawę, że nazwisko policjanta, o którym przed Wielką Wojną było głośno w całym Wrocławiu w związku ze sprawą o handel afrykańskim żywym towarem[51], natychmiast wzbudzi zainteresowanie von Schwasta i oderwie go od gróźb i ciągłego pokazywania, kto tu rządzi.

Rzeczywiście król włókiennictwa wstał i oparł dłoń na ramieniu swego kolegi z łoża.

– Siadajmy – rzekł miękko. – A zaraz nam Franz limonady przyniesie. No powiedz mi o tym Mocku.

– Prezydent policji go nie lubi za pijaństwo... – zaczął Mühlhaus.

– Tak, wiem – przerwał mu przemysłowiec. – Stary Lewald nie toleruje pijaków, choćby byli nie wiem jak skuteczni...

– Ten jest skuteczny i dawno powinien znaleźć się u mnie, w inspekcji kryminalnej, ale Lewald się nań nie zgadza i trzyma go w obyczajówce u Ilssheimera. – Mühlhaus wyjął blaszane pudełko z tytoniem. – A tam się marnuje. Mock to naoczny świadek śmierci Georga Mittaga... Oglądał tę walkę.

Von Schwast opadł na miękkie tapicerowane krzesło wyściełane różowym dżersejem. Zamknął oczy. Jego podbródek zadrżał.

– Mów dalej – rzekł zmienionym głosem. – Opowiedz mi o tym człowieku.

– W czasie wojny był w Kamerunie[52] – ciągnął inspektor. – Chorował na malarię. Po powrocie do kraju zmobilizowany. Walczył na froncie wschodnim gdzieś na Łotwie. Ranny. Kuleje. Mieszka teraz z ojcem w jakiejś norze... I pije. Tyle wiem.

Szef policji kryminalnej zastanawiał się przez chwilę, czy to, co teraz powie, nie dotknie von Schwasta do żywego.

Ale się zdecydował. Miał przecież wewnętrzne piorunochrony.

– Nie ty jesteś najlepszy, Reinholdzie. On jest najlepszy...

Przemysłowiec długo wpatrywał się w portret swego przodka. Nagle wstał i podszedł do biurka. Uniósł słuchawkę i powiedział wolno:

– Proszę mnie połączyć z prezydium policji!

Po chwili w słuchawce rozległ się głos sekretarza tejże instytucji.

– Z gabinetem prezydenta policji proszę! Tak, z doktorem Maksem Lewaldem! – zawołał przedsiębiorca poirytowanym głosem. – Nie przesłyszał się pan! Jest na obiedzie? W swym mieszkaniu? Proszę łączyć i powiedzieć mu, że dzwoni Reinhold von Schwast!

Po chwili uzyskał żądane połączenie.

I zgodę na osobiste przesłuchanie więźnia.



Radca sierocy doktor Moritz Wittig nie był zachwycony wizytą asystenta policyjnego Eberharda Mocka. Siedział w swym biurze przy Bismarckstrasse[53] 38 i usiłował zachować spokój.

Jego nerwy drażniła teraz nawała poleceń ze strony tego aroganckiego policjanta. Wittig zwykł sam wydawać rozkazy trojgu swoim podwładnym, do których należeli dwaj pracownicy terenowi i pielęgniarka. To jego musiano słuchać

i nikt nie miał prawa mu się przeciwstawiać. Z wielką zatem trudnością wcielał się w rolę posłusznego wykonawcy rozkazów.

A teraz musiał to robić tylko dlatego, że kiedyś stracił głowę dla pewnego młodzieńca imieniem Andreas, który był tyleż sprytny, co pozbawiony skrupułów. Andreas namówił znajomego fotografa, aby ten uwiecznił na kliszy sytuację, w której on, Wittig, zupełnie daje się ponieść szaleństwu zmysłów.

Obaj zaczęli go szantażować. Radca sierocy nie uległ presji, nie z takimi ulicznikami dawał sobie radę. Miał władzę, bo przyjaźnił się z policjantami z rewiru VII przy Rossplatz[54]. Miał też pieniądze, bo nie różnił się niczym od innych ludzi swej profesji, którzy za grube łapówki umożliwiali bezdzielnym małżeństwom adopcję dzieci, a sierot w świecie przeorany przez wojnę i grypę hiszpankę nie brakowało. Urzędnicy ci współpracowali zresztą ze sobą i wymieniali się swoimi podopiecznymi w zależności od konkretnego zamówienia.

Wittig, butny i pewny siebie, nie wystraszył się nędznej szumowiny oraz jego fotografa. Zaczął im ostro grozić, a kiedy to nie poskutkowało, spuścił nieco z tonu i rozpoczął negocjacje, aby obniżyć choć trochę żadaną przez nich sumę. Ale wtedy te dwa uparte gnojki – zupełnie nieoczekiwanie – poszły wprost do znanego sobie dobrze asystenta policyjnego Eberharda Mocka, który przymykał ich nie raz i nie dwa za nagabywanie przypadkowych mężczyzn na promenadzie pod Akademią Sztuk Pięknych przy Kaiserin-Augusta-Platz[55]. Opowiedzieli policjantowi wszystko z najdrobniejszymi szczegółami.

Ten za informacje zapłacił im mniej, niż żądali od Wittiga, ale za to obiecał przymykać oko na ich działalność oraz mocniej przydusić konkurencję. Zasugerował im też, iż mile widziane będą inne zdjęcia ważnych wrocławskich osobistości.

Wykolejeniec Andreas i jego funfel, nędzny fotograf – ich nazwisk Wittig nie pamiętał – przystali na ten warunek i oddali podłemu gliniarzowi całą dokumentację zakazanej namiętności, włącznie z negatywami. Któregoś dnia ów policjant zapukał do biura radcy sierocego i grzecznie oznajmił, że jest w posiadaniu zdjęć, które chyba się nie spodobają pani Wittigowej.

Wtedy urzędnik rozpoczął trudną naukę słuchania rozkazów – jak dziś, kiedy asystent policyjny odwiedził jego biuro ponownie.

– Wiem doskonale, panie doktorze – zatytułował go właściwie Mock – że w naszym mieście, podobnie jak w całym kraju, jest mnóstwo osób pańskiej profesji, które dostarczają dzieci na zamówienie. Jest jakieś dziecko sierotą, a za chwilę już ma rodziców. A wtedy kieszeń kogoś z osób pańskiej profesji, nie mówię, broń Boże, że pańska... Ale kieszeń któregoś z pańskich kolegów staje się cięższa... Tak się dzieje, prawda?

Wittig ani drgnął. Wyglądał jak Budda z wielką, łysą głową i z potrójnym podbródkiem. Patrzył na swego rozmówcę zza małych binokli nasadzonych na garbaty nos i usiłował opanować drżenie dłoni.

– Nie słyszę! – Mock przyłożył zwiniętą dłoń do ucha. – Zadałem panu pytanie, doktorze!

Wittig zdjął binokle i przetarł je miękką szmatką. Podgardle zatrzęsło mu się nieznacznie. Spojrzał najpierw na wielką mapę miasta wiszącą naprzeciw jego biurka, potem na segregatory leżące w nieładzie na blacie.

– Tutaj – wskazał na nie – jest spis moich obowiązków. Nie robię ani mniej, ani więcej, niż się należy. Nie jestem ani niedbały, ani nadgorliwy. Moi koledzy również.

Mock wstał i wyjrzał przez półokrągłe okno wychodzące na ulicę, na której dzwonił teraz głośno tramwaj numer dwa. Potem znów usiadł i podeszwą wypastowanego buta nacisnął dolną półkę przypominającego barek stolika na kółkach, który stał obok biurka. Typowy stół biurowy, służący jako wózek na akta, podjechał parę centymetrów w stronę Wittiga. Zakołysało się kilka stojących tam segregatorów.

– Wie pan co, *Herr Waisenrat?*^[56] – Mock tym razem użył tytułu służbowego i uśmiechał się szeroko. – Zawsze chciałem pracować w biurze. Być pomocnikiem, wozić akta takim oto wózkiem... Dziękuję, Wittig, dzięki panu mam teraz niepowtarzalną okazję zrealizować moje marzenie. Zawiozę teraz te akta do pokoju

pańskich podwładnych, pracowników terenowych i powiem im: „Proszę je przejrzeć dokładnie!”. Jakież będzie ich zdziwienie, kiedy w jednym z segregatorów ujrzą pewne zdjęcia... A na nich pana w dziwnej pozycji, *Herr Waisenrat*. No i pewnego młodzieńca, całego nagiego, lecz w szpiczastych butach. Takich jak moje.

Uniosł wysoko stopę nad blat biurka. Wittig patrzył bezmyślnie na błyszczące brązowe oksfordy Eberharda i na jego szare skarpety, nieco jaśniejsze niż barwa spodni.

– No właśnie... Nie pamiętam, niech mi pan przypomni! Gdzie tkwi szpic buta tego młodzieńca? Sprawdźmy to, co? Spójrzmy na tę fotografię.

Urzędnik zabulgotał i otworzył usta. Wyszedł z nich zduszony okrzyk ni to protestu, ni to skruchy. Trzy fałdy skóry przykryły grdykę. Wyglądał teraz na personifikację przygnębienia i pokory.

Mock wstał i powachlował się kapeluszem. Do jednego z segregatorów na wózku wetknął zdjęcie. Była to odbitka przedstawiająca nagie dziecko leżące na tygrysiej skórze.

– Bądź grzeczny, grubasku. – Eberhard potarł Wittiga za policzek. – A obiecuję, że zdjęcie twoje i słodkiego Andreeasa nie opuści mojego domowego sejfu.

Radca sierocy poluzował węzeł krawata i rozpiął koszulę. Ciężko oddychał.

– Przyjrzyj się dobrze niemowlęciu, dziewczynce, która jest na zdjęciu, jakie masz teraz w segregatorze! Zostawiam je tam. Jeśli ktoś z twoich kolegów sprzeda to dziecko, a ja natychmiast nie będę wiedział o tej sprzedaży... Jeśli tak się stanie, to...

Lekko popchnął wózek szpicem buta. Zazgrzytały kółka pojazdu.

– To zostanę pomocnikiem biurowym w twoim gabinecie...



Reinhold von Schwast spojrział na swój piękny barokowy zegar gabinetowy. Szły trzy kwadranse na szóstą. Niedługo miał otrzymać od Heinricha Mühlhausa wiadomość, czy Behringer wyśpiewał w końcu, kto zorganizował śmierć boksera Mittaga.

Ów brakujący do szóstej kwadranse postanowił wykorzystać na rozmyślenia. Nie zwykł marnować ani chwili, ani sekundy.

Nawet teraz, gdy do gabinetu weszła jego żona Martha niosąca na tacy dzbanek kawy i jego ulubiony keks ze słynnej cukierni Brunniesa, ledwo raczył na nią spojrzeć i podziękować jej nieznacznym zmrużeniem powiek i kiwnięciem głowy. Wiedział, dlaczego ciasto po obiedzie przynosi mu ona sama, zamiast do tego celu oddelegować służącą.

W swej bezgranicznej pysze uznał, że jego żona, ta tęga, brzydka kobieta o rudawych rzadkich włosach, płaskiej twarzy i wąskich jak szparki oczach, przychodzi do niego z ciastem, aby zasłużyć właśnie na tę drobną chwilę jego uwagi. Aby doczekać się mężowskiego uśmiechu, który jej musi wystarczyć za całą małżeńską czułość.

Tymczasem może i okazałby jej więcej uwagi, gdyby nie czas, który go wciąż gonił, a który musiał wykorzystać.

– „Wymagam od siebie, wymagam od innych” – wyszeptał sentencję dziadka, kiedy Martha wychodziła z gabinetu z tą samą, zawsze smutną miną.

– Wymagałem od ciebie dziecka – dorzucił. – Nie spełniłaś tych wymagań. Ród von Schwastów wygaśnie. Nie dasz mi żadnego potomka swoim suchym łonem!

Porzucił te myśli. Szkoda na nie czasu. Musiał przygotować się do działań. Spojrzał na raport przygotowany mu następnego dnia po śmierci Mittaga przez Ludwiga Brauna, pracującego dla niego szefa biura prywatnych detektywów Argus.

Ponieważ Arnold Behringer odsiadywał na Kletschkau Strasse^[57] wyrok (nie zdążyłem jeszcze poznać szczegółów ani długości owego wyroku, co nadrobie) prawdopodobnie za napady i ciężkie pobicia, a po wyjściu z więzienia związał

się ze stowarzyszeniem byłych więźniów – pisał nieco rozwlekłe detektyw Braun – to wydaje się możliwe, że w całą sprawę zamieszany jest związek byłych kryminalistów, czyli tzw. Ringverein, w tym wypadku kierowany przez niejakiego Eugena Schliepsa alias „Borsuka”, właściciela m.in. instytucji rozrywkowych na Kępie Strzeleckiej. Schlieps jako właściciel klubu sportowego Kępa Strzelecka, w którego barwach walczył Arnold Behringer, mógł wymóc na swym bokserze sprzeniewierzenie się zasadom sportowej walki. To oczywiście moje domniemanie. Nawet jeśli byłoby prawdziwe, to śmiem sądzić, że nie doprowadzi nas ono do rozwiązania sprawy, z tego mianowicie powodu, że w jakimkolwiek Ringverein obowiązuje bezwzględna zasada milczenia. Kto się jej sprzeniewierzy, zostaje pariasem. A los pariasa jest smutny.

„Ten Braun ma niepotrzebne pretensje literackie – pomyślał von Schwast, napychając sobie usta trzecim już kawałkiem keksa. – Należało napisać to prościej i nie marnować mojego czasu. Powinno to brzmieć tak: Bractwa Pierścieniowców – sygnety są ich znakiem rozpoznawczym – to grupy byłych więźniów, którzy również na wolności nie przestali być bandytami, tylko że krytymi przez swych protektorów. Pod płaszczykiem działań filantropijnych – pomocy byłym skazanym – robią to co zawsze, czyli pieniądze z dziwek, hazardu i ochrony. Mają świetne kontakty ze światem filmu, z dziennikarzami, politykami, a nawet z policją, którą takim czy innym skrytobójstwem wybawiają z kłopotów. Zapewniają sobie wzajemnie alibi. Jeśli ktoś sypnie, to już jest trupem. Tak powinien to napisać ten Braun”.

Fabrykant uznałby może cały raport Brauna za rozwlekły literacki elaborat, nie wnoszący niczego nowego do sprawy, gdyby nie jedna ważna informacja zawarta w dalszej jego części: Behringer zażywał szczęścia z żoną Käthe, eksprostytutką, która była z nim w zaawansowanej ciąży. Bokser wszystkim wokół opowiadał, że będzie miał syna.

„A kto ma syna – pomyślał von Schwast – ten go kocha nad życie”.

Zamknął oczy i poczekał, aż dwie grube łzy spłyną mu po twarzy. Potem sięgnął do biurka. Kluczykiem, który miał zawsze przypięty do szlufki swych

spodni, otworzył wewnętrzną małą szufladę, jeden z wielu tajnych schowków, w jakie było wyposażone to osiemnastowieczne biurko z polskiej manufaktury Michała Kazimierza Ogińskiego.

Wyjął z szufladki zdjęcie piętnastoletniego chłopca w mundurku szkolnym. Krótco po zrobieniu tej fotografii Georg Mittag został wyrzucony z gimnazjum w Dzierżoniowie. Już na tym zdjęciu widać w jego oczach zadziorność, upór i jakieś lekkie rozbawienie.

Miał oczy swojej matki, jedynej kobiety, którą Reinhold kochał. Porzucił ją z rozsądku dla grubej lochy, bo ta swym ogromnym posagiem uratowała z opresji jego firmę.

Otarł dwie kolejne łyzy. Nie miał czasu na rozpacz.

Punktualnie o szóstej na biurku zaterkotał telefon. Zgodnie z oczekiwaniami von Schwast usłyszał głos Mühlhausa.

– Niczego nie wyśpiewał.

– Zaraz będę – odparł przemysłowiec.

Wyszedł z kamienicy Pod Złotym Psem, udając, że nie widzi pytających i pełnych żalu spojrzeń swojej starej żony.



Prywatny detektyw Ludwig Braun może i był niespełnionym literatem produkującym przydługie raporty, ale inne zadania wykonywał rzetelnie. Nie musiał długo namawiać pani Käthe Behringer, aby pojechała z nim do aresztu w prezydium policji. Tam, zgodnie z wytycznymi pana Reinholda von Schwasta, przekazał ją w ręce strażników więziennych i ulotnił się jak nadodrzańska mgła w lipcowy poranek.

Klawisze na polecenie Mühlhausa zaprowadzili panią Behringer do celi, gdzie na słomie, klejącej się od krwi, spoczywał jej mąż. Gdy ujrzała jego twarz, przypadła do niego, ukucnęła i zaczęła płakać, a dzieciątko w jej brzuchu zaczęło się kręcić.

Tak trwała przy nim przez dwa kwadranse, szlochała i błagała, by powiedział tym złym ludziom wszystko, czego chcą, i wrócił z nią do domu. Arnold kręcił tylko przecząco głową, napęczniała od krwawych wylewów.

Wtedy do celi wszedł Reinhold von Schwast. Staął na szeroko rozstawionych nogach i chwycił klęczącą Käthe za włosy.

Nie mówił zbyt długo. Nie był tak rozwlekły jak detektyw Braun. Powiedział tylko, że pani Behringer zostanie zamknięta w celi obok. A jutro rano przyjdą do niej źli ludzie. Będą ją gwałcić na trzy sposoby – tu wulgarnie wyjaśnił, co miał na myśli.

– A potem będą ją kopać w ten napompowany przez ciebie kałdun. Długo będą to robić, aż wypluje z siebie suczy pomiot. Spocznie on na sianku w celi. I tam go zostawimy. Ale to nie będzie Betlejem. Po dwóch dniach nie będzie to twój synek, tylko klops sinego, psującego się mięsa. Możesz temu zapobiec. Wystarczy, że zeznasz, kto ci kazał gipsem zatłuc mojego syna. Daję ci czas do jutrzejszego poranka.

Powiedziawszy to, Reinhold von Schwast opuścił celę.



Tej samej nocy bokser Arnold Behringer podarł swoje kalesony. Drżącymi, pokrwawionymi rękami wydierał z nich pasy materiału. Skręcił je później w linę i przywiązał do okiennej kraty.

– Lojalności nauczyłem się w więzieniu. – To były ostatnie słowa, jakie wypowiedział. – Ona mnie ocali. Ale nie ocali mego syna. On jest teraz najważniejszy.

[49] Obecnie ul. Wita Stwosza.

[50] Obecnie ul. Szewska.

[51] Zob. M. Krajewski, *Mock. Ludzkie zoo*.

[52] Jak wyżej.

[53] Obecnie ul. Bolesława Chrobrego.

[54] Obecnie pl. Strzelecki.

[55] Obecnie pl. Polski.

[56] Radca sierocy (niem.).

[57] Obecnie ul. Kleczkowska.

V

Wyjść z mgły

HEINRICH MÜHLHAUS NIE BYŁ ZACHWYCONY najnowszymi wieściami i jego ludzie, zgromadzeni w sali odpraw, wyraźnie to widzieli. Inspektor kryminalny nigdy nie był zwolennikiem brutalnego nacisku, wolał raczej subtelną grę psychologiczną, wyłapywanie kłamstw, przygważdżanie przesłuchiwanym sprzecznościami w ich zeznaniach. Bardzo mu się nie podobało przyprowadzenie ciężarnej żony Behringera do celi tegoż, a potem wykorzystanie jej jako narzędzia szantażu, na co dał przyzwolenie sam prezydent policji Max Lewald. Jeszcze mniej mu przypadły do gustu skutki tej godnej pożałowania akcji: samobójstwo Behringera i rozpacz jego żony, gdy się o tym dowiedziała.

Najbardziej zaś się wściekł, gdy von Schwast zatelefonował do niego o piątej rano i nieco bełkotliwym i pełnym wyższości głosem wydawał mu rozkazy, jak należy dalej – wobec śmierci Behringera – poprowadzić to śledztwo oraz jakie warunki muszą być spełnione, aby podwoić wysiłki policjantów z inspekcji kryminalnej.

Szedł pierwszy kwadrans na dziewiątą. Mühlhaus stał z fajką w zębach i z rękami założonymi za plecy w sali odpraw na drugim piętrze gmachu prezydium przy Schuhbrücke^[58] i patrzył rozdrażnionym wzrokiem na swoich jedenastu podwładnych, uzupełnionych o jednego dodatkowego, wypożyczonego na czas trwania tej sprawy z decernatu obyczajowego.

„Od Illsheimera jest jeden – pomyślał ze złością inspektor kryminalny – a miało być ich dwóch!”

Nie spuszczał oczu z małomównego, potężnego i rudowłosego wachmistrza policyjnego. Kurt Smolorz, bo tak się on nazywał, skupił na sobie irytację

inspektora, ale stał się niejako tylko przypadkowym falochronem, fala wściekłości była bowiem skierowana ku temu drugiemu, nieobecnemu.

– Gdzie jest Mock, do jasnej cholery! – Tak Mühlhaus przywitał nowego. – Kazałem mu być tu dziś rano!

Zawstydził się nagle. Poczucił się głupio – jak nauczyciel, który wrzeszczy na obecnych na lekcji uczniów, złościąc się *de facto* na ich kolegów, którzy poszli na wagary.

Ta niby szkolna atmosfera udzieliła się siedzącym przy długim stole mężczyznom. Czuli się jak sztubacy przed obliczem rozsierzonego belfra. Tę iluzję wzmagał pokój odpraw, który wyglądał jak uniwersytecka sala seminaryjna.

Na jego środku rozpierała się wielka tablica, a wszystkie ściany pokryto od góry do dołu półkami, na których stały zakurzone teczki. Były tam opisane stare sprawy kryminalne, rozwiązane przez dzielnych wrocławskich funkcjonariuszy w ciągu dziesięciu minionych dekad. Akta te miały znaczenie tylko historyczne, ale z jakiegoś powodu kolejni szefowie prezydium woleli je trzymać tutaj, niż oddawać do archiwum miejskiego.

Mógł z nich w tej sali korzystać każdy policjant bez specjalnego zezwolenia. Tylko upoważnieni natomiast mieli dostęp do dokumentacji z ostatnich dwudziestu lat, które stały w archiwum, w piwnicznym królestwie Herberta Knorra.

Czterej policjanci, którzy odwiedzili salę gimnastyczną na Kępie Strzeleckiej, ich siedmiu kolegów oraz wachmistrz Kurt Smolorz siedzieli teraz pod owymi półkami, patrzyli na pustą tablicę i czekali, aż Mühlhausowi minie w końcu złość.

Tak też się stało. Inspektor zmrużył czerwone od niewyspania oczy, które całkiem się zwężyły, nadając jego obliczu azjatyckiego nieco wyrazu.

– Punkt pierwszy – powiedział, odkładając fajkę na biurko i podchodząc do tablicy. – Zdobyć wszelkie informacje na temat Eugena Schliepsa, Związku Bokserskiego i Bractwa Pierścieniowców.

Zaskrzypiała kreda, gdy pisał nazwę tej instytucji i nazwisko jej szefa.

– Chcę na ich temat wiedzieć wszystko, co możliwe. Jaką Schlieps ma kochankę, co je na obiad, jakie preferuje napitki. Wszystko! Do tego wyznaczam was, Rudolphi, Knoff i Amelung! Macie iść do naszego znakomitego archiwisty Knorra, przetrząsnąć jego zbiory i jego legendarną pamięć! – Dalej ciągnął spokojniejszym już tonem: – Kaergel, Fischer i Ulbrich, teraz kolej na was. Pójdziecie do Miejskiej Kasy Podatkowej na Elisabethstrasse[59], tej przy ratuszu. Prześwietlić finanse Związku Bokserskiego, sprawdzić jego zeznania podatkowe! Prezydent policji oddelegowuje wam do pomocy naszego biegłego księgowego doktora Nachstaedta.

Zapisał ten punkt na tablicy jako: „Atak finansowy”.

– Verth, Polke i Thiemann – zwrócił się do trzech następnych swoich ludzi. – Wy, panowie, bierzecie pod lupę punkty loteryjne i nielegalnych bukmacherów. Musimy wiedzieć, który z nich przyjął zakład na walkę Behringer *contra* Mittag. Łatwo ich będzie przycisnąć. Zagrozicie likwidacją ich interesu lub przymknięciem nań oka, jeśli będą współpracować. Musicie też zidentyfikować owego anonimowego informatora, który powiadomił Zuckera z rewiru drugiego o ustawionej walce. Na razie pewnie dowiemy się tylko tyle, jaki miał głos, z jakim mówił akcentem... Dobrze i to na początek.

Zapisał punkt trzeci: „Bukmacherzy”.

– Panowie Brattke i Eckmann – zwrócił się do dwóch ostatnich swoich ludzi. – Wy zajmiecie się sędzią ringowym. Chwycić go za mordę, wziąć go w obroty, ale tak, by nie wyzionął ducha, rozumiecie czy nie? Nie chcę tutaj kolejnej krwawej masakry ani kolejnego pogrzebu!

Wymienieni policjanci pokiwali ze zrozumieniem głowami.

– A ja? – odezwał się wachmistrz policyjny z obyczajówki.

– A wy, Smolorz – syczał teraz Mühlhaus – macie mi tu przyprowadzić Mocka! Na jednej nodze po niego!

– A gdzie on? – odparł Smolorz, który nie wiadomo dlaczego, zawsze skrzętnie omijał w zdaniu orzeczenia.

– No właśnie nie wiem! – wrzasnął inspektor. – Ty mi powiedz!

W geście irytacji szarpnął za swą długą brodę.

– Macie go znaleźć! I już!

– Ale ja wiem, gdzie on jest – wtrącił się Ludwig Knoff, unosząc do góry dwa palce jak prymus. – Mock prosił mnie wczoraj o sprawdzenie we Wrocławiu miejsca, gdzie byłby kościół i staw. Zrozumiałem, że chodzi o pewną sprawę obyczajową, którą się zajął. Niejaka Herta Rossenbach, prostytutka z Agnesstrasse[60], została ciężko pobita, a jej dziecko porwane. Mock chyba jest przy niej.

Mühlhaus się rozpromienił.

– No, Smolorz, po odprawie lećcie w podskokach na Agnesstrasse! – Wskazał dłonią uśmiechniętego prymusa. – Patrzcie wszyscy na naszego młodego komisarza Ludwiga Knoffa! Patrzcie i podziwiajcie jego pamięć!

Wszyscy patrzyli, nikt nie podziwiał.



Młody policjant miał rację. Mock siedział teraz w przybudówce zajmowanej przez Hertę Rossenbach.

Przybył tutaj na piechotę przed świtem, wypędzony przez bezsenność z prezydium policji, gdzie nocował. To była jego druga noc spędzona poza domem i druga prawie nieprzespana. W głębi ducha czuł się pewien, że powodem bezsenności jest nagłe odstawienie alkoholu. W jego głowie wciąż dźwięczał wężowy diabelski syk:

– Napij się, a zaśniesz jak dziecko! Chociaż małe piwko! Nie zaszkodzi. Widzisz? Spać nawet nie możesz. Małe piwko dobre na sen...

Nie posłuchał tego głosu. Tłumaczył sobie, że spać mu nie pozwala twarde posłanie oraz skomplikowana i beznadziejna sprawa Herty Rossenbach. Wyjaśniał sobie, że bliskie osobiste kontakty z pokrzywdzoną osobą – choćby nie wiem, jak odległe w czasie – nigdy dobrze nie wróżą śledztwu.

Brak czystej garderoby – bielizna i koszula zdecydowanie domagały się wymiany – powodował u niego też silny dyskomfort, jako że był mężczyzną bardzo dbającym o czystość i higienę. Nie chciał jechać do domu, by tam dokonać ablucji i zmienić bieliznę. Musiałby widzieć się z ojcem.

„To nie brak alkoholu, to wszystko inne dręczy mnie bezsennością” – tak to sobie tłumaczył.

Kiedy się przywłókł na Agnesstrasse[61], zastał ludzi, których prośbą lub groźbą wyznaczył był do pilnowania pobitej kobiety. Na zewnątrz stał jeden z miejscowych uliczników, w środku czuwał doktor Epstein.

Pierwszy rozpoznał Mocka i wpuścił go do środka, nie odpowiedziawszy jednak na pozdrowienie; drugi miotał się roztrzęsiony po całej izbie. Policjant słyszał z daleka jego krzyk, jak tylko wszedł na podwórko.

Wpadł do mieszkania Herty i ujrzał kobietę demolującą sekretarzyk stojący pod oknem – stary sfatygowany mebel, kupiony najpewniej gdzieś na wyprzedazy. Był jednak odnowiony i pomalowany na biało jak komoda. W oczach Eberharda symbolizował on kobiecą zaradność. Stojące na nim przedmioty nadawały temu ciemnemu wnętrzu pozory przytulności.

Teraz Herta rozrzucała zdjęcia rodzinne powiązane tasiemkami i leżące pierwiej w szufladach. Na podłodze wałała się też duża ozdobna świeca, a obok turlał zamknięty korkiem flakonik perfum. Dwa zasuszone bukieciki trzaskały pod jej stopami.

– Nie mogę już, nie wytrzymam z tą furią! Zrób coś, do cholery! – darł się doktor Epstein, obejmując wpół kobietę i usiłując w ten sposób powstrzymać destrukcję izdebki.

Włosy medyka posklejały się od potu w strąki. Jego blada twarz z dwoma sińcami pod oczami nieustająco drgała. Przebiegały przez nią skurcze. Zapewne od dawna nie miał dostępu do magicznej substancji, której Mock omal nie wdeptał w podłogę w czasie ostatniej u niego bytności.

Herta wyrwała mu się i podbiegła do Eberharda. Gęste włosy przypominały rozwichrzoną szopę, siniaki na jej twarzy i szyi przerażały jasnozieloną i żółtawą barwą.

Patrząc na Eberharda, rozerwała koszulę nocną na piersiach. Do tej zdrowej przyłożyła wyimaginowane niemowlę. Zaczęła coś nucić pod nosem i kołysać się w prawo i lewo.

Nagle przestała i spojrzała na policjanta. Z jej oczu zniknęło szaleństwo i wrócił zimny rozsądek.

– Boję się, że moje dziecko nie żyje. Że moja Bettinka leży gdzieś w rowie, pod płotem... Bez pogrzebu, bez ostatniego utulenia...

Epstein zatykał sobie uszy i wycofywał się powoli w stronę drzwi.

– A ty dokąd? Wracaj! – krzyknął na niego Mock.

– Ona ciągle to powtarza... – Lekarz zatrzymał się przy ścianie. – Że się zabije...

– Tak. – Kobieta nie spuszczała oczu z Eberharda. – Wiem, gdzie można w tym mieście znaleźć śmierć... Z Mostku Czarownic na bruk albo z Werderbrücke[62] w wodę!

Podeszła do niego bardzo blisko. Czuł, że jej koszula nocna jest wilgotna od potu.

– Błagam o śmierć! Błagam! Wypuść mnie stąd! Wiem, gdzie spotkam kostuchę.

Jakieś młoty waliły w głowie mężczyzny. Nie spodziewał się takich komplikacji. Miał nadzieję, że obudzi Hertę, będzie ją pielęgnował, poił, karmił i uspokajał. Liczył, że kobiecie wróci rozum i w końcu wydobędzie z pamięci jakieś szczegóły porwania, coś, co pozwoliłoby mu wpaść na trop porywacza.

Tymczasem zastał tutaj kłębowisko rozpacz i beznadziei oraz dwie ludzkie istoty, z których jedna była udręczona utratą dziecka, druga zaś oderwaniem od morfiny. Obie wykrzykiwały ból, jaki zadał im zły świat, pozbawiwszy tego, co najcenniejsze.

Do tych dwojga wrzeszczących ludzi dołączył ktoś jeszcze – ale na zewnątrz. Mock wyszedł na podwórko i ujrzał w otwartym oknie mężczyznę w podkoszulku. Mętny blask światła dochodzący z pomieszczenia ukazywał zarys jego mocnych ramion, owłosionych tak obficie, że owa sierść wchodziła mu aż na kark.

– Na gnoju wywieźć stąd tę kurwę! – ryknął. – Spać porządnym ludziom nie daje!

– Zamknij się, Hermann! – krzyknął jeden z mężczyzn mianowany przez Mocka strażnikiem.

– Często tak się wydziera ten goryl z góry? – zapytał policjant.

– I on, i inni – odparł cerber znudzonym głosem.

Mock ścisnął palcami skronie. Wszyscy się tutaj drą, wszyscy wyją, nie dają mu spokoju!

Nagle wpadł na pomysł. Oczywiście wyobraźni ujrzał biuro radcy sierocego doktora Moritza Wittiga. Składało się ono z trzech pomieszczeń: gabinetu szefa, pokoju zajmowanego przez pracowników terenowych i pielęgniarkę oraz trzyłóżkowej salki dla chorych dzieci – idealnego miejsca dla Herty, która będzie tam miała fachową medyczną opiekę.

„Nawet jeśli salka będzie w pełni obłożona – pomyślał – to jest proste wyjście. Dokwaterujemy dziecko do mieszkania Wittiga. Z tego, co wiem o jego zamożności, nie mieszka on w jakiejś szopie”.

Wrócił do izdebki i spojrzał surowo na Epsteina.

– Na razie oddaję ją w lepsze ręce niż twoje roztrzęsione łapy, ty konowale!

Już nie tylko twarz Epsteina drżała, on cały podskakiwał.

– Kiedy ona wróci tu za parę dni, masz być na każde jej zawołanie, rozumiesz?

– Ja mam moją ordynację, ja mam pacjentów! – Lekarz spojrzał na niego zuchwale. – Nie mam czasu zajmować się jakąś dziwką!

Mock jednym szybkim ruchem chwycił go za krawat i przyciągnął ku sobie.

– Właśnie idę do jednego z twoich pacjentów. *Herr Waisenrat* Wittig, cierpiący na opryszczkę. Mam mu powiedzieć o kiepskich rokowaniach jego *herpes*

genitalis? Myślisz, że się ucieszysz, iż w swoim gabinecie urządziłeś czytelnię akt pacjentów?

– Dobrze – szepnął medyk. – Dzień i noc przy niej będę.

Wtedy Herta Rossenbach do nich podeszła. Jej bosa stopy wzbiły chmurkę kurzu z podłogi. Zachwiała się i chwyciła mocne ramię policjanta. Ten puścił krawat doktora i objął ją troskliwie.

– W kościele urwałam z drążka jakąś szorstką tkaninę. – Gorący oddech kobiety owionął ucho Eberharda. – Owinęłam się nią z zimna... Przykładałam do piersi dla tamowania krwi. Biegłam wzdłuż jakiegoś muru, weszłam pod plandekę jakiejś fury. To był wóz z mlekiem. Zimno tam było, zimno... Woźnica pijany. Z jakąś kobietą na koźle, wie pan, co robił... Ta kobieta biła mnie później. Tylko to pamiętam, Ebi...



Inspektor kryminalny Heinrich Mühlhaus zmierzał już do końca odprawy. To właśnie teraz miał powiedzieć swym ludziom coś, co mu wybełkotał w nocy von Schwast.

Czuł niesmak, kiedy otwierał usta, aby oznajmić im wolę tego pyszałka, który najpierw przekroczył granicę wytrzymałości boksera Behringera i pchnął go na sznur, a potem – straciwszy jedyny i ostatni punkt zaczepienia w tym śledztwie – górami pieniędzy chciał naprawić swój błąd.

– Nie pytajcie mnie o to, kto oferuje nagrodę za rozwiązanie sprawy Mittaga, czyli za dojście do organizatorów tej ustawionej walki... I za posadzenie ich w więzieniu. Niech wam wystarczy tylko tyle, że jest to bardzo, ale to bardzo zamożny i wpływowy człowiek.

Dwanaście par oczu wpatrywało się w niego w napięciu.

– Ten pan uważa, że tylko konkurencja gwarantuje sukces. Po wykonaniu tych poleceń – stuknął palcem w tablicę – które raczej nie doprowadzą do rozwiązania sprawy... A więc po wykonaniu moich rozkazów każdy z was ma działać osobno,

każdy podejmie własne małe śledztwo. Nieważne, że będziecie sobie deptać po piętach czy wchodzić wzajemnie w drogę... Każdy ma poprowadzić samodzielne dochodzenie, każdy ma mi składać codziennie, powtarzam: codziennie, osobny raport! – Spojrzał na nich surowym wzrokiem. – Koalicje, zawierane pomiędzy wami, ciche i niejawne, są całkowicie wykluczone. Słyszycie, Ulbrich i Eckmann? Jeśli zamożny pan je zdemaskuje, zwycięzca straci nagrodę. Bo on może być tylko jeden! Konkurencja jest gwarantem powodzenia. Możecie, a nawet musicie ze sobą walczyć, gryźć się po łydkach, jak on to ujął! Pierwszy z was, który przyjdzie do mnie i powie: „Mam dowody, że walkę ustawił ten a ten”, a ja uznam owe dowody za przekonujące... Otóż ten otrzyma nagrodę! Co się tak gapicie? To nie mój wymysł!

Przez chwilę pykał fajkę, uszlachetniając powietrze sali zasmrodzone papierosowym dymem.

– Jakies pytania? – rzekł w końcu.

Amelung z głupawym uśmieszkiem podniósł dłoń, naśladując Knoffa.

– Nie pytaj, co to za pan, Emmanuelu! – W głosie Mühlhausa zabrzmiało zniecierpliwienie. – Znam cię i potrafię przewidzieć twoje idiotyczne pytania!

Amelung rozejrzał się po kolegach wzrokiem człowieka niewinnie obsztorcowanego i potarł kułakami oczy, udając, że płacze.

– Nie o to mi chodzi! – zawołał piskliwym głosem. – Ja mam inne pytanie! Jaka to właściwie nagroda?

– Nie powiedziałem? – zdziwił się inspektor i stuknął się w czoło. – No rzeczywiście, nie powiedziałem.

Potarł palcem wskazującym o kciuk, imitując liczenie pieniędzy.

– W dzisiejszych czasach pieniądze zaczynają być coraz mniej warte. Zamożny pan o tym wie. Jako nagrodę daje zwycięzcy luksusowe czteropokojowe mieszkanie przy Ohlauufer[63].

W szmerze, który się rozszedł ponad stołem, nikt – oprócz Mühlhausa – nie zwrócił uwagi na Knoffa, który powiedział przymilnym tonem:

– Nagroda warta grzechu. Jeden z najbardziej prestiżowych adresów.

Inspektor kryminalny w pierwszym odruchu chciał powiedzieć: „Za grzech to sprzedajna dziwka nagrodę dostaje. Jesteś nią, Knoff?”.

Nie odezwał się jednak. Był zbyt zmęczony na udzielanie lekcji etyki mędrkom, którzy i tak wszystko lepiej wiedzą.



Zgodnie z przewidywaniami Mocka radca sierocy Wittig nie protestował przeciwko zakwaterowaniu Herty w salce chorych, jaką miał w swej pieczy. Wprawdzie była ona zajęta przez dwoje małych dzieci i jednego wyrostka, ale ten ostatni dostał tymczasowe lokum rzeczywiście w mieszkaniu Wittiga.

Mock poprosił starszą i doświadczoną pielęgniarzkę pannę Annę Sabisch, aby troskliwie zajmowała się nową pacjentką, która tymczasem zapadła w głęboki sen. Prośbę swą wsparł banknotem o dużym nominale, co wywołało jednak negatywny skutek. Panna Sabisch kategorycznie stwierdziła, że ona już dostaje wynagrodzenie za swoją pracę, i propozycję policjanta uważa za obrazę.

Mockowi zrobiło się głupio. Przeprószył pryncypialną niewiastę, po czym udał się do biura radcy sierocego i z przetrzymywanych tam ksiąg adresowych wypisał adresy wszystkich wrocławskich mleczarni, rezygnując jednakże z handlarzy mlekiem i nabiałem, których w nadodrzańskiej metropolii było ponad sześciuset.

Potem z krzywym uśmiechem pogroził „grubaskowi” palcem. Ten gest oznaczał wiele – na przykład: „Mam cię na oku”. Albo: „Nie próbuj zepsuć wyrostka, który u ciebie zamieszka”.

Uniósł przy tym nogę i pokazał swój wysoki, wypastowany trzewik. To już było jednoznaczne: trzymam cię w imadle. Wittigowi na ten widok zatrzęsło się podgardle.

Mock wyszedł z kamienicy przy Bismarckstrasse^[64] 38. Na chodniku natknął się na Smolorza, który na widok swego szefa, wydukał:

– Wiadomość od Epsteina, że pan u Wittiga. Ważna rzecz: wielka nagroda za rozwiązanie sprawy Mittaga. Piękne mieszkanie, nagroda.

Mock objął potężne ramiona Kurta ojcowskim gestem i zaprosił go do czekającej pod domem dorożki, którą przyjechał był do radcy sierociego z Hertą Rossenbach.

– Teraz Berliner Strasse[65] 60 – rzucił fiakrowi. – Mleczarnia.

Smolorz w czasie jazdy wytłumaczył Mockowi dziwne zlecenie tajemniczego zamożnego pana. Potem Mock zasypał Smolorza serią pytań, na które jego podwładny odpowiadał, na ogół kręcąc przecząco głową. Nie wiedział, ani kim jest ten pan, ani dlaczego mu tak zależy na rozwiązaniu sprawy Mittaga.

Owa konwersacja, toczona ściszymi głosami, trwała przez całą drogę od Königsbrücke[66] do Dworca Fryburskiego[67]. Przed tym pięknym gmachem dorożka skręciła lekko w prawo i poprzez Berliner Platz[68] wjechała w ulicę o nazwie „metropolitarnej”. Po prawej stronie mignął mały cmentarz, niegdyś nazwany – wprost przeciwnie do swych rozmiarów – Wielkim, po lewej zaś dwie piękne wieżyczki Dworca Marchijskiego[69], skąd – zgodnie z nazwą – pociągi odjeżdżały do Marchii Brandenburskiej, czyli do Berlina. Mock milczał i roił sobie fantastyczne plany o tym, co by tu zrobić z niezwykłą nagrodą, o której przed chwilą usłyszał.

„Najpewniej bym sprzedał to mieszkanie nad Odrą – pomyślał – sobie kupiłbym mniejsze. Ojciec mieszkałby dalej w Klein Tschansch[70] aż do zupełnego inwalidztwa, a pieniądze, jakie by mi zostały ze sprzedaży, wydałbym na jakiś zakład opiekuńczy dla starców, by go tam potem umieścić”.

Dojechali do pierwszej z ośmiu mleczarni, których adresy wynotował Wittig. Mieściła się tuż przy Striegauer Platz[71] i nosiła nieskomplikowaną nazwę: Mleczarnia Wrocławska.

Mock i Smolorz weszli na teren zakładu oddzielonego od ulicy ceglanym murem. Przy rampie stały furmanki, z których robotnicy odbierali puste bańki po

mleku. Jeden z nich na pytanie Mocka, gdzie znaleźć kierownika, wskazał im okno kantoru, który był na drugim piętrze budynku, tuż pod wysokim kominem.

Kierownik okazał się mężczyzną średniego wzrostu, koło czterdziestki, z resztkami włosów, którymi rozpaczliwie starał się przysłonić wyłysiałą głowę. Do twarzy miał przyklejony przymilny uśmiech, który zaraz zmienił się w grymas, gdy w jednej i tej samej wypowiedzi usłyszał pytanie i zarzut.

– A ładnie to tak, panie kierowniku, pijaków zatrudniać? Takich, co to gdzieś po rogatkach jeżdżą, dziwki biorą na furę, a nawet Boga się nie boją? A i świętokradztwo popełniają, bo to w niedzielę, zamiast dzień święty święcić, w okolice kościołów dziwki zawożą, by tam grzeszyć z nimi do woli? Ładnie to tak, kierowniku tego bałaganu?

Smolorz przysięgłby, że jakaś niewidzialna ręka w jednej chwili zmierzwiła przyklepane na czaszce włosy szefa mleczarni.

– W niedzielę w nocy? Pijany? Przy kościele? – powtarzał pełnym oburzenia głosem, aż w końcu zakrzyknął: – U nas nie ma pijaków, *Herr Polizei-Assistent!* Każdego na zbity pysk bym wywalił! Na-tych-miast!

Uderzył pięścią w stół, aż zadzwoniły blaszane grochy liczydła.

– Natychmiast! – powtórzył. – Jaki bałagan?! U nas panuje porządek. My inwestujemy, *Herr Polizei-Assistent!* Nowy kocioł parowy, elektryczny transmiter, nowe maselnice, wirówki i pasteryzatory. Taka firma jak moja nie zatrudnia byle pijaków!

Mock ani przez chwilę nie przypuszczał, by pracownicy największej wrocławskiej mleczarni sprzeniewierzali się zasadom dobrej roboty. Nie był zatem zdziwiony reakcją kierownika. Przewidział ją. Była jak przyjęcie gambitu. Teraz nastąpi właściwy szachowy atak.

– Wasze nazwisko? – wrzasnął nieoczekiwanie.

– Christian Schwalbe – wyszeptał przerażony kierownik.

– Jak tam nic nie mówię, Schwalbe. – Mock zmienił ton i z nie zapalonym papierosem w ustach rozsiadł się wygodnie na fotelu dla interesantów. – Ja tam

wcale nie mówię, że tu u was taki burdel... To zbyt znana firma, zbyt dobrze się rozwija. Chociaż... Gdyby i u was, Schwalbe, pogrzebać, podrapać, to coś by się złego znalazło, coś by się śmierdzącego wydrapało... Ale zostawmy to, Schwalbe, zostawmy... Powiedzcie mi tylko jedno. Gdzie ja mam szukać takiego pijaka? W jakiej mleczarni?

Kierownik uśmiechnął się przymilnie i podskoczył do policjanta z benzynową zapalniczką.

– Ja wiem, gdzie takie kreatury pracują... – wydukał i odpalił Mockowi papierosa. – U Hoffmanna na Vorwerkstrasse[72] i u Gallego na Matthiasstrasse[73], choć tam to ostatnio wszystkich zwolniono, sam szef tylko z synem. Oni tną koszty, każdego do roboty przyjmą. Bandytę, złodzieja, alkoholika, obojętne, byleby furą powozić umiał, nygus jeden z drugim...

Asystent policyjny uśmiechnął się, słysząc te pośpieszne wywody. Zastawił na kierownika mleczarni małą pułapkę. Nie zamierzał jeździć na chybił trafił po wszystkich ośmiu mleczarniach, chciał ułożyć ich listę, a kryterium porządkującym miałoby stać się zatrudnianie nadużywających alkoholu wozimleczarzy. Założył, iż kierownik największej wrocławskiej firmy – w świętym oburzeniu na bezpodstawnie stawiane mu zarzuty – zareaguje najpierw gniewem, a potem zechce oczernić konkurencję, co było zrozumiałe w dobie powojennej biedy i zażartej walki o utrzymanie się na rynku.

„Nieważne, czy to prawda, czy nie – myślał Mock, podkreślając adresy obu konkurencyjnych firm. – Kierownik chce zrobić psikusa konkurencji. Już samo pojawienie się policjanta wróży kłopoty i niepokoi wroga”.

Aby to oczernianie nie było grubymi nićmi szyte, sprytny kierownik powinien był podać – i na to Mock najbardziej liczył – oprócz największego przeciwnika również jakąś pomniejszą firmę, w której takie zachowania mleczarzy nie byłyby czymś całkiem niewiarygodnym.

Eberhard wypytał jeszcze Schwalbego o kolejnych sześć mleczarni i na kartce, przy ich nazwach, postawił liczby określające kolejność swych wizyt w każdej

z nich.

Znając dobrze położony w przydworcowym rewirze duży zakład Hoffmanna z budką strażnika i dwoma kominami, wykreślił go – zaraz po Mleczarni Wrocławskiej. Zostało sześć pomniejszych firm, ponumerowanych zgodnie z ich ważnością dla śledztwa, czyli zgodnie z prawdopodobieństwem „zatrudniania nygusów”.



Mleczarnia Gallego była opatrzona numerem jeden. Pojechał tam ze Smolorzem, który coraz bardziej się niecierpliwił. Dostał zadanie: przyprowadzić Mocka do Mühlhausa, tymczasem ten pierwszy wcale nie ma zamiaru stawić się przed obliczem tego drugiego, lecz wozi go po mieście po jakichś mleczarniach, nawet nie wytłumaczywszy, w jakim mianowicie celu.

Mock był nie mniej rozdarty wewnątrz niż wachmistrz policyjny. Z jednej strony zaczęło go pociągać widmo nagrody, która umożliwiłaby mu odejście od ojca i zapewnienie staremu draniowi znośnej starości, z drugiej zaś – wzywał go obowiązek niesienia pomocy kobiecie, w której, co w końcu przyznał sam przed sobą dziś rano, omal się kiedyś nie zakochał.

Obaj policjanci byli tak pogrążeni w rozmyślaniach, że nie zwrócili uwagi, iż dorożka zatrzymała się przy Matthiasstrasse^[74] przed kamienicą opatrzoną numerem 114.

Był to czteropiętrowy budynek, jakich wiele na tej ulicy – z licznymi zdobieniami nad każdym z oknem oraz z balkonami symetrycznie umiejscowionymi po bokach. Ostatnie piętro nie miało ani balkonów, ani zdobień, co świadczyłoby o niewielkim prestiżu lokatorów mansardy – zapewne biedoty lub studentów. Nad bramą wejściową wisiał niewielki i zardzewiały szyld z napisem „Galle Molkerei”^[75].

W ciemnym wnętrzu bramy przelotowej huczało. Hałas był spowodowany uderzeniami piłki, która, kopana przez kilku miotających się w ciasnej przestrzeni

chłopców, odbijała się od ściany do ściany, jeszcze bardziej brudząc kafle ścienne, od dawna już nie szorowane. O tym, że stróża tutaj nie ma, świadczyły nie tylko brewerie malców, ale również wszechobecny brud, walające się ogryzki oraz otwarte drzwi do obu klatek schodowych.

Mock i Smolorz minęli popatrujących na nich z zaciekawieniem chłopców, którzy przerwali swoją zabawę. Policjanci weszli na ubite podwórze kamienicy. Nie musieli nikogo pytać o mleczarnię. Poprowadził ich tutaj niezawodny przewodnik – zapach serwatki i zgliwiełego sera.

Mleczarnia Gallego nie miała rampy. Była zwykłym, długim parterowym budynkiem z ośmioma oknami, z których przez wycięte w szybach kwadratowe otwory wystawały małe kominy piecyków.

Przed zakładem stał gruby, przepasany fartuchem chłop około czterdziestki z fryzurą bujną, tłustą i dawno już proszącą się o fryzjera. Wąsy miał skierowane ku górze *à la* niesławnej pamięci ostatni cesarz Wilhelm II. Pięści opierał na biodrach i patrzył z niesmakiem na dwóch elegantów, z których jeden podnosił teraz dziurkowany misternie but, by sprawdzić, czy nie wdepnął w coś lepkiego i paskudnego.

Mock opuścił stopę w kurz podwórka i uśmiechnął się do mężczyzny, wywołując na jego twarzy ni to grymas wstrętu, ni zdziwienia.

– Policja! – powiedział krótko. – Czy mamy przyjemność z panem Maksem Gallem?

Mleczarz patrzył długo na blaszaną odznakę, którą Smolorz podsunął mu pod nos.

– Max Galle nie żyje, ja to Reck jestem, Wilfried na chrzcie mi dali – powiedział z silnym śląskim akcentem. – Ja żem mleczarnię kupił od jego zięcia. Nazwę firmy żem zostawił, bo klienci przyzwyczajeni, no to szkoda ich tracić, co nie?

Mock rozejrzał się wokół. Na podwórku była tylko jakaś stara kobieta w łachmanach i małe, trzyletnie na oko dziecko, najwyraźniej chore na krzywicę.

Baba naciskała na ramię nieczynnej pompy, a dziecko, słysząc skrzypienie, chichotało z uciechy. Reck zrozumiał wzrok policjanta.

– Jak pan widzi, panie komisarz, nazwa nie podziałała. Zbyt wielu klientów się tu nie kręci na podwórku.

– A ta? – Smolorz wskazał głową kobietę.

– A ta czeka, aż jej dam trochę mleka, jak mi zostanie – odparł mleczarz z niejaką dumą, po czym dodał ze smutkiem: – Zostaje, zawsze coś zostaje, panie komisarz...

– Ma pan jakichś pracowników, panie Reck? – zapytał Eberhard.

– Kogo ja miałbym tu zatrudnić? Tylko syn rano skupuje mleko, ale on chory na suchoty po matce, kaszle i kaszle... I dostawcy go unikają, boją się zarażenia, do konkurencji wolą jeździć. Sam z nim jestem, żona nie żyje.

Mock przyjrzał mu się uważnie. Mężczyzna wyglądał na pełnego sprzeczości. Z jednej strony butna postawa, przedramiona pokryte więziennymi tatuażami, gruby głos, dumnie wypięta pierś, z drugiej zaś – wystarczyło kilka zdań, aby pokazał całemu światu, jak bardzo jest nieszczęśliwy.

Policjant wiedział, że zaraz przystąpi do ataku i powie: „Ładnie to tak, Reck? Tu syn, dziecko chore, biedne, gruźlicze, ledwo koniec z końcem więzienia, a wy pieniędzmi na dziwki szastacie, by ruchać je gdzieś pod kościołem?”.

Powstrzymał się jednak. Na wszystko przyjdzie czas.

– Rozwozi pan mleko klientom? Nocami? O świcie? Ostatniej niedzieli też pan rozwoził?

Widząc skinienie głową, Mock wydał polecenie, używając już innej formy gramatycznej:

– Opiszcie mi waszą niedzielną trasę, Reck! Szybko! I wszystko, co się działo tej nocy. Wszystko!

Mleczarz podrapał się po tłustych strąkach i tym samym, niechcący, uświadomił Mockowi, że on sam również powinien zadbać o czystość swojej fryzury.

– Mogę panu powiedzieć, panie władza, ale tylko do pewnego momentu... W niedzielę, późny wieczór był, koło dziesiątej... Jechał żem Frankfurter Strasse^[76] w stronę Pöppelwitz^[77]. Trzy tamtejsze jadłodajnie biorą ode mnie towar. W dwóch wymiana baniek, w trzeciej trochę się żem zasiedział. Gorzała, gorzała, gorzała...

Urwał i spojrzął na dziecko, które powłócząc nieco nóżką, biegało wokół piszczącej przeraźliwie podwórzowej pompy.

– Prawdę mówiąc – znów się podrapał po głowie – w życiu żem chyba tyle nie wypił. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Dużo. Gorzała, kaszana, gorzała, kaszana. Bardzo dużo... Chłop szefowej jadłodajni, mój stary kumpel z kicia, miał urodziny. Więc żem się nachlał, a potem hyc do dryndy z butelką za pazuchą... Pojechał żem dokądś, nie wiem, dokąd. Obudził żem się rano pod kamienicą. Już czekało dwóch dostawców. No to piwko, a potem hyc i do roboty! Tyle wiem, panie komisarz!

– Jak się nazywa ta knajpa, gdzie tak świętowaliście?

– Pod Torami, tak nazywamy, za wiaduktem Poznańskim, koło dworca Przedmieście Mikołajskie^[78]... Niektórzy mówią U pani Stanke. Przy rampie przeładunkowej. Ta Stanke to flama mojego kumpla. Tego, co urodzinował.

Reck przysunął się do Mocka. Wionęło od niego jakimś dziwnym owocowym zapachem. Rozejrzał się wokół, czy ktoś nie podsłuchuje.

– Chyba gdzieś na dziewczynkach żem był, wie pan? – szepnął.

Znów się rozejrzał.

– Tak między nami mężczyznami – dodał jeszcze ciszej. – Trochę forsy mi wyparowało i jajca mnie swędziały... Cholera, do dziś mnie swędzą, rozumie pan komisarz, co nie?

Owszem, Mock rozumiał. Pewnie wszawica łonowa.

– Znalazłeś w poniedziałek rano na furmance, wśród baniek coś dziwnego? Jakąś chustę? Tkaninę?

Reck się rozpromienił. Zaczął mówić szybko jak katarynka, chcąc jak najprędzej odejść od wstydliviego tematu. Mock mu nie przerywał. Z każdym słowem mleczarza czuł, jak wypełnia go euforyczne uczucie, które zna każdy, kto z gęstej mgły wychodzi na jasność dnia.

– Skąd pan komisarz wie? Rzeczywiście, żem znalazł! To była chorągiew jakiegoś klubu bokserkiego... Nie pamiętam jakiego... Ale możemy zobaczyć ją zaraz. Ja tutaj, na drugim piętrze... Żem synowi ją dał! To był najmilszy dla niego prezent. Mój syn zna ten klub, chodzi na walki pięściarzy. On wielki kibic! Kiedyś nawet, jak był zdrowy, to za gońca robił na jakimś przyjęciu tego klubu. Zaraz wszystko sprawdzimy! Chodźmy! Zobacz pan, że nie kłamię, a pan tak na mnie cały czas patrzył, żem niby kłamał!

Mock mu przerwał:

– No, prowadź!

Kilka minut później patrzył na leżącego w łóżku piętnastoletniego może chłopca z wypiekami na twarzy. Nad jego rozpaloną gorączką głową, nad skłębioną pocerowaną pościelą, nad przypiętymi do słomianej maty zdjęciami amerykańskich pięściarzy rozwijała się wielka flaga, przybita gwoźdźmi do ściany.

Widniał na niej napis: „Wrocławski Związek Bokserki Kępa Strzelecka”.

– Taki prezent dostałeś od ojca? – zapytał chłopca policjant.

Chory skinął twierdząco głową.



Eberhard Mock właśnie wyszedł z gęstej mgły.

Pożyczywszy od syna Recka klubowy sztandar – za pokwitowaniem, chłopak bardzo się opierał – wyszedł na podwórko.

Uśmiechnął się do dziecka bawiącego się przy pompie. Z kieszeni wyjął cukierek własnej roboty, jaki jego ojciec Willibald wyprodukował niedawno z mleka i ze skarmelizowanego cukru. Położył przysmak na otwartej dłoni.

Dziecko, kulejąc, podeszło do niego niepewnie, po czym odwróciło się w stronę starej kobiety.

– Mamusiu! – zawołało. – Mogę wziąć? Kto to jest ten pan?

Kobieta spojrzała na Mocka przelotnie.

– Nikt! – odpowiedziała. – Kuternoga jak i ty!

[58] Obecnie ul. Szewska.

[59] Obecnie ul. św. Elżbiety.

[60] Obecnie ul. Bałuckiego.

[61] Obecnie ul. Bałuckiego.

[62] Obecnie most Pomorski.

[63] Obecnie Wybrzeże Słowackiego.

[64] Obecnie ul. Bolesława Chrobrego.

[65] Obecnie ul. Braniborska.

[66] Obecnie most gen. Sikorskiego.

[67] Obecnie Dworzec Świebodzki.

[68] Obecnie pl. Orłąt Lwowskich.

[69] Dziś nie istnieje.

[70] Obecnie Księża Małe.

[71] Obecnie pl. Strzegomski.

[72] Obecnie ul. Komuny Paryskiej.

[73] Obecnie ul. Jedności Narodowej.

[74] Obecnie ul. Jedności Narodowej.

[75] Mleczarnia Gallego (niem.).

[76] Obecnie ul. Legnicka.

[77] Obecnie Popowice.

[78] Obecnie dworzec Wrocław-Mikołajów.

VI *Zboczeniec*

EBERHARD MOCK ODESŁAŁ SMOLORZA do Mühlhausa z obietnicą, że jutro punktualnie o dziewiątej rano stawi się na odprawie, po czym udał się na piechotę do biura Wittiga. Było to niedaleko – nie więcej niż kwadrans marszu.

Tam, upewniwszy się, że Herta śpi i jest pod dobrą opieką panny Sabisch, pożyczył rower od jednego z pracowników terenowych radcy sierociego i pojechał na nieodległą Kępę Strzelecką. Przez pierś przewiesił sobie skórzaną torbę pożyczoną od właściciela roweru.

Słońce mocno przypiekało i Eberhard zmęczył się pedałowaniem, zwłaszcza że osłabiony bezsennością pocił się nader obficie. W końcu ku swojej uldze wjechał pomiędzy rzadkie, równo posadzone młode brzozy oraz forsycje obsypane żółtym kwieciem.

Znalazł się na terenie jednego z wielu wrocławskich kompleksów rozrywkowo-restauracyjnych, zwanych *établissements*. Nazwa ta była typowym przerostem formy nad treścią. Francuski napuszony wyraz odnosił się bowiem po prostu do dużej knajpy pod gołym niebem, z podestem, gdzie w ciepłych miesiącach orkiestra przygrywała do tańca. W takich kompleksach czasami – lecz nie tutaj – bywało więcej urządzeń rozrywkowych, na przykład tor do wrotek czy muszla koncertowa.

Na podium stało teraz kilku mężczyzn w getrach i w skórzanych krótkich spodenkach. Na głowach mieli trójgraniaste pirogi z małymi sterczącymi pióropuszcami. Z ich uszu zwisały długie kolczyki, a z otwartych ust dochodziło donośnie jodłowanie.

Mock, bywalec koncertów abonamentowych i miłośnik Bacha, skrzywił się, słysząc dokonania jodlerów, i popedałował dalej w stronę sali gimnastycznej, gdzie

niedawno wraz z ojcem oglądał był niesławny bokerski pojedynek.

Wszedł tam, zostawiwszy rower pod opieką jakiegoś chłopaka, który – po otrzymaniu monety o niewielkim nominale – przerwał mycie podłogi w pomieszczeniu zanieczyszczonym niedawno przez starego Willibalda.

Było tu teraz pusto. Eberhard spojrzął przelotnie na materace i na wiszące u powały worki i gruszki bokerskie, kiwające się, jakby przed chwilą wymierzano w nie ciosy. Zapewne tutejszy sprzątac miał większe aspiracje niż specjalizowanie się w szorowaniu podłóg.

Policjant wszedł do sali gimnastycznej i ujrzał dwóch walczących bokserów z niższych kategorii wagowych, sądząc po ich posturze. Obok pięściarzy tanecznym jakby krokiem poruszał się jegomość w podkoszulku i w kaszkiecie na głowie. Pokrzykiwał ostro na zawodników i co chwila któregoś z nich szturchał.

– Cóż to, *Herr Polizei-Assistent*? – Mock usłyszał wesół głoś dochodzący gdzieś z boku. – Dlaczego ma pan taką skrzywioną minę? Czyżby się panu nie podobało jodłowanie?

Eberhard obszedł ring i ujrzał wielką, gruszkowatą nieco sylwetkę Eugena Schliepsa, który stał za swoim biurkiem, zawalonym papierami.

Najwidoczniej był on człowiekiem obdarzonym umiejętnością wykonywania kilku czynności naraz. Obserwował walkę, a jednocześnie w tym prowizorycznym biurze na środku parkietu przeglądał jakieś kwity i dokumenty.

Jego pełna szacunku postawa stojąca kontrastowała nieco z figlarnym uśmiechem, a czarna fryzura przecięta srebrnym pasem odcinała się ostro od zwieszających się ze ścian za jego plecami żółto-czerwonych sztandarów. Na wszystkich wyhaftowano napis „Wrocławski Związek Bokerski Kępa Strzelecka” i datę „1912”.

Szef tej instytucji ubrany był na sportowo – w kraciaste spodnie oraz w koszulę z krótkim rękawem, której wielki kołnierz wyłożył na wełniany pulower.

– Tak, to prawda – odparł Mock niekontent, iż nie zapanował nad grymasem niechęci, z jakim zawsze przyjmował jodłowanie. – To świdrowanie uszu

rzeczywiście nie jest w moim guście... Wolę *Przejaśnioną noc*[79] Schönberga.

– No cóż... – Schlieps wskazał Mockowi krzesło i sam opadł na fotel za biurkiem. – Zbliża się Wielkanoc, *Herr Polizei-Assistent*, ludzie są spragnieni wiosny, świeżego powietrza, piwa i śpiewu. Opatrzyły się im już i osłuchały nasze dziarskie chłopaki z zespołu Dobry Humor, no to sprowadziłem tych jodlerów z Vorarlbergu... – Uśmiechnął się. – Zobaczymy, czy skradną serca naszej publiczności... Ryzyko niewielkie, dużo nie kosztują. Zresztą pan ich słuchał bez akompaniamentu, a gwarantuję, że nogi same pana poniosą do tańca, gdy do śpiewu im zagra nasz zespół akordeonistów!

Eberhard, który do tańca był równie wyrywny jak na przykład do picia octu, wskazał na gong, stojący tuż obok ringowych sznurów.

– Już wołałbym słuchać tego pańskiego gongu. Chyba z jakiegoś kościoła pochodzi, nieprawdaż?

– No właśnie. – Szef Związku Bokserskiego był najwyraźniej w nastroju do dowcipkowania. – Muszę wysłać zamówienie na inny, bo kiedy ten zabręczy, to ludzie kłękają i składają ręce do modlitwy...

Roześmiał się głośno z własnego dowcipu. Mock mu zawtórował. Ta obopólna wesołość trwała jednak krótko.

Policjant otworzył torbę i wyjął z niej sztandar Kępy Strzeleckiej. Położył go na biurku. Powiew powietrza, towarzyszący temu ruchowi, zdmuchnął kartkę papieru. Schlieps się po nią schylił, Mock był szybszy. Umieścił ją na biurku, zapamiętawszy jej treść.

Gospodarz patrzył na sztandar ze zdumieniem. Wokół serdecznego palca lewej ręki kręcił bezwiednie masywnym sygnetem z wielkim diamentem, na którego złotej obwódce wygrawerowano pięściarską rękawicę i inicjały ES.

– Kradną sztandary! – wykrzyknął nagle. – To prawdziwe trofeum dla wrogów. Jak rzymskie orły dla Hermanna Cheruska, co? Ktoś go zakosił, o stąd zerwał!

Odwrócił się i wskazał palcem na rząd chorągwi wiszących za jego plecami.

Mock przez chwilę analizował zachowanie Schliepsa. Najwyraźniej chciał on podtrzymać przyjazną i swobodną wymianę zdań i pokazać samego siebie w dobrym świetle, bo temu pewnie służyło popisywanie się wiedzą o bitwie w Lesie Teutoburskim. Usłyszawszy o Schönbergu, chciał pokazać Mockowi, że grają w tej samej kulturalnej lidze.

Na policjancie antyczna reminiscencja nie zrobiła jednak wrażenia. Parł do konfrontacji. Wstał i oparł pięści na biurku, jakby szykował się do skoku.

– Tej szmaty nie było tutaj, Schlieps! – powiedział twardo i wskazał dłonią za jego plecy. – Chyba że pokażesz mi pusty gwóźdź po niej. Bo jakoś nie widzę miejsca, gdzie by ona wisiała!

Szef klubu zacisnął szczęki i nawet się nie poruszył.

Cios był celny. Rzeczywiście we wskazanym miejscu nie było śladu po sztandarze.

– Coś ci powiem, Schlieps – ciągnął Mock. – Twoją chorągwią jak prześcieradłem osłaniała się pewna naga i ciężko pobita niewiasta. Może ją stłukł któryś z twoich chłopaków? Zatrudniasz damskich bokserów, Schlieps?

Na twarzy Borsuka pojawiło się oburzenie, pomieszczone ze wstrętem. Najwyraźniej nawet nie zamierzał odpowiadać.

– Znasz prostytutkę Hertę Rossenbach?

– Nie, a poza tym – odparł wolno zapytany, ocierając pot z czoła – nie przechodziłem z panem na „ty”.

– A może mi odpowiesz na inne jeszcze pytanie, co? No powiedz! Skąd się wziął gips w rękawicach Behringera? Kazałeś mu tam go umieścić?

Schlieps pokręcił przecząco głową.

– Ten głupi osiłek chyba się zadłużył i zrobił grube zakłady. No cóż... Nie wykorzystał szansy, jaką mu dałem. Czasem niektórzy wracają na złą drogę i nijak nie da się im pomóc... Zło zbyt mocno im wrosło w kręgosłup. Behringer należał do takich idiotów. Chyba cię to nie dziwi, co, Mock? Niejednego takiego chyba spotkałeś...

Eberhard drgnął, usłyszawszy odwzajemnione „tykanie”. Schlieps zauważył to z satysfakcją.

– A poza tym my tu mamy dużo gipsu. – Wskazał na sufit i wysoką drabinę opartą o ścianę. – Dorabiamy teraz sztukaterie. A co do Behringera... No cóż. Doszło do mnie, że ten głupek już sam siebie ukarał, nieprawdaż?

Nagle potarł palcami czoło i nieoczekiwanie zmienił temat.

– Wciąż mi nie daje spokoju ta kobieta w chorągwi zamiast sukienki. Pobita kobieta...

Zamyślił się głęboko. Nagle uderzył się w czoło otwartą dłonią.

– Ach, już wiem! – krzyknął. – Już wiem, jak to mogło się stać! Być może jedna z drugą ukradła stąd ten sztandar? Szarpnęła, urwała i uciekła, złodziejka jedna, dziwka niemyta!

Już nie udawał kulturalnego znawcy historii starożytnej. Teraz na jego ustach wykwitał uśmiezek pokazujący, kim w był w istocie – cwaniakiem z przedmieścia, pewnym siebie i wygadany.

Eberhard nigdy na żadnej walce bokserskiej nie widział wśród publiczności kobiet. Na tej ostatniej również. Czuł się zatem teraz jak człowiek, któremu ktoś uparcie usiłuje wmówić absurd.

W tle wypowiedzi szefa klubu pobrzmiwała kpina, jakby chciał rzec: „No dobrze, sprzedaję ci bajeczkę. I co mi zrobisz?”.

Schlieps natychmiast dostrzegł tę grę uczuć na obliczu Mocka i odpowiedział mu na nie zadane pytanie:

– Nawet pan nie wie, *Herr Polizei-Assistent*, ile tu kobiet przychodzi oglądać walki bokserskie. Kibicują nader zagorzale, naprawdę! Oczywiście nigdy na pokazach publicznych, tu nie przystoi się pokazywać porządnym damom. Ale na pokazach prywatnych... Mój panie! Co tam się dzieje?! Podnieca je widok mocnych, brutalnych mężczyzn. Na przykład stałą bywalczynią jest znana panu dobrze panna Therese Berger...

„Igra ze mną – pomyślał Mock coraz bardziej wzburzony. – Przecież panna Berger jest szefową Herty Rossenbach! Borsuk udaje, że nic nie wie o pobitej kobiecie, a jednocześnie zuchwale i nieoczekiwanie wspomina o jej opiekunce!”

Schlieps znów szeroko się uśmiechnął.

– Po co się kłócić, *Herr Polizei-Assistent*, dajmy spokój tym zaczepkom. – Przycisnął dłoń do serca, jakby miał teraz złożyć jakąś przyjazną deklarację. – Tu kobiety przychodzą nie tylko po to, aby oglądać bokserów. One same walczą ze sobą. Umięśnione i silne... W krótkich spódniczkach, a pod spodem nic... To oczywiście na tych walkach prywatnych, dyskretnych. Przeznaczonych tylko dla oczu specjalnie zaproszonych gości. – Odetchnął głęboko. – Niechże pan będzie jutro takim moim gościem... O dziesiątej wieczór odbędzie się kilka tajnych walk. Niechże pan przyjdzie, nie pożałuje pan, zapewniam.

Mock opanował się i wyszczerzył zęby do zapraszającego. Zwinął sztandar i schował go do torby. Odsunął nogą krzesło, jakby mu przeszkadzało na drodze do Borsuka.

– Opowiedziałem panu historyjkę prawdziwą, lecz bardzo nieprawdopodobną. Pobita, naga niewiasta, owinięta pańską chorągwią, to widok nieczęsty, prawda? – Obniżył nieco głos. – A pan, zamiast się zdumieć, zamiast okazać wielkie zadziwienie, bo to byłaby właściwa reakcja na taką wiadomość... Pan od razu śpieszy mi z pomocą. Chce pan od razu wyjaśnić, skąd na ciele kobiety wziął się sztandar... A ja jeszcze o to nawet nie pytałem. – Odchrząknął. – Zamiast rzec: „Co pan też opowiada, Mock, jaka pobita niewiasta z moją chorągwią? Co za bzdura?”, to pan usłużnie podsuwa mi jakieś hipotezy. A to o kibicujących zagorzale kobietach, a to... o damskich walkach, których zmasakrowana uczestniczka mogłaby owinąć się sztandarem... – Westchnął. – Kiedy bym panu powiedział, Schlieps: „Oto centaur wszedł do sali”, to powinien pan odpowiedzieć: „Ma pan jakieś zwidy, Mock”, a nie mówić: „Pewnie centaury mają tu gdzieś stajnię”. Za dużo pan mówi. Za bardzo pan usłużny. To klepnięcie się w czoło i pańskie: „Heureka! Już wiem!”. To było kiepskie aktorstwo, Schlieps!

Odetchnął i z przyjemnością obserwował, jak teraz przez twarz szefa Kępy Strzeleckiej przepływają sprzeczne uczucia.

Policjant obszedł biurko i nieoczekiwanie z całej siły pociągnął za jeden ze sztandarów wiszących za plecami rozmówcy. Materiał napiął się mocno i zatrzeszczał, ale nie puścił.

– Bardzo wytrzymały ten materiał! – rzekł ze śmiechem. – Ciekaw jestem, która kobieta je zerwie. Chyba jedna z pańskich bokserek, co? Umieśnionych i silnych... Dziękuję za zaproszenie na jutrzejszy prywatny pokaz, na walkę kobiet!

Zacisnął usta i dodał przez zęby:

– Kobiety trzeba kochać, trzeba się o nie troszczyć, a nie rzucać je na ring jak niedźwiedzice! A ja tu kiedyś przyjdę, Schlieps. Na pewno przyjdę. – Wsunął kciuki za szelki. – Przyjdę po pana, panie Borsuk. Z kajdankami.



Kiedy Eberhard wrócił do biura radcy Wittiga, dochodziła czwarta po południu. Oddał rower i torbę, po czym zajrzał przez szparę do salki szpitalnej.

Herta wciąż spała i nie chciał jej przeszkadzać w odpoczynku. Ponadto bał się, że po przebudzeniu nie wytrzyma jej żalu i rozpaczy za porwanym dzieckiem. Co miał powiedzieć? Okłamać ją, że jest na tropie Bettiny?

Było już zbyt późno, aby wykonać wyznaczone sobie zadanie, czyli iść do policyjnego archiwum i zdobyć informacje o Związku Bokserskim i o Eugenie Schliepsie.

Mock wiedział od Smolorza, że ludzie Mühlhausa również otrzymali takie polecenie i pewnie w poszukiwaniu wiadomości o Borsuku już przetrząsnęli całe archiwum. Jeśli Mock miał jeszcze szansę na jakieś dodatkowe informacje i skojarzenia, to mogły one pochodzić jedynie z legendarnej pamięci archiwisty Herberta Knorra, ten zaś pedantycznie się trzymał godzin pracy. Do prezydium przychodził równo o siódmej rano, wychodził zaś o trzeciej po południu. Już go zatem nie było.

Eberhard nie chciał jechać do domu i stawiać czoła śmiertelnie obrażonemu ojcu. Postanowił przeznaczyć popołudnie oraz wieczór na czynności higieniczne i kulinarne.

Najpierw poszedł do prezydium policji i tam szef aresztu Josef Maron wskazał mu wolną celę – tuż obok tej, gdzie się powiesił Behringer. Tam Mock zdjął z siebie koszulę i bieliznę, po czym goniec policyjny za drobną opłatą odniósł to wszystko do pralni Karla Dutziga na pobliskiej Nadlergasse^[80] z poleceniem „na cito”.

Trzy godziny później Eberhard – ogoliwszy się i umywszy pierwiej w więziennej łazience w wiadrze gorącej, nagrzanej na palenisku wody – sam poszedł odebrać uprane i wyprasowane rzeczy, budząc zdziwienie niecodziennym strojem. Praczkę trącały się łokciami i z szelmowskimi uśmieszkami pokazywały sobie tego silnie zbudowanego mężczyznę z krawatem na gołej szyi, u którego w wycięciu kamizelki zamiast koszuli krzewiło się bujne ciemne owłosienie.

Eberhard zaraz je ukrył pod koszulą i – odświeżony oraz pachnący czystością – najpierw się z kobietami trochę poprzekomarzał, a potem, kiedy już uznał, że niewiasty są nieco znudzone jego odgrzewanymi dowcipami, udał się do gospody Schözlzla przy Messergasse^[81].

Tam spożył ogromną kolację, składającą się z gotowanej golonki oraz z miski grochu z kapustą. Kazał też przyrzadzić sobie posiłek na rano – złożoną pajdę komiśniaka z siekanym mięsem.

Był szczęśliwy – nie musiał pić, o alkoholu wcale nie myślał! Patrzył z ubolewaniem i z lekceważeniem na bywalców knajpy wlewających w siebie cysterny piwska.

Dwie poprzednie zarwane noce znakomicie odespał na zwykłym sienniku z czystym kocem, dostarczonym mu przez Marona. Nie przeszkadzały mu ani śpiewy więźniów, ani ich okrzyki, ani trawienne skutki potężnej kolacji.

Wstał o wpół do siódmej rano, na śniadanie zjadł w swoim biurze pajdę komiśniaka i popił ją cienką, rozwodnioną kawą. Punktualnie o siódmej zapukał do

policyjnego archiwum.

Mieściło się ono w przyziemiu budynku, za wahadłowymi drzwiami, zawsze zamkniętymi i zaopatrzonymi w solidną kratę. Mockowi otworzył gospodarz tego miejsca, archiwista Herbert Knorr.

Niepozorna sylwetka tego prawie sześćdziesięcioletniego mężczyzny, połamany nieco daszek na gumce, osłaniający mu oczy przed kurzem i światłem, oraz fartuch, upodabniający go do majstra w warsztacie, nie robiły imponującego wrażenia na przybyszach, którzy go wcześniej nie znali. Ale wystarczyło, że się odezwał swym głębokim głosem, że z szybkością błyskawicy skojarzył miejsca, osoby i daty, by wzbudzić podziw w interesantach.

Knorr znał różne szczegóły z życia miasta oraz jego mieszkańców, ponieważ nieprawdopodobnie szybko pochłaniał całe szpalty wszystkich wychodzących we Wrocławiu gazet – niemieckich i nielicznych polskich – i potrafił świetnie destylować zawarte w nich informacje oraz czytać pomiędzy wierszami.

Nie dla wszystkich archiwista był jednakowo łaskawy. Na niektórych petentów burczał i kazał im samodzielnie szukać materiałów, udając, że nie wie nic na temat zagadnień, które ich interesowały; do innych podchodził z najwyższą życzliwością i odsyłał ich nie tylko do odpowiednich teczek, ale odgrzebywał z pamięci rzeczy, które mało komu były wiadome i nie figurowały w żadnych rejestrach. Mock należał do tych drugich interesantów i teraz właśnie na pamięć Knorra bardzo liczył.

Archiwista przywitał się z nim serdecznie i zapytał:

– Niech zgadnę! Pan asystent policyjny pewnie w sprawie Eugena Schliepsa *alias* Borsuka oraz jego klubu Kępa Strzelecka?

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i poprowadził Mocka przez pierwszy duży pokój, gdzie przyjmował gości, do właściwego archiwum, gdzie wstęp mieli tylko ci, którzy się wcześniej wylegitymowali odpowiednim upoważnieniem.

Od Mocka takowego nie żądał. Zszedł po trzech schodkach w dół, usiadł w świetle metalowej lampy i wskazał mu miejsce po drugiej stronie biurka.

Eberhard najpierw dokładnie się przyjrzał siedzeniu krzesła i nie dostrzegłszy tam kurzu, rozparł się na nim wygodnie.

Wyciągnął papierośnicę. Zapalili.

– Zgadł pan, panie Knorr – odpowiedział Mock na wcześniejsze pytanie. – Oni wszyscy, moi koledzy od Mühlhausa, pytali o ciemne sprawy Związku Bokserskiego, o jakieś pogłoski o wymuszeniach, haraczach, prostytutce, prawda? Najwyraźniej chcą mieć haka na Schliepsa, myślę się?

– Prawda – potwierdził Knorr. – Nie myli się pan.

Choć jego oczy osłaniał daszek przeciwkurzowy, policjant był pewien, że dostrzegł w nich błysk satysfakcji. Knorr szybko kojarzył i lubił stawiać błyskawiczne, na ogół trafne hipotezy.

– Ja o coś innego chcę pana zapytać niż moi koledzy, panie Knorr. Nie o ciemne sprawy Kępy Strzeleckiej, nie o ustawianie walk, nie o niepłacenie podatków, nie o znowę milczenia, jaka jest zasada tych wszystkich Bractw Pierścieniowców...[82] Mam prostą kwestię. Eugen Schlieps a kobiety. Eugen Schlieps a prostytutki.

Knorr milczał, Mock również. Pierwszy zastanawiał się, czy może zdradzić sekret, który zna od przyjaciela; drugi rozważał kwestię, czy nieoczekiwane skojarzenie pobicia Herty z ustawioną walką Behringera nie idzie zbyt daleko, nie jest jakąś wydumaną ekstrawagancją. Może to po prostu zwykły zbieg okoliczności? A może Herta, kobieta postawna i silna, walczyła w damskich walkach? Wtedy wszystko by się zazębiło. Może ktoś obstawiał takie walki i – porwawszy jej dziecko – chciał ją zmusić, by przegrała lub wygrała jakiś pięściarski pojedynek? Albo – jeszcze gorzej – nie chciała wziąć udziału w ustawionej walce i ktoś z zemsty chciał ją zabić?

– Doktor Wolfgang Lasarius coś wie na temat, który pana interesuje – rzekł w końcu archiwista. – Niech pan idzie do niego po informacje. Ja nic panu nie powiem.

Mock wiedział, że jego rozmówcę i medyka sądowego łączy przyjaźń, która go zawsze dziwiła. Jeden najchętniej rozmawiał o zwłokach, drugi roztaczał opartą na solidnej wiedzy wizję Wrocławia za kilka dekad.

Mimo tych nie przystających do siebie tematów obaj bardzo lubili przebywać w swoim towarzystwie, nieważne, czy perorowali każdy o własnej dziedzinie, czy też po prostu zgodnie i ku obopólnej satysfakcji milczeli, mocząc wargi w piwie.

– Bardzo szanuję i lubię doktora Lasariusa, choć nie jestem z nim na ty, jak pan, panie Knorr – zaczął ostrożnie Mock. – Ale co zrobię, jeśli i on mi nic nie powie? Przecież pan wie, że kiedy się zatnie, to pary z ust nie puści. I co? I zostanę w ślepych zaułku z moim śledztwem w sprawie porwania biednego maleństwa!

Umilkł, patrząc, czy wzmianka o dziecku zrobiła wrażenie na archiwście, czy zapyta, o jakie maleństwo chodzi.

Ten jednak wciąż milczał.

– Pewne zdrowe niemowlę wyzionie ducha, nie przeżywszy nawet roku, a jego dzielna matka, samotnie je wychowująca, targnie się na swoje życie! – ciągnął Mock. – Być może Borsuk porwał to dzieciątko. Muszę wiedzieć wszystko o jego stosunku do kobiet, o jego żonach, kochankach, dzieciach z nieprawego łoża, o ile takowe miał!

Knorr zgasił papierosa. W jego głosie zabrzmiał ten ton, którym odganiał natrętnych interesantów:

– Niechże pan idzie do Lasariusa!

Nagle Mock uświadomił sobie, że ma asa w rękawie. To, co zaraz powie, było podłym kłamstwem, nie miał jednak innego wyjścia.

– To porwane dziecko, ta roczna dziewczynka... Bettina... – rzekł, udając, że głos mu się łamie – jest moim nieślubnym dzieckiem.

Knorr podniósł daszek czapki i spojrzał Mockowi prosto w oczy.

Policjant przypomniał sobie dziecko leżące na tygrysiej skórze, którego nic życia pewnie przetnie, o ile już tego nie zrobił, jakiś bydlak. Wyobraził sobie syna mleczarza Recka, nastoletniego gruzlika, który pewnie wkrótce wyzionie ducha

w brudnej pościeli; w imaginacji Eberharda skakało też dziecko przy pompie, powłócząc nóżką. Te wizje miały go wzruszyć, co się też stało.

„Tak pewnie aktorzy zmuszają się do płaczu” – pomyślał, ocierając łzę.

– Dobrze, powiem panu – rzekł powoli Knorr. – Powiem, ale pod jednym warunkiem. Nie puści pan pary z ust, że coś wie na ten temat. Słowo honoru?

– Słowo honoru. – Mock kiwnął głową.

– W roku tysiąc dziewięćset dziesiątym Eugen Schlieps wyszedł z więzienia. Nic nie wiem o tym, co robił przez cztery lata do tysiąc dziewięćset czternastego, kiedy to zaczął pracować u Lasariususa w Instytucie Lekarsko-Sądowym na Auenstrasse[83]. Jako laborant albo, jak pan woli, krajacz trupów. Pracował krótko, do tysiąc dziewięćset piętnastego. Nawiązał bliskie kontakty z pracownikami firm pogrzebowych i z ich szefami, a potem, nie wiem, jak to się stało, zbił duży majątek. Plotki mówią o jakichś niejasnych wojennych sprawkach. Nic więcej, żadnych konkretów.

Mock zakrztusił się dymem i zaczął gwałtownie kaszleć. Uspokoił się po minucie.

– Dziwi się pan teraz i pyta sam siebie – Knorrowi zdawało się, że rozumie reakcję organizmu swego rozmówcy – dlaczego pan nic o tym nie wiedział. Dlaczego pan nie znał takiego laboranta, wszak z Lasariusem współpracuje pan od czasów sprawy gimnazjalistów w Hali Stulecia[84]. Odpowiadam. Nie było pana w Niemczech latem tysiąc dziewięćset czternastego, *Herr Polizei-Assistent*, a wtedy on się zatrudnił u Wolfganga. Mój przyjaciel medyk kroił trupy, a pan przedzierał się wtedy przez dżungle Kamerunu[85].

Archiwista odchrząknął, jak zawsze, gdy przechodził *ad meritum*.

– Lasarius go zwolnił – szepnął. – Były podejrzenia...

Przełknął ślinę, a jego nos się zmarszczył, jakby wyczuł jakiś smród.

– Że obcuje z ciałami zmarłych młodych kobiet, prostytutek... Takie były podejrzenia.



Kiedy Eberhard Mock wyszedł z archiwum, Herbert Knorr popadł w złość na samego siebie.

– Starzeję się – szeptał, masując skronie. – Nie mogę sobie przypomnieć nazwiska tej dziewczyny!

Knorr nie powiedział Mockowi całej prawdy. Przed czterema laty jego przyjaciel Wolfgang Lasarius zaczął podejrzewać, że Schlieps zbyt dużo uwagi poświęca ciałom zmarłych młodych kobiet. Nie podjął jednak wtedy od razu stanowczych kroków wobec swego ówczesnego podwładnego. Chciał mieć całkowitą pewność i złapać go *in flagranti*.

Decyzja doktora została jednak przyśpieszona nie dlatego, że stało się jasne, iż Schlieps jest zbrojcem. Powodem zdecydowanej reakcji szefa instytutu było to, że laborant zainteresował się zwłokami, które powinien omijać z daleka.

Chodziło o młodą, osiemnastoletnią brunetkę, którą Lasarius dobrze znał za jej życia, na tyle dobrze, że żaden centymetr kwadratowy jej ciała nie był dla niego tajemnicą. Bywał u niej wielokrotnie i zażywał rozkoszy w jej ramionach.

Zmienił się na twarzy, kiedy przywieziono ją do Instytutu Lekarsko-Sądowego z siną pręgą wisielczą. Zmienił się jeszcze mocniej, kiedy tego samego dnia, przygotowując się do obdukcji, zdarł z niej prześcieradło i ujrzał jej nogi, które po przywiezieniu ciała do instytutu były równo ułożone obok siebie, teraz zaś – nienaturalnie szeroko rozsunięte. Ze zwłokami miał kontakt jedynie Eugen Schlieps.

Lasarius nie czekał już na ostateczne potwierdzenie swych podejrzeń. Wyrzucił laboranta z pracy tego samego dnia, kiedy powziął podejrzenie, iż ten pohańbił ciało jego dawnej kochanki.

Tego wszystkiego Herbert Knorr nie powiedział Mockowi, a nazwiska tej dziewczyny nie mógł sobie za nic teraz przypomnieć.

I to nie dawało mu spokoju. Oczywiście nie miał zamiaru opowiadać Mockowi o częstych odwiedzinach medyka w skromnym *pied-à-terre* owej dziewczyny, bo to rzeczywiście byłoby zdradzeniem wstydlivej tajemnicy przyjaciela. Pewnych

rzeczy się nie ujawnia, choćby nikt nie prosił o dyskrecję. Ale nazwisko zmarłej nie stanowiło żadnego sekretu.

Nie było go w żadnej teczce policyjnej, ponieważ – to akurat dobrze pamiętał – po obdukcji zjawiała się rodzina prostytutki i zabrała ciało wraz z dokumentami z sekcji zwłok. Nie chcieli, aby dziewczyna – jako samobójczyni – została pochowana poza cmentarzem, Lasarius zaś zgodził się pod wpływem próśb rodziny na zatuszowanie przyczyn zgonu dziewczyny. Niemniej jednak protokół z pochówku musiał gdzieś być. I archiwista wiedział, gdzie go szukać.

Herbert Knorr był naturą niezwykle uporządkowaną, z obsesją na punkcie dat, nazwisk i miejsc. Nazwisko owej samobójczyni, które zniknęło w odmętach jego niepamięci, nie dawało mu spokoju wcale nie dlatego, iżby czuł się jakoś winny wobec Mocka lub dręczyły go wyrzuty sumienia, że coś przed nim zataił.

Gdyby go ktoś zapytał, dlaczego teraz się ubiera, wkłada paltot i kapelusz, zamyka archiwum, wieszając kartkę: „Przerwa”, i wychodzi z prezydium policji, mimo że szedł dopiero pierwszy kwadrans na dziewiątą rano, odpowiedziałby:

– Dla porządku.

I w tym właśnie celu udał się dorożką do Nowego Archiwum Państwowego przy Tiergartenstrasse[86] i Dickhuthstrasse[87].

Po godzinie poszukiwań już wszystko wiedział. Szczęśliwy wrócił do prezydium policji i na biurku Mocka zostawił notatkę o treści:

Pan S. był podejrzewany o wspomniane czyny względem zmarłej kobiety, niejkiej Emmy Riegel, lat osiemnaście.

Na Herberta Knorra czekał przed archiwum rozzłoszczony komisarz Amelung, który miał mu za złe, iż zrobił sobie przerwę akurat wtedy, gdy on chciał coś sprawdzić w zbiorze policyjnym. Kiedy archiwista przeproszał za swoją nieobecność, pewien jego kolega po fachu w oddalonym o dwa kilometry pięknym budynku archiwum państwowego uzyskał połączenie telefoniczne:

– Prosił pan, abym informował, gdyby ktoś przeglądał akta wiadomych osób – powiedział pracownik Nowego Archiwum Państwowego. – Właśnie pojawił się tu interesant, który szukał akt Emmy Riegel. Nazywa się Herbert Knorr. Wylegitymował się jako szef biblioteki przydzium policji, ale nie ustępowałem i zapytałem, na czyje polecenie. To wielki służbista. Nie opierał się i rzekł, że na polecenie asystenta kryminalnego Eberharda Mocka.

– Dziękuję panu – rozległ się tubalny głos. – Proszę dziś przyjść na tajną walkę kobiecą o dziesiątej wieczór. Otrzyma pan słodką nagrodę.



Odprawa u Mühlhausa rozpoczęła się punktualnie o ósmej rano w przydzialnym archiwum akt starych na drugim piętrze przy Schuhbrücke^[88] 49.

Inspektor kryminalny stał jak nauczyciel przy tablicy i stukał w nią kredą, wywołując do odpowiedzi swych ludzi. Tych było już trzynastu – wszyscy obecni. Jedenastu stałych pracowników inspekcji kryminalnej oraz dwóch przydzielonych z obyczajówki – Eberhard Mock i Kurt Smolorz.

Komisarz Emmanuel Amelung został wywołany jako pierwszy. Ów zwalisty mężczyzna, zwykle wesoły i jowialny, dukał teraz jak uczeń.

– Wraz z panami Rudolphim i Knoffem ustaliliśmy... Dużo, ale właściwie nic, co można by... Nic... Eeee... Ciekawego. Schlieps jest... Eeee... Wdowcem. Wyszedł z więzienia w roku 1910. Siedział za napady, pobicia i za próbę zabójstwa. W więzieniu... Eeee... Czytał... Szczególnie historię... Mieszka przy...

Mock się wyłączył. Wciąż myślał o rozmowie z Knorrem.

Sytuacja zrobiła się trudna. Nie mógł zwrócić się wprost do Lasariusza z prośbą o wyjawienie szczegółów, o których archiwista nie wiedział lub nie chciał powiedzieć. Gdyby to uczynił, stałby się dla Knorra *persona non grata*, a to na pewno nie wróżyłoby dobrze przyszłej policyjnej karierze.

– Podatki płaci regularnie – mówił komisarz Ferdinand Ulbrich. – Nasz księgowy doktor Nachstaedt nie dopatrywał się tu żadnych uchybień.

„Muszę koniecznie porozmawiać z Lasariusem – myślał Mock intensywnie. – Tę rozmowę trzeba starannie zaplanować, aby ani słowem się nie zająknąć o plotkach nekrofilskich. Muszę naszemu doktorowi, który świetnie się zna nie tylko na martwych ofiarach, ale również na żywych zbrodnicach... Muszę koniecznie się go zapytać, czy nekrofilia idzie w parze z pociąganiem do małych dzieci... Niemowląt”.

Poczuł, jak jakiś kwas napływa mu do ust. Zaczął intensywnie planować porwanie i brutalne przesłuchanie Schliepsa. Mogli tego dokonać Wirth i Zupitza, jego współpracownicy z półświatka. Po minucie odrzucił ten brawurowy, nierozsądny plan, który mógł zrujnować mu życie. Niestety, w jakiejś części swego umysłu wciąż słyszał podszepty: „To jedyny właściwy pomysł. Przyduś gada. Jeśli on rzeczywiście jest zbrodnicem, to dziecko będzie bezpieczne”.

Z tych rozmyślań wyrwał go donośny głos komisarza Ernsta Viertha:

– ... wszystkie punkty loteryjne i bukmacherskie, o których wiedzieliśmy. Teraz przyciskamy naszych informatorów, by rozejrzeli się za jakimiś świeżo powstałymi. Nowy bukmacher, który dopiero co otworzył interes w mieście, może być prostodusznym chłopkiem roztropkiem i nie widzieć drugiego dna w oczywistych na pozór zakładach...

– A co z rewirowym Zuckerem? Rozpoznał głos człowieka, który doniósł o oszustwie w walce?

– Nie – odparł Vierth krótko.

„Muszę porozmawiać z Hertą”. Głowa Mocka aż pęczniała od gorączkowych myśli. „Czy ona kiedyś spotkała Schliepsa? Wszak Borsuk zna jej szefową! Może ona wynajęła mu dziewczynę do walki? Bo, że walczyła, to prawie pewne! Skąd ma takie sińce na ciele? No właśnie – pannę Berger też muszę wziąć w obroty!”

– A co z sędzią ringowym? – Mühlhaus postukał kredą w tablicę. – Proszę! Który z panów?

Richard Eckmann, elegant około pięćdziesiątki, poprawił się przy stole.

– Sędzia nazwiskiem Heinz Kruhm – powiedział. – Pochodzi z Hamburga, związany z tamtejszym Bractwem Pierścieniowców. Aresztowany tam za nielegalne zakłady i sutenerstwo. Po walce Behringer *contra* Mittag zniknął. Szukamy go. Czekamy na informację od kolegów z Hamburga. Tyle.

Eberhard otworzył notes i zaczął wszystkie swoje planowane działania zapisywać w punktach.

– Nie za wiele tego – rzekł z irytacją inspektor. – Mock? Smolorz? A panowie co mają do powiedzenia?

Eberhard szturchnął lekko Smolorza, aby to on zabrał głos.

– Moje zadanie: przyprowadzić Mocka. Zadanie wykonane. Jakie dalsze rozkazy?

Mühlhaus spojrział na zalegające na półkach w kurzu teczki starych spraw, jakby chciał je wziąć na świadków, którzy mogliby potwierdzić, z jakimiż to głupimi i nieudolnymi ludźmi przyszło mu pracować.

Zgniółł kredę i piorunował wzrokiem obu policjantów z obyczajówki. Szybko się jednak uspokoił. Rudowłosy miał rację. Mühlhaus otrzepał dłonie z kredowego pyłu i przyglądał się swoim ludziom. Uważnie i w zupełnej ciszy przenosił wzrok z jednego na drugiego.

– Od tego momentu przechodzimy na indywidualny tryb śledztwa... – rzekł wolno. – To nasza ostatnia wspólna odprawa, panowie. Od teraz będę się z wami spotykał pojedynczo. Mieszkanie na Ohlauufer[89] czeka na zwycięzcę! Czy ktoś chce odprawy indywidualnej już teraz?

– Ja. – Eberhard podniósł rękę.

– Mock zostaje – rzekł Mühlhaus. – Reszta wychodzi!

Postukał fajką w tablicę, wysypując popiół do rynienki na kredę.

W oczach policjantów spoglądających na Eberharda – Kurt Smolorz był tu wyjątkiem – nie było przyjaznych uczuć.

Wielbiciel konkurencji, Reinhold von Schwast, czułby się w siódmym niebie.

- [79] *Verklärte Nacht* (niem.).
- [80] Obecnie ul. Igielna.
- [81] Obecnie ul. Nożownicza.
- [82] Ringvereine (niem.).
- [83] Obecnie ul. Bujwida oraz Mikulicza-Radeckiego.
- [84] Zob. M. Krajewski, *Mock*.
- [85] Zob. M. Krajewski, *Mock. Ludzkie zoo*.
- [86] Obecnie ul. Skłodowskiej-Curie.
- [87] Obecnie ul. Nauczycielska.
- [88] Obecnie ul. Szewska.
- [89] Obecnie Wybrzeże Słowackiego.

VII

Rekonstrukcja zdarzeń

EBERHARD MOCK OTWORZYŁ OKNO, by wpuścić trochę świeżego powietrza. Z dziedzińca prezydium policji doszły zwykle dla tego miejsca odgłosy: rozmowa strażników więziennych zwielokrotniona przez akustykę studni podwórka, szczęknięcie po bruku okutych kół wózka do akt, parskanie koni pociągowych zaprzęzonych do furgonów z kapustą i kartoflami dla aresztantów.

Mock odwrócił się, czując się tak, jakby pełne napięcia spojrzenie Mühlhausa wypalało mu w plecach znak zapytania.

– Herta Rossenbach jest prostytutką, matką niespełna rocznej dziewczynki...

Mühlhaus nie przerywał. Wysłuchał cierpliwie relacji o napastniku, który czekał na kobietę w piwnicy z pończochą wypełnioną piaskiem. O porwaniu jej samej i małej Bettiny, o pobiciu i amnezji, które były skutkiem tych nagłych, strasznych zdarzeń. O bardzo niewielu informacjach, jakie przekazała kobieta, wciąż krzycząca w rozpacz: „Znajdź moje dziecko!”.

Kiedy Mock przerwał dla zaczerpnięcia tchu, inspektor wszedł mu w słowo.

– To naprawdę smutna historia. Samotna matka, choćby nie wiem jak podłej konduity, to przecież matka. Kocha swoje dziecko. A teraz zgnębiona, zrozpaczona... Porwane maleństwo... Straszne to wszystko. – Spojrzał z niechęcią na tymczasowego podwładnego. – Jakkolwiek by było, Mock, to wciąż nie wiem, co ta sprawa ma wspólnego ze śmiercią Mittaga. Chyba tylko tyle, że pana od niej odciąga!

„Coś ty taki niecierpliwy?” – pomyślał Eberhard i zaraz wyjaśnił sobie w duchu, że Mühlhaus z pewnością jest poddany potężnej presji ze strony tajemniczego możnego pana, który za wyjaśnienie śmierci boksera lekką ręką oferuje luksusowy apartament w najlepszym punkcie miasta.

– Herta Rossenbach, ciężko pobita i całkiem obnażona, lecz nie zgwałcona, co ustalił doktor Lasarius... Otóż dotarła ona jakoś do swojego lokum. Jest bardzo sprawna fizycznie i silna.

Mock widział coraz większe zniecierpliwienie Mühlhausa. I nawet go to osobliwie bawiło. Wiadomość o sztandarze zostawił na sam koniec jak wisienkę na torcie. I przedstawił ją teraz.

Ku swojemu rozczarowaniu zauważył, że informacja o kobiecie, która – bestialsko pobita i zawleczona do jakiegoś budynku kojarzącego się z kościołem – gdzieś w ciemnościach znalazła chorągiew klubu bokserkiego i owinęła nią swoją nagość, a później ten sztandar zostawiła na furgonie z mlekiem, nie zrobiła wrażenia na szefie policji kryminalnej. Ten słuchał Mocka nieuważnie. Stukał paznokciami po stole, wyglądał przez okno.

Widząc to, asystent policyjny powiedział coś, co natychmiast przywróciło koncentrację szefowi grupy śledczej.

– Poleciał nam pan inspektor znaleźć coś na Eugena Schliepsa. I ja chyba to „coś” mam.

Po czym przedstawił swoją hipotezę, w której główną rolę odgrywał wspomniany filantrop i tajne nocne kobiece walki, być może kończące się orgiami. Nie wspominał natomiast nic o przypuszczalnej nekrofilii Schliepsa. Tę informację – jako imadło – chciał zachować tylko dla siebie.

Szef policji kryminalnej słuchał bardzo uważnie i nie przerywał. Kiedy Mock skończył, Mühlhaus zamknął oczy i pykał fajkę. Wydawać by się mogło, że jego jedynym zmartwieniem jest teraz to, aby tytoń dobrze się rozżarzył w jej główce. Nagle otworzył oczy i spojrzał bystro na swego podwładnego.

– Idźcie tą drogą, Mock – rzekł. – Damski boks to wprawdzie rzecz normalna i legalna, ale pojedynki półnagich kobiet podpadają pod paragrafy obyczajowe. I tutaj możemy mieć na niego haka. Jeśli ta Herta Rossenbach brała udział w nocnych walkach i jeśli w końcu odmówiła, bo karmi dziecko albo może chce wyjść ze swego upadku... A Schlieps chciał ją zmusić do dalszych występów,

taak... Lecz ona uparcie się wzbraniała. To wtedy Borsuk wpadł w furję, wiem, że bywa nieprzewidywalny i okrutny... Taak... Wpadł w furję i ją zabił, a tak mu się przynajmniej zdawało... Kiedy zaś się dowiedział, że kobieta żyje, to się opamiętał i nie oddał jej dziecka, aby mieć ją w garści... Bo jest mu potrzebna taka bokserka, sprawna i silna. Taak... To brzmi sensownie. Jeśli okaże się prawdą, to mamy Borsuka w garści. – Pogroził palcem Eberhardowi. – Działa pan zbyt impulsywnie, Mock. Należało przyjąć zaproszenie na dzisiejszą nocną walkę. Teraz już jest za późno. Nie odzyska pan zaufania Borsuka!

Wyjął z teczki leżącej na biurku zdjęcie Schliepsa i przesunął je w stronę rozmówcy.

– Przynajmniej pokażcie to temu bileterowi z kina Kronprinz! Może go rozpozna?

Nagle na ustach Mühlhausa pojawił się dziwny szelmowski uśmiezek.

– A skąd pan w ogóle wie, że ta Herta nadawałaby się do boksowania? Że jest silna i sprawna fizycznie?

Mock spuścił oczy.

– No tak. – Mühlhaus parsknął przez chwilę jak koń. – W końcu pracuje pan w obyczajówce. Obaj jednak wiemy, że pańskie wiadomości o Hercie Rossenbach pochodzą z głębszych, że tak powiem, źródeł... Pańska reputacja kroczy przed panem, Mock. Tak jak pycha przed upadkiem.

Zapadło milczenie.

– Jakie dalsze działania? – odezwał się w końcu inspektor kryminalny, nieświadomie naśladowując styl wypowiedzi Kurta Smolorza.

– Pójdę do panny Rossenbach i wypytam ją o Schliepsa – odparł Mock. – Niezależnie od tego, czego się od niej dowiem, i tak potem udam się do Borsuka. Postaram się go obłaskawić. Powiem, że dowiedziałem się tego i owego o jego damskich pięściarkach i że... Te wieści wydają mi się ekscytujące... Myślę, że mi uwierzy... Przecież sam pan wie, jaką mam reputację, *Herr Kriminal-Inspektor*... Taki jest oto mój plan.

Miał zamiar zrobić jednak coś całkiem innego. Było to przedsięwzięcie nader mgliste. Gdyby jak najkrócej miał opisać swoje zamiary, powiedziałby tak: „Wykonam pewien bardzo ryzykowny ruch, który – jeśli nie przyniesie efektu – to na pewno spowoduje furię prezydenta policji Lewalda. A potem dymisję. Moją, a być może pańską”.

Mühlhaus przyglądał mu się podejrzliwie, jakby wietrzył podstęp.

– No dobrze, Mock, idźcie tą drogą – powtórzył swoją formułę i uniósł rękę, jakby udzielał mu błogosławieństwa.

Eberhard potarł palcem podbródek. Była to czynność automatyczna, wszak niedawno się golił.

– Coś mnie niepokoi... Jak to możliwe, że nasz Borsuk tak się wzbogacił w ciągu trzech lat? – zapytał. – Jeszcze w roku piętnastym kroił trupy u Lasariusza, a cztery lata później jest już człowiekiem goszczonym na salonach, wielkim filantropem pomagającym więźniom, propagatorem zdrowia i sportu, ustosunkowanym obywatelem, którego słowo wiele znaczy i w kręgach kościelnych, i filmowych, a nawet komunistycznych...

– Widzę, że pan nie słuchał Amelunga, kiedy ten na odprawie referował, co wie o Eugenie Schliepsie... – odparł cierpko Mühlhaus.

– *Mea culpa!* – Mock pochylił głowę i uderzył się w pierś.

– Darujcie sobie to kiepskie aktorstwo. – Mimo wszystko inspektor się uśmiechnął. – W roku piętnastym Schlieps został zmobilizowany. Trafił na front wschodni. I tam w opuszczonym i splądrowanym przez Rosjan pałacu pewnego polskiego latyfandystry znalazł skarb. Tak brzmi wersja oficjalna. – Westchnął. – Pałac wcale nie był opuszczony ani splądrowany. Ogołocił go sam Schlieps z kamratami, zabijając przy tym owego arystokratę i jego rodzinę. Potem owi kompani dziwnym trafem wszyscy zginęli na froncie. Tak mówią plotki. Mało komu znane... Ja je usłyszałem od pewnego kolegi z łoży Horus. Nie trzymajmy się, Mock, tych plotek, niech nam wystarczy, że to człowiek wielce zamożny, który do swego majątku doszedł w sposób niejasny. Jak wielu nababów tego świata.

„Bogacz, wielki bogacz – pomyślał Mock. – No bo kto by w trudnych dzisiejszych czasach kupował pralnię parową?”

Przypomniał sobie wczorajszą scenę z sali gimnastycznej. Oto kładzie na biurku zwinięty sztandar. Ruch powietrza porywa kartkę, która ląduje na parkiecie. On ją podnosi i podaje Schliepsowi. A wcześniej zapamiętuje wypisane na niej krótkie przypomnienie:

W środę o 6 ostatnie negocjacje w sprawie zakupu pralni parowej przy Schönstrasse[90].

Inspektor nagle wstał i zaczął krążyć po sali odpraw jak rozdrażniony lew. Od okna do tablicy, od tablicy do regałów. Znienacka zatrzymał się przed Mockiem i chwycił go za ramiona. Jego twarz wykrzywił grymas złości.

– Fundator nagrody – wysyczał. – Gloryfikator konkurencyjności. Jemu się zdaje, że na tacy mu podacie winnych śmierci jego syna, jeśli wam rzuci ochłap...

– Syna? – Zdumienie rozszerzyło źrenice Mocka.

Mühlhaus usiadł ciężko przy biurku i zaczął ugniatać ubijakiem tytoń w główce fajki.

– W nerwach za dużo panu zdradziłem, Mock. – Zapalił długą zapalną i wypuszczał przez chwilę gęste kłęby dymu. – No trudno...

Milczał przez kilka sekund.

– Nieślubnego syna – westchnął w końcu. – Fundator uzurpuje sobie prawo do bycia moim szefem. On dyktuje warunki działań w sprawie Mittaga. Jeden jego warunek to ta przereklamowana konkurencyjność rodem z teorii Darwina. Aby ją spotęgować, zabronił wam jakiegokolwiek współpracy, jakiegokolwiek wymiany informacji. Ja zbieram je wszystkie i ja koordynuję wasze działania. I ja również...

– Trzasnął ze złością swą wielką dłonią w blat biurka. – I ja również, niech pan sobie wyobrazi... Mam zakaz przekazywania wam wiadomości! Ależ to głupota! Najwyższa głupota! Von Schwast to dureń! – Spojrzał na Mocka bystro. – Durniów nie należy słuchać – ściszył głos. – A ich zakazy trzeba łamać. Przekażę panu teraz

tajną wiadomość, uzyskaną przez grupę Ulbricha, a ściśle mówiąc, przez naszego księgowego doktora Nachstaedta...

Zabębnił palcami o blat.

– Niech pan jednakowoż nie myśli, że jest moim marzeniem, iżby pan się wprowadził do nowego mieszkania z widokiem na Odrę i Oławę! Proszę sobie nie wyobrażać, że pana wyjątkowo lubię i preferuję pańskie działania kosztem poczynań kolegów! Nie! Mam po prostu dość tego śledztwa i chcę, aby jak najszybciej się skończyło. A pan, właśnie pan, zaszedł chyba najdalej... Otóż, niech pan się dowie, Mock, że Schlieps jest cichym współnikiem, a nawet cichym właścicielem, jak to ujął Nachstaedt, dużej firmy z branży...

I szeptem określił tę branżę, a potem podał nazwę przedsiębiorstwa i jego adres.

Mock otworzył usta ze zdumienia.



„Pańska reputacja kroczy przed panem, Mock. Tak jak pycha przed upadkiem”. Eberhard powtarzał sobie w myślach tę sentencję Mühlhauasa, kiedy godzinę później wchodził do biura radcy sierociego Wittiga.

Pierwsze kroki skierował do salki, gdzie leżała panna Rossenbach.

Uchylił drzwi i ujrzał typowy pokój szpitalny. Czysty, o pustych ścianach, z podłogą wyłożoną w szachownicę kafelkami z granitu, zalatujący lekko lizolem. Olejne lamperie sięgały aż dwóch metrów, a zza uchylonego, rozświetlonego słońcem oberluftu dochodziły wesołe okrzyki dzieci bawiących się na podwórku. Drugim elementem spoza szpitalnego świata był kalendarz z wyrywaniem kartkami wiszący na ścianie.

Herta leżała sama, najwyraźniej dwoje osieroconych dzieci wyzdrowiało. A może to one pokrzykiwały na zewnątrz?

Eberhard wszedł i dotknął lekko jej dłoni. Chciał ją obudzić i wypytać o Schliepsa. Kobieta westchnęła przez sen.

Wycofał się na palcach i – zostawiwszy przezornie uchylone drzwi – poszedł do gabinetu Wittiga. Tam przywitał się z gospodarzem. Tych drzwi również nie zamknął. Dzięki temu mógłby usłyszeć jakąś prośbę kobiety, może jej płacz... Był gotów na każde jej wezwanie – gdyby tylko czegoś potrzebowała, będzie o tym wiedział.

Herta Rossenbach udawała, że śpi. Docierało do niej każde słowo, które wypowiadał jej niegdysiejszy kochanek – tak wołała go określać zamiast bezdusznym słowem „klient”.

– Coś już pan wie o ofertach sprzedaży niemowląt? Kontaktował się pan ze swoimi kolegami? – usłyszała głos Eberharda.

W odpowiedzi zapadła cisza.

– Tak myślałem.

Trzasnęła metalicznie zapalniczka. Hercie zachciało się nagle palić.

– Proszę skontaktować się z dyrektorami wszystkich wrocławskich cmentarzy, panie doktorze! Katolickich, ewangelickich i żydowskich. Mają pana informować o każdym pochówku niemowlęcia. Nieważne, czy to będzie dziecko z prawego czy z nieprawego łóża, a nawet podrzutek! Od dzisiaj aż do odwołania prowadzi pan rejestr zmarłych niemowląt. Codziennie wieczorem będę do pana telefonował do domu i słuchał pańskiego raportu z danego dnia, rozumiemy się, doktorze?

Wittig coś odrzekł na tyle cicho, że jego słowa nie doszły do jej uszu.

– On myśli, że moja Bettinka nie żyje – szepnęła Rossenbach. – Już postawił na niej krzyżyk, już nie będzie jej szukał...

I nagle nieoczekiwanie uśmiechnęła się do siebie.

Herta Rossenbach rzeczywiście była silna fizycznie. Mimo utraty krwi i mimo dotkliwego bólu, który wciąż rozsadzał jej pierś, w tym przytulnym szpitaliku powoli dochodziła do siebie.

Po pierwszym przebudzeniu w nowym miejscu ogarnęła ją panika. Ale to uczucie natychmiast minęło, kiedy sięgnęła pod poduszkę. Jej palce dotknęły papierowego świstka i nadeszło ogromne psychiczne pokrzepienie.

„Nikomu ani słowa – przypomniła sobie syczący głos napastnika śmierzącego zgniłymi jabłkami. – A pod poduszką zostawiam ci wiadomość: dokąd i kiedy masz przyjść. Będzie nas dwóch, weźmiemy cię, jakbyś była kurczakiem na rożnie: jeden od przodu, drugi od tyłu. Przygotuj się na ostry tartak. Ani słowa bykom. Jesteś w mojej mocy, ładacznico, bo ja mam twojego bękarta...”

Wyjęła spod poduszki kartkę, którą zabrała ze sobą, kiedy ją przenoszono z jej mieszkanie do tego szpitala. A tam krzepiąca wiadomość od bydlaka, co chciał przedziurawić jej serce. „Mam bękarta” znaczyło „Bettinka żyje”.

„W ostatni piątek kwietnia przyjdiesz do kaplicy cmentarnej na Coselstrasse^[91]” – przeczytała po raz tysięczny. „Masz być gotowa na wszystko. Tylko tak odzyskasz dziecko”.

Spojrzała na kalendarz wiszący na ścianie. Do ostatniego piątku miesiąca brakowało niecałych dwóch tygodni. Wsunęła kartkę do kieszonki koszuli nocnej.

Była gotowa na wszystko. Nawet na śmierć, jeśli to miało ocalić Bettinkę.



Prawie dziesięć godzin po otrzymaniu od Mühlhausa zdumiewającej wieści na temat interesów Schliepsa asystent policyjny Eberhard Mock siedział na swym służbowym rowerze przy Schönstrasse^[92] w odległości niecałych dwustu metrów od skrzyżowania z Neisser Strasse^[93]. Był to dobry punkt obserwacyjny, z którego mógł widzieć dwie działające tutaj *par excellence* pełną parą pralnie parowe. Szły trzy kwadransy na szóstą.

To, że przy tej peryferyjnej ulicy – obok łąków zbóż, działek budowlanych, rzadkich kęp drzew i niedawno wybudowanych tanich robotniczych domów – mieściły się aż dwa zakłady pralnicze, najpierw mocno zakłopotало Mocka. Schlieps nie napisał bowiem w notatce podejrzanej przez policjanta, na temat któregoż to zakładu ma tego dnia negocjować o szóstej – czy interesuje go kupno pralni Neptun opatrzonej numerem 24 czy też Szarotki Alpejskiej, która mieściła się na posesji numer 13? Jeśli Mock czekałby na niego przed jedną, a tymczasem

on prowadziłby rozmowy w drugiej, to łatwo mógł przeoczyć jego przyjście i wyjście, a to mocno komplikowałoby cały plan.

Na szczęście oba zakłady były usadowione prawie naprzeciwko siebie. Dzięki temu i Mock, i dwaj jego ludzie stojący z kuflami piwa przy pobliskiej gospodzie Glemnitz opatrzonej numerem 17 nie mogli przeoczyć Eugena Schliepsa, gdy będzie wchodził czy wychodził z pralni. To była bardzo ważna część planu.

Heinrich Cornelius Wirth i Georg Zupitza byli przestępcami, którzy zawarli niedawno z Mockiem nieoficjalny pakt o nieagresji oraz o współpracy, obligujący ich do udzielania pomocy w trudnych i delikatnych sytuacjach, jakich w pracy policyjnej nie brakowało. Pierwszy z nich, niewysoki, szczupły, krzykliwie elegancki, nazywany Łasicą z powodu wąskiej drobnej twarzy, zarządzał różnymi nielegalnymi interesami, drugi zaś – potężny niemowa – chronił twardymi pięściami i bicepsami i swego pryncypała, i owe przedsięwzięcia.

Mock dostrzegł kiedyś przypadkiem tych dwóch przemytników, poszukiwanych przez policję całej Europy, w pewnym ekskluzywnym burdelu na Kleinburgu^[94]. Najpierw przy pomocy Smolorza boleśnie ich poturbował, a potem – wyrzekłszy się znacznej nagrody – zawarł z nimi bardzo ryzykowny układ, który po ujawnieniu mógł go doprowadzić wprost do celi Więzienia Centralnego na Kletschkau Strasse^[95].

Najpierw za podarowanie im wolności zainkasował ogromną łapówkę w dolarach, którą podzielił się – nierówno zresztą – ze Smolorzem, a potem ustnie przedstawił im umowę, którą przyjęli po dłuższym wahaniu. On obiecał nie informować nikogo o ich bytności we Wrocławiu i przymykać oko na ich przemytniczą aktywność polegającą na gromadzeniu trefnych towarów i spławianiu ich Odrą; oni zaś mieli mu za to służyć pomocą w sytuacjach, gdy konwencjonalne i legalne działania policyjne były z jakichś względów wykluczone i nieskuteczne; krótko mówiąc: gdy przyciśnięty potrzebami jakiegoś śledztwa Mock musiał zapuścić się na grząski teren bezprawia.

Wirth i Zupitza powoli zagospodarowywali sobie przemytnicze poletko we Wrocławiu. Mieli doświadczenie w wykorzystywaniu dróg wodnych, a dziwnym

trafem w nadodrzańskiej metropolii żadne grube i chude ryby świata przestępczego nie zajęły jeszcze tej działki. Nie musieli się zatem uciekać do przemocy, składowiska przemycanych towarów wynajmowali na ogólnych zasadach handlowych i nie wchodzili w konflikt z Bractwem Pierścieniowców, z którym mieli rozbieżne obszary zainteresowań.

Praca Wirtha polegała na zarządzaniu interesem i na odnawianiu zerwanych przez wojnę kontaktów z przemytnikami Szczecina i Hamburga, Zupitza zaś pilnował, by na poletku wrocławskim nikt nie pchał im się w paradę.

Warunki postawione im przez Mocka, czyli żądanie od nich pomocy w sytuacjach delikatnych, budziły u Wirtha pewien niepokój. Wzrósł on jeszcze bardziej, gdy otrzymali to oto zadanie – drugie w historii ich współpracy – na podmiejskim Dürrgoy[96].

Zadarcie z ważnym człowiekiem spośród Pierścieniowców było obarczone wielkim ryzykiem i stawiało pod znakiem zapytania ich wrocławską przyszłość. Swemu dobroczyńcy nie mogli jednak odmówić. *Pacta sunt servanda*[97].

Najważniejszą częścią ich zadania było dzisiaj zidentyfikowanie „obiektu”, śledzenie go i zaplanowanie dalszych wobec niego poczynań. Stali zatem pod gospodą obok innych amatorów piwa i nie spuszczała oczu z Mocka, który miał im tutaj wskazać właściwego człowieka.

Czas gonił Eberharda. Wiedząc o negocjacjach w sprawie kupna pralni o godzinie szóstej, postanowił nie zwlekać. Jego plan był następujący: porozmawiać z Borsukiem, rozdrażnić go, a następnie sprawę oddać w ręce Łasicy i „niemowy”. Ci mieli go odpowiednio potraktować w najbliższym stosownym momencie.

Krótko przed szóstą policjant ujrzał skręcający ze Steinstrasse[98] automobil Horch, który po chwili, wzbijając kłęby kurzu, zatrzymał się przed pralnią Alpejska Szarotka przy Schönstrasse[99] 13. Wysiadł z niego Eugen Schlieps. Zamknął drzwiczki i ruszył w stronę pralni. Był sam, nie towarzyszył mu żaden goryl.

To zmieniało, a właściwie bardzo przyśpieszało działania Mocka *et consortes*.

Prowadząc rower, podszedł szybko do Borsuka i zawołał wesoło:

– Dobry wieczór, panie Schlieps!

Kątem oka ujrzał, jak Wirth i Zupitza podnoszą oczy znad kufli. Uchylił kapelusza, przy czym uczynił to tak niezręcznie, iż ten spadł mu z głowy i potoczył się w kurz niebrukowanej ulicy.

To był znak: brać się za niego dzisiaj!

Jeśli szef klubu boksterskiego był zdziwiony widokiem policjanta, to nie dał tego po sobie poznać. Mock postanowił od razu mu wyjaśnić, jak doszło do tego niecodziennego spotkania na przedmieściu.

– Znam kilku ludzi w naszej metropolii, znam! – krzyknął chełpliwie Eberhard. – I dowiedziałem się, gdzie pana znaleźć dzisiaj po południu.

– Dobry wieczór – odpowiedział Schlieps i natychmiast się odwzajemnił. – I ja też znam kilku. A oni mi powiedzieli, że może pan zmienić zdanie i przyjść dzisiaj do mojej sali na ekscytującą walkę nagich kobiet...

Wziął Mocka pod rękę.

– A ja tymczasem pokażę panu moją przyszłą pralnię parową. Chodźmy! Bardzo proszę! Ciekaw jestem, co pan o niej sądzi...

Eberhard chciał w pierwszej chwili odepchnąć możliwego porywacza małej Bettiny, ale się pohamował.

„Być może warto poznać ową pralnię? – pomyślał. – Może tam będą lepsze warunki na przeprowadzenie akcji Wirtha i Zupitzy?”

Stłumił zatem niechęć i pozwolił się poprowadzić za ramię. Weszli przez bramę ozdobioną wielkim szyldem „Edelweiss”. Patrząc na niego, pochwalił w myślach inwencję nazewniczą. Piękny biały kwiat porastający alpejskie murawy rzeczywiście mógł się kojarzyć z czystością i z nieskazitelną bielą.

W firmie właśnie kończono pracę, gdy wchodzili do podłużnej hali zbudowanej z czerwonej cegły. W ostrych promieniach zachodzącego słońca przenikających przez wielkie prostokątne okna widać było kotły parowe i odchodzące od nich pasy

klinowe. Dwukołowe wózki opróżniano z mokrych prześcieradeł, a wielkie umywalki spłukiwano wodą.

Schlieps nie puszczał ramienia Mocka i popisywał się swoją wiedzą na temat procesów chemicznych wybielających pranie. Eberhard słuchał tych wywodów jednym uchem i czekał, aż znajdą się w lepszych warunkach do przypuszczenia zaplanowanego szturmu.

Znalazł je w prasowni, gdzie kobiety porządkowały swe warsztaty pracy, czyli czyściły miotełkami długie prasownice i lnianymi szmatkami osuszały żelazka.

Mock uwolnił się od ręki Schliepsa i przystanął gwałtownie.

– Mówi pan „walki nagich kobiet”... – rzekł w zamyśleniu. – A może któraś z nich umrze na ringu tak jak Mittag, co? Potem zaś trafi do kostnicy, dokąd w nocy przyjdzie jakiś zboczeniec i bezkarnie się wbije w jej martwe ciało. Jakiś dewiant, onanista, tyle że zamiast ręki użyje zimnej pochwy...

Szefowi klubu bokserskiego zaczęła drgać broda. Twarz nabrzmiała, a „borsucze” włosy jakby się lekko nastroszyły. Odsunął się od Mocka i popatrzył mu w oczy. Milczał. Była to cisza przed eksplozją.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi... – wyszeptał.

– Wypłynęły nowe dane, panie Schlieps...

Mock sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej kartkę, którą dzisiaj rano Knorr zostawił mu na biurku po powrocie z Nowego Archiwum Państwowego. Widniało na niej nazwisko i miejsce pochówku.

– Taak... Nowe informacje... Emma Riegel. Mówi coś panu to nazwisko?

– Nie – odparł Schlieps.

W jego głosie zabrzmiała pewność. Nie sposób było wątpić w szczerść tej odpowiedzi. Mock wcale nie wątpił.

– Jak się wcale nie dziwię, że pan nie przypomina sobie jej nazwiska – powiedział z uśmiechem. – Ja też, wie pan, kiedy już dobrze sobie poobcuję... To wcale nie pamiętam imienia dziewczyny, z którą dokazywałem...

Schlieps nie zareagował na tę sugestię. Prasowaczki z ciekawością popatrywały na dwóch mężczyzn, z których jeden – nieco niższy i dobrze zbudowany – uśmiechał się krzywo, a drugi – wyższy i grubszy – stał skamieniały jak słup soli.

– Tylko że ja zawsze mogłem dowiedzieć się, jak moja jedna czy druga bachantka ma na imię – ciągnął Mock. – A pan? Przecież po chędożeniu nie mógł pan zapytać: „Jak ci na imię?”, bo wykorzystany trup nic by panu nie odpowiedział...

Schlieps chwycił nagle policjanta za klapy marynarki i przyciągnął ku sobie. Był silny. Bardzo silny.

– Jaką masz czelność, ty kanalio! – warknął. – Może ty sam swojego kutasa nie szanujesz, bo w każdą dziurę go wtykasz... Ale mojego to ja na śmietniku nie znalazłem!

Mock wyrwał się z jego uchwytu i otrzepał ręce. Nadal się uśmiechał.

– Emma Riegel, lat osiemnaście, prostytutka. Dymałeś ją w prosektorium na stole i Lasarius wywalił cię za to na zbity pysk.

Borsuk uniósł ku swoim policzkom zaciśnięte pięści, jakby stawiał gardę.

– Blefujesz, ty pijaku – syknął. – Ktoś ci naopowiadał plotek i robisz z nich broń przeciwko mnie... Ale ja ci ją wytrączę z tej parszywej ręki!

– Aby się przekonać, że blefuję, musisz powiedzieć „sprawdzam”. Na przykład poskarżyć się na mnie moim zwierzchnikom. A wtedy oni wezmą cię pod lupę i porozmawiają sobie z twoim niegdysiejszym szefem Lasariusem. Już im podsunąłem ten trop – teraz blefowałem naprawdę. – Możesz mnie też zabić. Wystarczy ci odwagi, trupojebco?



Dziesięć godzin wcześniej Mock siedział w sali odpraw w prezydium policji przy Schuhbrücke[100] 49. Mühlhaus bębnił palcami po blacie biurka i mówił:

– Otóż, niech pan się dowie, Mock, że Schlieps jest cichym współnikiem, a nawet cichym właścicielem, jak to ujął Nachstaedt, dużej firmy z branży... –

I wyszeptał teraz: – Z branży, że tak powiem, ostatniego namaszczenia. To wielka firma Posłaniec Boga. Jej właścicielem jest niejaki Woldemar Andersch, ale Nachstaedt odkrył, że to tylko figurant, a *de facto* firmą zawiaduje Eugen Schlieps. Jej siedziba mieści się w budynku administracyjnym cmentarza komunalnego przy Coselstrasse[101].

Mock otworzył usta ze zdumienia.

– Wszystko jasne, *Herr Kriminal-Inspektor*... – wyszeptał.

– Słucham? – rzekł Mühlhaus. – No słucham! Dla mnie w tej sprawie niewiele jest jasnych punktów.

Mock zaciągnął się głęboko papierosem.

– Trop Herty prowadzi na cmentarz... A Schlieps jest przedsiębiorcą pogrzebo...

– Jaki cmentarz? – przerwał mu szef. – Przecież ona mówiła, że widziała kościół i staw. Nawet prosił pan Knoffa, żeby sprawdził, gdzie we Wrocławiu są stawy w bezpośrednim sąsiedztwie jakiejś świątyni...

Mock zapamiętał sobie nielojalność młodego policjanta, którego nieoficjalnie poprosił o sprawdzenie kościelno-stawowej lokalizacji.

– Było to tak... – rozparł się wygodnie na krześle. – Oto moja rekonstrukcja zdarzeń. Herta Rossenbach i jej córeczka Bettina zostały porwane i dokądś zawiezione. Pannę Rossenbach dodatkowo pobito i potraktowano sztyletem, lecz przeżyła dzięki swojej osobliwej budowie anatomicznej. Obudziła się... I tu przechodzimy na grunt bardzo prawdopodobnej hipotezy... Ocknęła się w nocy w kaplicy cmentarnej, a może w kostnicy? Nieważne, przekonam się, gdy pojedę na Cosel[102]. Wysoki sufit pomieszczenia wzięła za sufit kościelny. Kościół i kaplica cmentarna to podobne budynki, nieprawdaż? Na ogół różnią się tylko wielkością. Wstała i szła jak błędna w ciemnościach. Nagle natrafiła ręką na... Ona powiedziała: „feretryny”... Ale ja powiem „chorągiew klubu bokserkiego”...

– No tak – przerwał mu inspektor. – Może miał być pochowany jakiś bokser, prominentny członek Bractwa Pierścieniowców. A ich pogrzebom często

towarzyszą konduktę z chorągwiemi.

– Oczywiście! – powiedział Mock z naciskiem. – Teraz przechodzimy na grunt realny. Właścicielem każdej kaplicy na cmentarzu komunalnym jest oczywiście nasz magistrat, ale Schlieps, jako szef Posłańca Boga być może dzierżawi kaplicę na Cosel^[103] i może tam trzymać chorągwie, trąby, nosze, trumny *et cetera*. I moja nieszczęsna Herta...

Mock w ferworze rekonstrukcji użył zaimka „moja”, co nie uszło uwadze rozmówcy.

– Wyszła z kaplicy i zobaczyła...

– Gwiazdy odbijające się w stawie, Mock. – W głosie Mühlhausa zabrzmiała zgryźliwość. – A tam, na Cosel, nie ma żadnego stawu!

– Znicze – odparł Eberhard. – Za gwiazdy odbijające się w wodzie wzięła znicze palące się na cmentarzu! Nie zapominajmy, że była zamroczona, pobita i odurzona chloroformem... Nie kojarzyła właściwie. Powiedziała, że biegła wzdłuż jakiegoś muru... A to był mur cmentarny! Stała tam fura z mlekiem i Herta weszła pod jej plandekę. Twierdzi, że furman był pijany i zabawiał się z jakąś kobietą, która po odkryciu Herty, pasażerki na gapę, dodatkowo ją pobiła...

Wypuścił powietrze z sykiem.

– A teraz zeznanie wozimleczarza Wilfrieda Recka. Upił się do nieprzytomności na urodzinach kumpla w podłej knajpie koło dworca Przedmieście Mikołajskie^[104]. Twierdzi, że mógł mieć kontakt seksualny z jakąś kobietą. Z Pöppelwitz^[105] do Cosel to nie więcej niż kwadrans jazdy wozem. Mógł zatem z jakiegoś powodu w pijanym widzie pojechać na cmentarz, gdzie w nocy na ogół jest pusto, a zatem warunki do pokątnych zbliżeń są idealne. Tam ukradkiem weszła mu pod plandekę naga i ranna Herta Rossenbach. No i co? Układa się wszystko, panie inspektorze?

Mühlhaus pokiwał w zamyśleniu głową. To oznaczało potwierdzenie.

– I tu dochodzimy do momentu, gdy się zlewają dwa śledztwa – ciągnął Mock we wzburzeniu. – Schlieps jest zamieszany w śmierć Mittaga? To możliwe.

Schlieps organizuje nieprzystojne walki kobiece? To pewne. Czy Herta Rossenbach była uczestniczką tych walk? Założmy. I to założenie będzie imadłem na Schliepsa!

Skłamał. Prawdziwe imadło miał w zanadru. Dostarczył je Knorr.

– Co pan chce zrobić, Mock? – zapytał z niepokojem Mühlhaus. – Jakie imadło?

– Potrzebuję od pana zgody na ekshumację. A o pozostałych szczegółach nie chce pan wiedzieć, zapewniam, panie inspektorze – odparł Eberhard.

– Nie chcę – potwierdził Mühlhaus.

Mock pokiwał głową.

– To, z czym pan nie chce mieć nic wspólnego, wydarzy się dzisiaj około szóstej, siódmej...



I rzeczywiście, to zdarzenie nastąpiło, gdy szły trzy kwadransy na siódmą wieczór.

Eugen Schlieps wyszedł wściekły z pralni parowej Szarotka Alpejska. Najpierw humor mu zepsuł ten cholerny Mock, a później niejaki Hans Schechter, adwokat i plenipotent właściciela pralni, który kupującemu przedstawił warunki sprzedaży bardzo trudne do zaakceptowania.

Schlieps był rozgniewany i rozgoryczony. W takim stanie ducha wszystko go drażniło: to brzydkie przedmieście o piaszczystej drodze, której kurz aż drapał w gardle. Ten ciągnący się wzdłuż ulicy toporny, długi, nowo postawiony dom o prostych oknach, gdzie w klitkach gnieździły się robotnicze rodziny. Drażnili go nawet ludzie, którzy pili piwo w gospodzie U Glemnitz.

Zwłaszcza dwaj – jeden mały, drugi duży – którzy teraz chwiejnym krokiem i ze śpiewem na ustach szli w jego kierunku.

Wszystko to budziło jego irytację, bo nagle wrócił koszmar z niedawnych lat, gdy pracował u tego nadętego trupiego konowała Lasarius.

Schlieps nie wiedział, czy Mock blefuje, czy też rzeczywiście puścił w ruch całą maszynę, która może zagrażać potężnymi konsekwencjami. Czy wprowadził

Mühlhausa i Lewalda w tamtą dawną wstydliwą historię?

Jakkolwiek było, to oczywiście on, Schlieps, tę maszynę zatrzyma. Nie ma trudnego przeciwnika. To tylko przepity gliniarz, weteran wenerycznych zmaganiań. Wystarczy go przeświecić. Wystarczy postraszyć – na przykład porywając jego ojca.

– To jest nikt – powiedział sam do siebie, gdy wsiadał do samochodu. – Łatwo go zdeptać jak karalucha na środku pokoju.

Kiedy zapuszczał silnik, nagle otworzyły się drzwi od strony pasażera i stanął w nich niewysoki, drobny człowiek, jeden z dwóch pijaków zmierzających przed chwilą w jego kierunku. Uśmiechał się słodko.

– Won, moczymordo! – krzyknął do niego Schlieps. – Zamykaj, bo ci gnaty porachuję!

Wtedy otworzyły się drzwiczki z lewej strony. Uderzenie, które trafiło go w skroń, było potężne, ale Schlieps był odpornym na ciosy byłym bokserem.

Zabolało bardzo, ale nie zamoczyło. Walnął na oślep lewym łokciem. Mierzył w szyję wielkiego chłopca, który go zaatakował od strony siedzenia kierowcy.

Nie wiedział, w co trafił. Było to coś twardego. Przez łokieć przeszedł mu prąd, który go prawie sparaliżował.

Miał teraz wrażenie, że kawał żelaza trafia go w oczodół. Twarz zaczęła mu natychmiast puchnąć. Zdrowym okiem widział, że obok niego siada ów mały „moczymorda”, który teraz wyglądał na całkiem trzeźwego.

To on wymierzył mu kolejny cios. Również żelazem. I również bardzo bolesny. Jakby rozdzierający. Schlieps potrząsnął głową na boki. Jak pies, który otrzepuje się z wody, tak i on teraz rozpylił wokół siebie mgiełkę krwi.

Wszystko było jasne. Bili go kastetami.

Wiedział, że nie podoła napastnikom. Nie miał swobody ruchu w ciasnym aucie, blokowała go kierownica.

Żelazo wbijało się w mózg, miażdżyło mięśnie, odbierało oddech.

Po chwili wszystko się uspokoiło. Jedynym śladem po napastnikach był pył unoszący się z podmiejskiej Schönstrasse^[106].

Schlieps kiwał się w prawo i w lewo, a z jego gęstej czarnej czupryny, przeciętej siwym pasem, kapłała krew.

To, że nie ma na palcu lewej ręki sygnetu, zauważył dopiero po kilku długich bolesnych minutach. Czegoś innego jeszcze go pozbawiono. Zacisnął wargi i poczuł, że w jego ustach brakuje sztucznej szczęki.



Komisarz policji Paul Lorke, szef rewiru XVII, mieszkał zgodnie z pruskim urzędniczym zwyczajem w instytucji, której szefował. Zajmował wraz z rodziną mieszkanie na drugim piętrze przy Herdainstrasse^[107] 41. Tutaj nie dochodziły już okrzyki pijaków ani uliczników umieszczanych w piwnicznych celach aresztu.

Tego wieczoru nie docierały też gniewne okrzyki jakiegoś grubego i wysokiego pana, którego można by nazwać eleganckim, gdyby nie był cały brudny od krwi. Ów mężczyzna krzyczał już to z bólu – wstępne oględziny potwierdziły, iż ma pogruchotany policzek – już to z gniewu na nieudolność policji.

Po godzinie awanturowania się i po złożeniu oficjalnej skargi wsiadł do równie zakrwawionego jak on sam automobilu i tym środkiem lokomocji opuścił komisariat.

Wachmistrz Felix Lorenz, zgodnie z wytycznymi otrzymanymi dziś od szefa, udał się do mieszkania Lorkego z pisemnym, ręcznie sporządzonym zawiadomieniem o napaści, jakiej dopuszczono się przy Schönstrasse na niejakiego Eugena Schliepsa.

Komisarz policji przeczytał protokół i pokiwał ze smutkiem głową.

– Znów Dürrgoy^[108] i znów bijatyka u tego Glemnitz – westchnął. – Kiedyś mu zamkniemy tę budę.

Podarł dokument i wrzucił go do kosza na śmieci.

– Nigdy u nas nie było żadnego Eugena Schliepsa. Rozumiecie, Lorenz?

– *Jawohl, Herr Polizei-Kommissar!* – zasalutował posterunkowy. – Zgodnie z rozkazem.



Erhard Sonderhaus pracował jako nocny stróż pilnujący spokoju zmarłych spoczywających na cmentarzu komunalnym przy Coselstrasse^[109]. Jego obowiązki nie były zbyt absorbujące. Nocną porą urzędował w stróżówce stojącej obok kostnicy i kaplicy cmentarnej. O pełnych godzinach dzwonił stojący na blaszanym parapecie potężny budzik i Sonderhaus, wyrwany z płytkiego snu, udawał się na obchód nekropolii.

Tego wieczoru około godziny dziesiątej wyszedł ze swej stróżówki i uzbrojony w tęgi kij, ruszył na obchód.

Tuż za kaplicą mięśnie twarzy mu stężały, a kij zadrżał w dłoni. Przy dużym grobowcu stało dwóch mężczyzn. Jeden z nich był muskularny, wysoki i ubrany niezbyt wytwornie; drugi był całkowitym przeciwieństwem pierwszego.

Sonderhaus poznał ich. Dzisiaj rano złożyli mu wizytę w domu i wyrwali go ze snu. Ich propozycja była nader hojna.

Niski elegant podszedł do stróża i otworzył dłoń. Leżała na niej sztuczna szczeka oraz złoty sygnet z wielkim diamentem.

– Tylko nie skuś się na niego! – Uśmiechnął się krzywo niski mężczyzna. – Zwłaszcza że są na nim twoje inicjały. W przeciwnym razie... No! Co z nim zrobimy, Zupitza?

Olbrzym wydał dwa nieartykułowane dźwięki i pociągnął po grdyce paluchem.

Erhard Sonderhaus nie miał najmniejszych wątpliwości, iż drab urzeczywistni to, co pokazał.

[90] Obecnie ul. Piękna.

[91] Obecnie ul. Kozanowska i częściowo ul. Pałucka. Dawny cmentarz komunalny już nie istnieje, na jego terenie znajduje się obecnie park Zachodni.

[92] Obecnie ul. Piękna.

[93] Obecnie ul. Nyska.

[94] Obecnie osiedle Borek.

[95] Obecnie ul. Kleczkowska.

[96] Obecnie osiedle Tarnogaj.

[97] Umów należy dotrzymać (łac.).

[98] Obecnie ul. Kamienna.

[99] Obecnie ul. Piękna.

[100] Obecnie ul. Szewska.

[101] Obecnie ul. Kozanowska i częściowo ul. Pałucka. Dawny cmentarz komunalny już nie istnieje, na jego terenie znajduje się obecnie park Zachodni.

[102] Obecnie osiedle Kozanów.

[103] Obecnie osiedle Kozanów.

[104] Obecnie dworzec Wrocław-Mikołajów.

[105] Obecnie osiedle Popowice.

[106] Obecnie ul. Piękna.

[107] Obecnie ul. Gajowa.

[108] Obecnie osiedle Tarnogaj.

[109] Obecnie ul. Kozanowska i częściowo ul. Pałucka. Dawny cmentarz komunalny już nie istnieje, na jego terenie znajduje się obecnie park Zachodni.

VIII

Ohydnice cmentarne

DOBIEGAŁ KOŃCA WIELKI TYDZIEŃ i Wrocław szykował się do Świąt Wielkanocnych.

W witrynach kawiarni i sklepów ustawiano czekoladowe lub cukrowe zające i baranki. Wielkie plakaty namawiały na świąteczną wizytę w Teatrze Miejskim, gdzie w Wielki Poniedziałek miała się odbyć premiera operetki *Zemsta nietoperza*.

Fontanny miejskie ozdobione były – zgodnie ze zwyczajem, który przyszedł tu ze Szwajcarii Frankońskiej – wieńcami z przyczepionymi licznymi kolorowo pomalowanymi wydmuszkami. Przez miasto ciągnęły całe gromady dzieci wymachujących kijkami z paskami bibuły lub z papierowymi kwiatami. Ponieważ w Wielki Czwartek umilkły na znak żałoby dzwony kościołów, ci nieletni wrocławianie – nierzadko nędznie ubrane sieroty – nawoływali teraz przechodniów na wielkopiątkowe nabożeństwo, natrętnie domagając się przy tym upominków albo chociaż kilku fenigów.

Eberhard Mock obdarzył moniakami kilkoro dzieci, nie przyznając się sam przed sobą, że uczynił to nie z chrześcijańskiego miłosierdzia, lecz raczej z obawy, że lepkie od brudu paluszki pozostawią ślad na rękawach jego jasnego płaszcza z wielbłądziej wełny.

Od ponad tygodnia mieszkał znów na osiedlu Klein Tschansch[110]. Stary Willibald Mock słowem nie wspomniał o wydarzeniach podczas walki bokserskiej, nie okazywał też żadnej wobec syna urazy. Otrzymaawszy niemalą sumę, obiecał zająć się wielkanocnymi sprawunkami i słowa dotrzymał.

Eberhard, któremu w tych pierwszych dniach abstynencji doskwierała nieco bezsenność, urządził sobie posłanie na ladzie dawnego sklepu rzeźniczego. Wolał twarde posłanie niż chrapanie ojca. Po kilku godzinach niespokojnego snu zrywał

się, jechał tramwajem do prezydium policji i tam wypełniał swoje obowiązki aż do późnego wieczoru. Oddawał się im i teraz, o zmroku w Wielki Piątek. Tłukł się wraz ze Smolorzem dorożką na cmentarz komunalny w Cosel^[111] i patrzył na tłumy ludzi wychodzących z kościołów po odprawieniu liturgii męki Pańskiej.

Myślał o wypadkach dzisiejszego dnia. Wszystko szło zgodnie z planem. Rano zawiózł Hertę Rossenbach na ów cmentarz, wszedł z nią do kaplicy i kobieta rozpoznała jej sklepienie jako to, które zarejestrował we wspomnieniu jej zamroczony wówczas chloroformem umysł.

Co więcej, w owej kaplicy było dużo sztandarów symbolizujących trzy związki sportowe i męskie kółko śpiewacze Arion. To właśnie jednym z nich – czyli chorągwią klubu bokserskiego Kępa Strzelecka – opasała się Herta, okrywając swą nagość. Całkiem logicznie – zważywszy na sakralny kontekst otoczenia – wzięła ją za feretron.

Eberhard, zadowolony z tego, iż kolejny kamyk uzupełnił dochodzeniową mozaikę, odwiózł Hertę do domu.

Nie mógł się przy tym nadziwić jej dobremu nastrojowi. Kobieta uśmiechała się i omal nie klaskała w ręce. Była pewna, że po świętach Bettinka do niej wróci. Twierdziła ponadto, iż jej rana już się zasklepiła i ból nie promieniuje. Mock jej wcale nie namawiał, aby wróciła do szpitalika Wittiga. Zgodził się z argumentem, że najwyższy czas posprzątać swą zaniedbaną nieco izbę przed radosnym powrotem córeczki.

Kiedy słuchał jej szczebiotania, czuł mrowienie z tyłu głowy – jak zawsze, gdy ogarniał go nieokreślony niepokój. Gdy jej pomagał wysiąść z dorożki na Agnesstrasse^[112], uśmiechnęła się do niego radośnie i powiedziała:

– Poproszę pannę Berger, żeby mi wyszyła zajęczka na ubranku Bettinki. Będzie małej miło w wielkanocnym stroju, nieprawdaż?

Wtedy zrozumiał, co go niepokoi. Obawiał się, że nieszczęsna kobieta postradała zmysły albo jest tego bliska. Była bowiem stuprocentowo pewna, że dziecko zostanie jej zwrócone, i z uporem twierdziła, że wydarzy się to w piątek po

świętach, czyli dwudziestego piątego kwietnia. Kiedy ją wypytywał, skąd wzięła tę datę, uśmiechała się tajemniczo i przykładała do ust smukły palec na znak, iż jest w posiadaniu jakiegoś sekretu.

Mimo wszystko udało mu się odpędzić myśl o obłędzie Herty i na przekór sytuacji był pełen nadziei. Oto pozostał jeszcze jeden, nader niebezpieczny akt tego dramatu, a zmusi Eugena Schliepsa do wyznania, gdzie jest mała Bettina Rossenbach. Był pewien, że Borsuk – jako właściciel firmy pogrzebowej związanej z tym cmentarzem – wyjawি wszelkie informacje mogące doprowadzić do porwania dziecka. Tym bardziej że skonstruowanie imadła na Borsuka było kwestią niedługiego czasu.

Mock nie miał przy tym żadnych obiekcji moralnych przed przymuszeniem Schliepsa do zeznań. Nekrofil nie zasługiwał na żadne względy. Ale żeby to imadło zadziało, potrzebny był właśnie ów ostatni akord tej symfonii, bo tak Mock nazywał wymyśloną przez siebie intrygę. I akord ten – rzeczywiście w postaci dźwiękowej, bo zadzwonił telefon – zabrzmiał kilka godzin po tym, jak Mock odwiózł Hertę do domu.

Około dziewiątej wieczór telefonistka policyjna poinformowała go, że dzwoni jakiś stróż cmentarny, który koniecznie chce rozmawiać z decernatem obyczajowym. Mock kazał natychmiast łączyć.

Przerażony nocny stróż cmentarza komunalnego w Cosel^[113] Erhard Sonderhaus zawołał do słuchawki:

– Gdy żem do pracy przyszedł, to od razu na obchód. I grób pod murem, pochowana jakaś Emma Riegel... Rozkopany, wieko trumny rozbite, nogi zmarłej na boki poszły... To zbezczeszczenie zwłok! To sprawa dla obyczajówki, co nie?

Mock pochwalił decyzję Sonderhaus'a i skinął na nieco zaspanego Smolorza, który w ten wieczór drzemał przy biurku. Senność Kurta natychmiast się ulotniła. Kiwnął głową ze zrozumieniem. Jego szef wprowadził go był w arkana tej misternej intrygi.

Mock szybko sporządził właściwą notatkę. Przed ryzykowną akcją wszystko musiało się zgadzać w papierach.

Jechali teraz dorożką w stronę cmentarza, mijali milczących ludzi zmierzających do domów po nabożeństwach i zastanawiali się, czy dozorca cmentarny zaaranżował wszystko tak, jak mu to polecił Wirth. Po drodze zabrali ze sobą szefa rewiru XXV przy Bärenstrasse^[114] komisarza Friedricha Metza.

– Dodatkowy świadek nie zawadzi – wyjaśnił wcześniej Mock swoją decyzję Smolorzowi.

Cmentarz komunalny przy Coselstrasse^[115] był założeniem powstałym na planie trójkąta prostokątnego, co Eberhard sprawdził był na mapie dzisiaj rano. Na środku jego przeciwprostokątnej ceglany mur jakby się cofał, tworząc mały podjazd. Nad nim wykwitwała niezbyt wysoka, okratowana brama zwieńczona napisem „Wiejski cmentarz Cosel” oraz sentencją „Także cierpienie jest Bożym posłańcem”^[116]. Nad ową maksymą wznosiła się płaskorzeźba wyobrażająca smutnego anioła, zgarbionego i opierającego dłonie na urnie. Identyczne ozdoby i napisy były przy drugim wejściu na cmentarz – od strony Pilsnitzer Strasse^[117].

Mock dowiedział się tym samym, skąd zaczerpnięto nazwę firmy pogrzebowej Posłaniec Boga, której, wedle słów księgowego doktora Nachstaedta, „cichym” szefem był Eugen Schlieps.

Dorożka się zatrzymała. Jej trzech pasażerowie wysiedli. Mock kazał fiakrowi czekać.

Tuż za żelaznymi wrotami stał dozorca ubrany w pognieciony mocno uniform i w czapkę, nad której daszkiem został wybity na blaszce ów smutny, zgarbiony anioł – taki sam jak nad wejściem. Choć Sonderhaus trzymał w ręku zapaloną latarnię, jego twarz ledwo było widać. Zgodnie z umową, zawartą z Wirthem i Zupitzą, powinien wyglądać na przerażonego.

Z całą pewnością natomiast przerażony był mężczyzna, który stał obok niego. Świadczyły o tym lekkie drgawki, jakie wstrząsały jego chudym ciałem. Miał na sobie czarny surdut, czarny krawat i takiż cylinder.

– Johann Reddermann – przedstawił się, zdejmując nakrycie głowy. – Inspektor cmentarny.

Mocka irytowało to napuszone nazewnictwo miejskich urzędników. „Kierownik”, ewentualnie „dyrektor” cmentarza – to najlepiej oddawałoby, jego zdaniem, istotę urzędu sprawowanego przez smutnego pana w czerni.

„Niedługo cieć w magistracie, będzie nosił tytuł inspektora głównego wejścia” – pomyślał zgryźliwie.

– Policja obyczajowa, asystent policyjny Mock – przedstawił się Eberhard i wskazał na swoich towarzyszy. – A to komisarz policji Metz i wachmistrz policji Smolorz. Gdzie to jest?

– Idziemy! – powiedział Reddermann i wskazał dłonią w stronę dochodzącego gdzieś z oddali nikłego poblasku. – Tam, przy grobie, ustawiliśmy latarnie! To kawałek stąd, takie jak ona są chowane w północnym narożniku!

Spojrzał na stróża i warknął:

– No wyżej latarnię, Sonderhaus! Prowadzić panów policjantów!

Poszli alejkami, które ciągnęły się lekkim łukiem na północ. Inspektor cmentarny objaśniał przy tym mijane groby takim tonem, jakby to były wiekopomne zabytki sztuki sepulkralnej. Minęli już miejsca pochówku mieszkańców wsi Cosel^[118] i Pilsnitz^[119] oraz stojące pod murami okazałe grobowce rodziny feldmarszałka Remusa von Woyrscha, właściciela obu posiadłości. Reddermann nie omieszkał przy tym wspomnieć, iż ten – jak się patetycznie wyraził – „bóg wojny” jest opromieniony tryumfem nad rosyjskim generałem Brusilowem.

Kiedy już zostawili za sobą grobowce rodziny germańskiego Marsa, doszli do pustych działek pochówkowych, czekających na swych lokatorów. Jeszcze dalej, w północnym kącie nekropolii na koszt miasta chowano ostatnich obywateli – żebraków, prostytutki i podrzutki. Jeśli miał kto zapłacić, to czasami owe groby zaopatrywano w krzyż i w tabliczkę z nazwiskiem.

„Tak z dala od innych grobów – pomyślał Mock z gorzką ironią – żeby nawet swą pośmiertną obecnością nie kalały porządnych ludzi”.

Właśnie do takiego oddalonego kwartału grobów doszli. Jeden z nich oświetlały cztery latarnie. Kiwały się w podmuchach wiatru, wisząc na metalowych słupkach, na jakich zwykle rozpinano żałobny namiot, gdy w czasie pogrzebu padał deszcz.

Mock spojrział pytająco na najstarszego stopniem komisarza Metza, szefa policyjnego rewiru, do którego oficjalnie przypisany był teren, na którym się znajdowali. Ten kiwnął głową i rzekł:

– Niech pan czyni, co trzeba. Ja jestem tylko świadkiem.

Mock i Smolorz zbliżyli się do grobu, który zamienił się teraz w kupę wilgotnej brunatnej ziemi, a nad nią przekrzywiał się krzyż z tabliczką „Emma Riegel, żyła lat 18”.

Na krawędzi mogiły opierała się wyciągnięta do połowy butwiejąca trumna, zbita z nieoheblowanych desek, pociągniętych niedbale żółtą olejnica.

Wieko zostało roztrzaskane, najpewniej siekierą. Oświetlili wnętrze trumny. Nikła woń trupiej zgnilizny napłynęła, gdy zawiął północny wiatr.

„Nie jest źle – pomyślał Mock. – Ze świeższego grobu większy biłby odór”.

Dyrektora oraz komisarza Metza woń ta również pozostawiła obojętnymi.

W dłoniach policjantów pojawiły się latarki.

– Poświeć no, Kurt, lepiej! – mruknął Eberhard, wstrzymując oddech. – I pana też tutaj poproszę z latarnią, panie dozorczo!

Pochylił się nad trumną. Pięcioletnie zwłoki przebywające w wilgotnej glebie były – zgodnie ze znaną mu terminologią – „zmydlone”, czyli otoczone jakby kruchym, odpadającym tu i ówdzie woskiem.

W mocnym świetle widać było kobiece nogi barwy sinoczarnej, gdzieniegdzie pokryte żółtawymi plamami. Gęste włosy zmarłej zasłaniały jej twarz i szyję. Reszta ciała miała za osłonę jedynie brudne prześcieradło. Na wysokości brzucha

zostało ono rozdarte. Na piersi ziała szeroka dziura. Rana kłuta. Mock widział takich wiele. Zadano ją nożem lub bagnetem.

– Szukała biżuterii jakaś hiena cmentarna! – krzyknął Sonderhaus. – Rozkopała grób i wywaliła trumnę! Zobaczyło to bydlę, że młoda umarła, to i pierścionki jakieś tam pewnie ma...

Mock nie odniósł się do tej wypowiedzi, której zwartość logiczna była dość wątpliwa: dlaczego kobieta młoda miałaby mieć biżuterię w trumnie, a stara to już nie?

Odsunął się od grobu i spojrział w ciemność, w kierunku, gdzie stał dyrektor cmentarza. Wypuścił głośno powietrze i zapytał głosem pełnym oburzenia:

– Co to za brak szacunku! Ona była człowiekiem, kierowniku! Dlaczego została pochowana tylko w prześcieradle? Nie miała żadnego ubrania? Czy jakiś łajdak je zabrał?

– Takie jak ona chowamy tylko w całunie – powiedział Reddermann nieco urażony określeniem „kierownik”. – Od wybuchu wojny na tanie ubrania po zmarłych jest duży popyt mimo strachu przed jadem trupim... Sprzedają je bliscy zmarłych za grosze, a biedacy kupują na pniu.

Inspektor mruknął coś niezrozumiale, po czym dodał pełnym głosem:

– Magistrat nie ma pieniędzy, aby stroić wyrzutki społeczne do grobu. To nie pogarda, *Herr Polizei-Assistent!* To takie czasy...

Nagle rozległo się wyraźne brzęczenie. W świetle latarń zawirował jakiś owad. Duża, nakrapiana na żółto mucha pofrunęła do grobu i usiadła na trumnie.

– Ohydnicca cmentarna – szepnął Reddermann. – Tak nazywa te muchy mój syn, miłośnik biologii. On wymyśla nowe nazwy owadów. W grobie pewnie jest dużo jej larw.

– Błysk! – krzyknął Smolorz, który teraz pochylał się nad trumną.

Uczył latarką szybki ruch.

– Tam błysk – wycedził. – Coś w trumnie. Mucha na tym teraz.

Eberhard wyjął z kieszeni marynarki czarne kauczukowe rękawiczki – identyczne jak te używane w prosektorium przez Lasariusza i jego laborantów. Skinął na Sonderhausę.

– Poświeć no lepiej!

Mucha odleciała. Ale coś rzeczywiście błyszczało, mniej więcej koło uda kobiety.

– Jest tam coś jeszcze oprócz tej błyskotki – mruknął zaskoczony Mock. – No, świeć tutaj z boku!

Po kilku sekundach odskoczył od grobu.

Ciężko oddychał otwartymi ustami. Jedną dłoń opierał na kolanie, a drugą, otwartą, wyciągał ku pozostałym. Wyglądał teraz jak skrofuliczny żebrak, który prosi o jałmużnę.

Na jego otwartej dłoni leżał mocno przybrudzony ziemią złoty sygnet z diamentem. A obok równie brudna górna sztuczna szczeka. W świetle latarni i latarek wszyscy wpatrywali się w zdumieniu w to, co znalazł w trumnie.

Jedynie wachmistrz policyjny Smolorz nie patrzył na rękę zwierchnika, lecz na wnętrze trumny. W ręku trzymał ostry patyk, którym rozsuwał fałdy zbutwiałego całunu.

– Tu jeszcze coś! – zawołał nagle.

– Dół sztucznej szczeki? – zapytał Mock.

– Nie! Nie! To coś! O kurwa żeż mać! To prezerwatywa!

Kurt Smolorz wypuścił z ręki patyk, na czubku którego było coś nabite, i odskoczył. Eberhard dokładnie oświetlił to znalezisko. Zamarł ze wstrętu.

Obok patyka leżał odcięty stary, zbutwiały kawałek gumy. Wielki paluch prosektoryjnej rękawiczki o ogromnych rozmiarach. A do czarnego kauczuku, materiału, z którego ją wyprodukowano, coś się przykleiło.

Kilka skręconych włosów łonowych.

Ohydnicą cmentarna krążyła wokół głowy Mocka, a jej tłuste dzieci wypełzały z brunatnej ziemi.



Było już grubo po dziesiątej wieczór, gdy zaterkotał telefon w hallu pięknego pięciopokojowego mieszkania przy Gneisenauplatz[120].

Kamerdynier, wiozący właśnie wózkiem brudne naczynia po skromnej kolacji, odebrał i przez chwilę słuchał znanego sobie głosu.

Nie odłożywszy słuchawki na widełki, poszedł do jadalni. Pan siedział sztywno przy stole, pani układała mu teraz na twarzy kompresy z waty maczanej w zimnej wodzie. Osobisty dentysta i protetyk doktor Hauch stał nieco z boku z zestawem sztucznych szczęk i zapisywał wymiary, by na *cito* sporządzić zastępcze uzębienie.

– Z cmentarza dzwonią, jaśnie panie – rzekł kamerdynier. – Bardzo pilne, mówią. Pan Reddermann, znaczy, mówi.

Eugen Schlieps pocałował żonę w dłoń, zdjął opatrunek, ukazując czerwone rozcięcia skóry oraz siną opuchliznę na policzkach. Uśmiechnął się lekko zapadniętymi ustami, starając się nie napinać zbyt skóry na twarzy. Ten krzywy grymas miał być uspokajającym uśmiechem.

Przyklepał swoją siwo-czarną fryzurę, poprawił bonżurkę i wyszedł do przedpokoju. W słuchawce rozległ się całkiem inny głos niż ten, którego oczekiwał.

– Mówi Mock – usłyszał, gdy przyłożył słuchawkę do obolałego ucha. – Dzwonię od pańskiego cichego współnika, inspektora cmentarnego Johanna Reddermanna.

Zapadła cisza, jakby rozmówca starał się sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarła na Schliepsie ta informacja.

Nie wywarła żadnego.

– No i co z tego? – mruknął.

Nie wyszło mu. Chciał warknąć, przestraszyć tego śmiecia, ale jego słowom towarzyszyło tylko osobliwe seplenienie, jakie wydają ludzie bezzębni.

Siedział w niewygodnej pozycji w wysokim fotelu o rzeźbionych lwich łapach. Dla uspokojenia nerwów klikał wyłącznikiem światła lampki stojącej na stoliku.

– Ktoś rozkopał grób Emmy Riegel, prostytutki, która zmarła w roku czternastym – mówił Mock. – Najwyraźniej czegoś szukał. Gorączkowo, nieprzytomnie, w takim pośpiechu, że coś tam zgubił... W trumnie znaleźliśmy sztuczną górną szczękę i sygnet z pańskimi inicjałami. A nawet coś, co przypomina starą prezerwatywę z włosami łonowymi...

Schlieps milczał. Zaczął coraz szybciej włączać i wyłączać lampkę. Lekko brzęczały kryształki zwisające z jej abażura, frędzelki obrusu na stoliku kołysały się nieznacznie.

– Słyszę, że pan trochę bełkoce, Schlieps – ciągnął Mock. – Za dużo wódeczki było czy zębów brak? A może szczeka w tym grobie jest pańska? A może włosy łonowe też? A sygnet z pańskimi inicjałami? Gdzie pan grzebał paluchem ozdobionym tym pięknym sygnetem?

Borsuk zostawił lampkę w spokoju. Nie mógł dopuścić, by ogarnęła go furia. Nie teraz. Miał jeszcze szansę – i to bardzo dużą – aby wywinąć się z tej prowokacji, z tej ohydnej nekrofilskiej intrygi.

– Przejdź do konkretów! – mruknął. – O co ci chodzi?

– Mam w dupie boksera ze złamanym czołem czy też z nosem wepchniętym w mózg – rzekł policjant bardzo powoli. – Ale nie mam w dupie małej, prawie rocznej dziewczynki nazwiskiem Bettina Rossenbach. – Urwał, jakby go nagle chwyciło wzruszenie. – To moja nieślubna córeczka, Schlieps. Jakiś człowiek porwał ją i jej matkę, pannę Hertę Rossenbach. Zaciągnął je obie na twój cmentarz w Cosel[121]. Do twojej kaplicy. Tam kobiecie wbił nóż w serce. Ale ona przeżyła, urwała twoją chorągiew, okryła się nią i z pewnym pijanym wozimleczarzem wróciła do domu. Mojej córeczki jednak nie ma...

Mock milczał przez chwilę.

– Jeśli do końca jutrzejszego dnia nie dostanę mojego dziecka, to cały Wrocław i całe Niemcy się dowiedzą, że jesteś trupojebcą. Wszyscy twoi kompani ze

wszystkich niemieckich Bractw Pierścieniowców otworzą szeroko gęby ze zdumienia...

– Tuż po świętach dostaniesz dziecko – przerwał mu właściciel sygnetu. – Ono jest dość daleko.

Mock odczekał chwilę.

– Dobrze. Po świętach. Dziecko i głowę porywacza. Nawet jeśli by to miał być twój srebrno-czarny łeb.

Słuchawka po drugiej stronie linii opadła na widełki.

Schlieps odetchnął i wykręcił numer centrali. Poprosił telefonistkę o połączenie z komisariatem rewiru XVII przy Herdainstrasse[122]. Tam poświadczą, że dzisiaj mu ukradziono sygnet i sztuczną szczękę.

Długo czekał, zanim odebrano i zanim usłyszał:

– Wachmistrz policyjny Felix Lorenz.

– Och, jak to dobrze! – ucieszył się dzwoniący. – Nazywam się Eugen Schlieps. To pan spisywał dzisiaj protokół z pobicia i rabunku, jakiego padłem ofiarą! Pamiętam. To panu zgłosiłem, że dzisiaj byłem pobity i ograbiony...

Czekał na reakcję. Na darmo.

– No, przy Schönstrasse[123] mnie pobito, przy tej knajpie... – dodał już zniecierpliwiony. – Jest pan tam, *Herr Polizei-Wachtmeister*? To był właśnie pan, prawda?

Znów odpowiedziała mu cisza. W końcu Lorenz odrzekł, nie kryjąc zdumienia w głosie:

– Jaki protokół? Jakie pobicie? Nic podobnego nie miało miejsca! Nie mieliśmy dzisiaj żadnego napadu, żadnego rabunku! To wyjątkowo spokojny dzień jak na tę dzielnicę.

Eugen Schlieps odłożył słuchawkę. Pętla zaciskała się wokół jego szyi.

Wstał i wrócił do jadalni, wolno szurając podszwami swych wypastowanych kapci.

Jego żona Christina patrzyła na męża z niepokojem. Była ładna i młodsza od niego o lat trzydzieści. Tańczyła niegdyś w teatrzyku *variété*. Ci, którzy mu zazdrościli młodej żony, mówili o niej „trofeum”.

– Coś się stało? – zapytała. – Źle wyglądasz. Nie chodzi o rany. Ale smutkiem ci z oczu patrzy.

W jej słowach zadźwięczało jakieś ciepłe uczucie. Rozczuliło go. Pocałował ją w głowę jak dziadek wnuczkę. Usiadł ciężko przy długim stole, gdzie podczas przyjęcia wielkanocnego miały zasiąść jej dwie siostry oraz jego syn z pierwszego małżeństwa.

– Dwie złe wiadomości dzisiaj dostałem – rzekł spokojnie. – Dwie złe wiadomości. Pierwszą po południu, drugą teraz. Jakaś nagonka na mnie, moja Christino... Jakiś spisek...

Spojrzał na jadalnię. Na wygodne tapicerowane krzesła ze złotymi guzami. Na tapetę w ukośne meandry. Na okazały secesyjny bufet, na którym stał prezent urodzinowy od żony – porcelanowa figura Herkulesa walczącego z lwem nemejskim.

– Z tym wszystkim będę się musiał na jakiś czas pożegnać – rzekł Schlieps. – Z tym domem, z tobą. Nie wydamy tutaj wielkanocnego bankietu! Zorganizujemy go na Kępie Strzeleckiej, w moim zakładzie rozrywkowym. Będzie dużo gości. Jak zawsze na bankietach pożegnalnych.



Ten, kto tego wieczoru wprowadził Schliepsa w nastrój desperacji, odłożył słuchawkę. Był kontent – jak zawsze, gdy udało mu się złapać w potrzask złego człowieka.

Siedział ze Smolorzem w biurze inspektora cmentarnego. Mieściło się ono w południowym kącie nekropolii i tworzyło wraz z kostnicą i z poczekalnią kompleks administracyjny. Obok stał dwupiętrowy murowany budynek mieszkalny, który Reddermann zajmował wraz żoną i z dwunastoletnim synem,

gimnazjalistą od Świętej Elżbiety. W tej chwili zresztą inspektor cmentarny tam przebywał.

Mock – zgodnie z zasadą, iż w dokumentach musi się wszystko zgadzać – przepisywał teraz ostatnie swe notatki z notesu na kartkę papieru kancelaryjnego.

Trochę się nagimnastykował, aby uzasadnić, iż – wbrew opinii wyrażonej głośno przez Sonderhaus – nie mieli tu do czynienia z aktem rabunkowym, lecz z lubieżnym zbezczeszczeniem zwłok, co oczywiście nie oznaczało, jak stwierdził *expressis verbis* w raporcie, cielesnego kontaktu ze zmarłą. Wystarczyło, że zboczeniec patrzył na zwłoki i sam sobie czynił zadość. Okradanie grobu Mock wykluczył w raporcie właśnie z powodu znalezienia tam sygnetu, którego zgubienie – z drugiej strony – potwierdzałoby jakoś czynność onanisty.

W końcu postawił kropkę i polecił Smolorzowi, by ten przyprowadził Reddermanna.

Wszyscy świadkowie oprócz niego opuścili już cmentarz. Komisarz Metz, poświadczwszy własnoręcznym podpisem relację z odkrycia przestępstwa obyczajowego, pojechał dorożką do komisariatu. Podobnie i stróż Sonderhaus powrócił do swych obowiązków.

Drzwi się otworzyły i inspektor cmentarny wkroczył do pokoju. Zdjął swój groteskowy cylinder i obrzucił Mocka kosym, złym spojrzeniem.

Był to mężczyzna po czterdziestce, chudy i bardzo wysoki. Jego sylwetka przypominała długi, zwężający się klin – szerokie biodra, wąskie ramiona i mała ptasia głowa. Ornitologiczne skojarzenie było o tyle zasadne, że długi nos Reddermanna przywodził na myśl dziób bociana, a resztki włosów odstawały z tyłu głowy jak zwinięty grzebień dudka.

Eberhard nie dziwił się wcale jego irytacji. Na miejscu kierownika też by się zdenerwował, gdyby na jego terenie dokonano ohydneho przestępstwa obyczajowego, a potem jakiś arogancki policjant rozsiadłby się w jego fotelu, w jego biurze, i najpierw go przesłuchiwał, potem kazałby mu zatelefonować do Schliepsa, potem nagle wyprosił, by bez świadków porozmawiać przez telefon,

a następnie długo sporządzał raport i wreszcie znów go przywołał jak jakiegoś petenta.

– Może pan teraz zajmie należne sobie miejsce. – Mock uniósł się lekko z fotela. – Przepraszam, nie chciałem się szarogęścić, ale wie pan, to bardzo pilna sprawa...

Skinął na Smolorza, a ten ujął ołówek, aby sporządzać protokół z przesłuchania.

– Tu mi jest dobrze – odpowiedział nadęty Reddermann.

Grzeczne wyjaśnienie Mocka nie wywołało pożądanego efektu. Był wciąż obrażony. Eberhard nie miał zamiaru uniżenie go prosić o zmianę nastroju.

– To jest przesłuchanie świadka. Protokolant Kurt Smolorz, przesłuchujący Eberhard Mock.

Ta urzędowa formuła zrobiła na przesłuchiwanym pewne wrażenie.

– Niech pan mi powie, *Herr Friedhof-Inspektor*[124], jak pańskim zdaniem ta prowizoryczna prezerwatywa...

Wskazał na Smolorza, który jeszcze przy rozkopanym grobie Emmy Riegel umieścił ją w brunatnej kopercie na dowody rzeczowe, tuż obok sygnetu i górnej sztucznej szczęki.

– Jak ta prowizoryczna prezerwatywa, stara i zbutwiała, znalazła się w trumnie? Gdzie pięć lat temu nekrofil mógł obcować z trupem?

Reddermann zacisnął mocno palce na kościanej obsadce, którą machinalnie wziął ze swego biurka.

– Nie wiem, *Herr Polizei-Assistent*... Naprawdę nie wiem. Procedura u mnie wygląda następująco. W bocznej salce kostnicy jest myjnia. Kamienny stół, szlauch. Tam też przychodzi trupi fryzjer i makijażysta z pudrem. Ciała są myte, ubierane, niekiedy balsamowane...

– Kto zatrudnia tych specjalistów?

– Firma pogrzebowa Posłaniec Boga.

– Którą *de facto* zarządza pan Eugen Schlieps, tak?

– Tak.

– No dobrze – mruknął. – I co dalej się robi z tymi ciałami?

– Przygotowane do pogrzebu leżą jedną, dwie noce w kostnicy. Ja sam to wszystko nadzoruję. Na każdym etapie procedury sprawdzam, czy wszystko jest w porządku. Jestem sumiennym urzędnikiem, *Herr Polizei-Assistent!*

Mock postanowił go teraz zaatakować – zdecydowanie, a nawet brutalnie.

– Raczej był pan, podkreślam „był”, sumiennym urzędnikiem, Reddermann! – podniósł głos. – Widział pan, że nocą kilka dni temu, w niedzielę, jakiś zbir przywłókł do pańskiej kostnicy nagą kobietę? A na schodach kaplicy plamy krwi to pan dostrzegł? Nie zwróciło pańskiej uwagi, jak ta kobieta, brocząc krwią, tłukła się pomiędzy nagrobkami i w końcu wlała do furgonu mleczarza? A sam furgon to w ogóle pan zauważył?! W nocy tuż pod pańskimi oknami? Nie pytam już, czy widział pan rozkopany grób Emmy Riegel! Nawet nie pytam! Niech mi pan tylko jedno powie: czy na wszystko przymyka pan oko, bo tak każe panu Eugen Schlieps?

Ze złością zacisnął zęby, ale po chwili znów krzyczał:

– To zdarzyło się na pańskim cmentarzu, Reddermann! Czy dobry, sumienny kierownik mógłby to wszystko przeoczyć? Jak brzmi pańska odpowiedź na powyższe pytania?

Dyrektor pochylił małą, okrągłą głowę, eksponując rzadkawe włosy na potylicy.

– Na wszystkie pytania odpowiedź brzmi: „nie” – szepnął.

Mock przyjrzał mu się uważnie. Spod zaciśniętej powieki dyrektora wypłynęła na policzek łza.

– Czyli nie widział pan niczego. Nic pan nie wie. No, dobrze, Reddermann... To czemu pan teraz płacze?

Zapalił papierosa.

– Nie wie pan... Hm... No to ja wypytam o to wszystko pańskiego synka. Tego bystrego chłopca, co to ukuł ciekawą nazwę „ohydnicza cmentarna”. To bardzo

trafna inwencja słowotwórcza, wie pan? Jej autor musi być bystrym młodym człowiekiem, a taki na pewno coś tu widział... Znacznie więcej niż jego ojciec, „bardzo sumienny urzędnik”.

Wstał.

– No! Na co czekasz, Reddermann? – ryknął. – Obudzić i przyprowadzić tu syna! Ale już!

Dyrektor ani drgnął. Przejechał długimi palcami po rondzie cylindra. Oczy miał czerwone i trzęsła mu się broda.

– Ja jestem bardzo sumiennym urzędnikiem – powiedział nieoczekiwanie spokojnie. – I wszystko to widziałem, o co pan pytał. Ale nigdy tego oficjalnie nie zeznam. Ja nie rządę na tym cmentarzu. Tutaj wszystkie karty rozdaje pan Schlieps. Tylko on. Moja posada i przyszłość mojego syna jest w jego rękach. A on mi zakazał zeznawania. Powiedział mi wyraźnie... – I tu zacytował Borsuka, naśladując udatnie jego głos: – Posłuchaj, zaskrońcu, tak mnie nazywa... Nie dziw się niczemu, co się dzieje na tym terenie. Nawet gdybyś zobaczył słonia przechadzającego się w nocy między grobami, to masz się temu nie dziwić, rozumiesz? Jeśli piśniesz słowo bykom o czymkolwiek, co tu widziałeś... To wkrótce obsiądą cię całego muchy ścierwice... Tak mi powiedział.

– Odłóż ołówek, Kurt – polecił Mock Smolorzowi i spojrzał z przyjaznym uśmiechem na Reddermanna. – To będzie teraz nieoficjalny wątek, *Herr Friedhof-Inspektor*... Bo ja... Wyznam coś panu... Bo ja powadzę bardzo nieoficjalne śledztwo. A poza tym pana polubiłem. Naprawdę. Pierwsze pytanie. Dlaczego boi się pan Schliepsa?

Dyrektor odetchnął z wyraźną ulgą.

– On wszystko może. Wszystkich ma w kieszeni. Zawarł z kimś z magistratu intratny... Bardzo intratny tajny kontrakt. W wyniku tego układu wszystkie ciała bezdomnych przywożą na mój cmentarz, gdzie są chowane na koszt miasta. Magistrat mi za to płaci, ale ja... Wszystko oddaję Schliepsowi. Gdybym

się sprzeciwił, straciłbym posadę, musiałbym wyjechać, nie miałbym na chesne dla syna, który tak dobrze się uczy w słynnym Elisabethanum[125].

Głos mu się podnosił, aż się załamał w szlochu.

– No dobrze, już dobrze, niech pan nie płacze! – powiedział Mock uspokajająco. – Nie interesują mnie machlojki Schliepsa. Interesuje mnie małe dziecko, niemowlę. Córeczka tej kobiety, o której panu wspominałem. Jak broczyła krwią...

Reddermann otarł oczy rękawem. Jego czarny aksamitny krawat stał się mokry od łez. Ze swoją płaczliwością był idealnym gospodarzem tego miejsca.

– Tydzień, chyba tydzień temu, w nocy przyjechał automobil, może to była rzeczywiście niedziela. – Wytarł nos w kraciatą chustkę. – Syn i żona spali mocno, a mnie budzi najłżejszy dźwięk. Automobil, nie wiem jaki, nie znam się na markach... Wsiadł z niego wysoki mężczyzna w kapeluszu. Nie widziałem twarzy, nie wiem, w jakim wieku. Był barczysty i miał na sobie dobrze skrojony płaszcz. Wyciągnął z wnętrza auta nagą kobietę i zaciągnął ją do kostnicy. Potem wrócił i wytaskał z samochodu akordeon w futerale. Zapadła cisza. Wróciłem do łóżka pomny ostrzeżenia pana Schliepsa, że nawet gdyby słoń w nocy... – Wypuścił powietrze z sykiem. – Nie mogłem jednak spać. Stałem w otwartym oknie i patrzyłem. Mężczyzna w kapeluszu wrócił do automobilu. W rękę trzymał futerał. Położył go na siedzeniu, a sam, uczciwszy uszy pana asystenta policyjnego... A sam odcedził wodę pod murem.

Milczał, jakby nabierając sił przed pointą tej opowieści.

– Mówi pan o dziecku, *Herr Polizei-Assistent*... Otóż wtedy kiedy on, przepraszam za wyrażenie, kiedy on lał, usłyszałem stłumiony płacz dziecka... Chyba dochodził z futerału. To wszystko, nic więcej nie wiem. To wszystko mnie rozstroiło. Padłem jak zabity na łóżko i zasnąłem. Kobiety uciekającej z cmentarza naprawdę nie widziałem... Ani żadnego furmana...

Eberhard Mock pokiwał głową i spojrzał znacząco na Smolorza.

Pożegnali się z płaczącym kierownikiem cmentarza, wyszli z jego biura i udali się do stróżówki. Dozorca Erhard Sonderhaus potwierdził słowa szefa. Rzeczywiście, Schlieps swą opowiastkę o słoniu przedstawił również obu nocnym stróżom – i Sonderhausowi, i jego zmiennikowi. Obaj robili obchody *pro forma*, a poza tym smacznie spali.

Mock, wysłuchawszy tych zeznań, podkreślił knot lampy naftowej palącej się w stróżówce, która służyła też jako skład narzędzi ogrodniczych. Spojrzał krytycznym okiem na brudne ręce Sonderhaususa z czarnymi półksiężycami pod paznokciami.

– Pokaż no łapy, bliżej! – mruknął, a kiedy dozorca uczynił to, co mu nakazał, skrzywił się, jakby zjadł plaster cytryny.

Wyjął z kieszeni mały scyzoryk i podał go Sonderhausowi.

– Wyczyść no sobie pazury, do cholery! Masz za nimi kawałki żółtej farby olejnej z trumny Emmy Riegel!

Sonderhaus zaczął wygrzebywać spod paznokci małe grudki tłustej ziemi. W jednej z nich Mock dostrzegł jakby segment ciała larwy ohydnicy cmentarnej.

– A scyzoryka nie musisz mi oddawać. – Wzdrygnął się ze wstrętem. – To prezent dla ciebie.



Eugen Schlieps wyjawiał swej żonie dwie złe wiadomości. Drugą było oczywiście imadło Mocka.

Głównym bohaterem pierwszej złej wiadomości był natomiast niepozorny i skromny człowiek nazwiskiem Herbert Knorr.

Policyjny archiwista po chwilowych zawirowaniach w tygodniu przedświątecznym, wywołanych przez natarczywego Mocka, wrócił do spokojnej zatoki, jak nazywał swe miejsce pracy.

Był zadowolony z przebiegu zdarzeń. Zachował lojalność wobec swego przyjaciela doktora Lasariususa. Mockowi powtórzył tylko plotki o rzekomych czy

rzeczywistych nekrofilskich skłonnościach Schliepsa. Te pogłoski zapewne znałby i sam Mock, gdyby akurat latem 1914 nie przebywał na Czarnym Łądzie^[126]. Huczało od nich całe prezydium policji i aż dziw, że do Mocka później nic nie dotarło. Inna sprawa, że ci, którzy je powtarzali, w większości nie wrócili z Wielkiej Wojny.

Obowiązkowy Knorr czuł też zawodową satysfakcję z tego, iż w archiwum miejskim wygrzebał i Mockowi dostarczył informacje o personaliach zmarłej prostytutki i o miejscu jej pochówku. Był człowiekiem o mocnym kręgosłupie moralnym i zapewne nie cieszyłby się tak bardzo, gdyby wiedział, jak owe informacje wykorzysta asystent policyjny.

Wielkopiątkowe popołudnie archiwista policyjny spędzał w swym małym i zaniedbanym domku przy Ägirweg^[127]. Nie był specjalnie pobożny i nie miał zamiaru iść – jak większość mieszkańców osiedla Wilhelmsruh^[128] – na liturgię męki Pańskiej.

Wyszedł do niewielkiego, zarośniętego chaszczami i dawno już nie pielonego ogrodu na tyłach swego domku. Usiadł z charakterystycznym chrzęstem na fotelu z wikliny.

Jego dobry nastrój nagle się ulotnił, gdy przypomniał sobie, że niedługo święta i będzie musiał pójść do swojego brata na wielkanocny obiad, a tam wysłuchiwać pretensji obarczonego czwórką dzieci bratanka Jürgena, który od dawna naciskał stryja Herberta, by ten zamienił się z nim na kwatery.

Archiwista nie miał zamiaru odstępować swojego domku bratankowi. Nie lubił ani jego samego, ani jego rozwrzeszczanych bachorów, ani też jego żony Elsy, nie dbającej nadmiernie o higienę. Co najważniejsze jednak, nie lubił hałaśliwego Rynku, gdzie w kamienicy Pod Gryfami na czwartym piętrze pod skośnym dachem Jürgen i jego rodzina zimą marzli, a letnią porą dusili się od gorąca.

Knorr poruszył się nerwowo w fotelu, trzeszcząc niemiłosiernie. Rozmyślał nad tym, jaką tym razem przyjąć strategię wobec próśb i nacisków Jürgena.

Nagle uchwycił swymi zmysłami – słuchem i powonieniem – dwa zjawiska, które były teraz nader nieprawdopodobne.

Ogrodowy mebel zatrzeszczał, choć – tego był pewien – tym razem nie za jego sprawą.

Doszła go woń jabłek. Wydało mu się to dziwne. Jabłonie dopiero zakwitwały.

Wielka, spocona ręka zatkała mu usta. Na grdyce poczuł bolesne ukłucie. Owocowa woń się wzmogła.

– Masz nóż na gardle, gryzipiórku! Mów, dlaczego węszyłeś w sprawie zmarłej dziwki Emmy Riegel!

Głos dochodzący zza jego głowy był bardzo niski, tubalny, jakby specjalnie zniekształcany.

W pierwszej chwili Knorr pomyślał, że to bratanek zrobił mu jakiś głupi kawał. Ale Jürgen miał inny głos – piskliwy i nosowy. Choćby nie wiadomo jak go zniekształcał, nie osiągnąłby tak ponurego efektu.

Czując bolesne ukłucie na grdyce, archiwista opowiedział wszystko to, o czym poinformował Mocka.

Doniósł człowiekowi śmierzącemu jabłkami o pracy Schliepsa w charakterze laboranta w Instytucie Lekarsko-Sądowym; o tym, że ten nawiązał wtedy bliskie kontakty z pracownikami i szefami firm pogrzebowych; o tajemniczych okolicznościach, w jakich Schlieps zdobył majątek; o podejrzaniach, iż Borsuk obcuje z ciałami prostytutek.

Trwało to kilka minut. Dłoń napastnika mocno trzymała kark Knorra. Najpierw uchwyt był żelazny, później stał się słabszy i jeszcze bardziej wilgotny. Archiwista nie próbował jednak odwracać głowy.

– To jest nóż do krojenia trupów, gryzipiórku – zahuczał mu bas nad uchem. – Jeśli powiesz jeszcze coś temu Mockowi... Cokolwiek o Borsuku, to ci nim rozkroję gardziel, rozumiesz? Nie odwracaj teraz głowy, nie patrz na mnie! Bo wtedy wrócę!

Knorr słyszał kroki na trawie, a potem zazgrzytała dawno nie oliwiona furтка.

Nie odwrócił się.

Siedział jak skamieniały.

Czuł, jak krew ze skaleczonej skóry szyi spływa mu za koszulę wraz z potem.

Przez kilka dobrych minut wiklinowy fotel już nie trzeszczał.

[110] Obecnie Księżę Małe.

[111] Obecnie osiedle Kozanów.

[112] Obecnie ul. Bałuckiego.

[113] Obecnie osiedle Kozanów.

[114] Obecnie ul. Niedźwiedzia.

[115] Obecnie ul. Kozanowska i częściowo ul. Pałucka. Dawny cmentarz komunalny już nie istnieje, na jego terenie znajduje się obecnie park Zachodni.

[116] Autentyczny napis: „*Auch der Schmerz ist Gottes Bote*”.

[117] Obecnie ul. Pilczycka.

[118] Obecnie osiedle Kozanów.

[119] Obecnie osiedle Pilczyce.

[120] Obecnie pl. Bema.

[121] Obecnie Kozanów.

[122] Obecnie ul. Gajowa.

[123] Obecnie ul. Piękna.

[124] Inspektor cmentarny (niem.).

[125] Wrocławskie Gimnazjum św. Elżbiety. Obecnie w jego budynku przy ul. Dawida mieści się Instytut Psychologii i Instytut Pedagogiki Uniwersytetu Wrocławskiego.

[126] Zob. M. Krajewski, *Mock. Ludzkie zoo*.

[127] Obecnie ul. Świętochowskiego.

[128] Obecnie osiedle Zacisze.

IX

Triumfalne fanfary

KĘPĘ STRZELECKĄ NIEKTÓRZY WROCŁAWIANIE NAZYWALI parkiem, inni ogrodem, a jeszcze inni laskiem. Wszystkie te określenia dobrze oddawały charakter tego niezwykłego miejsca, pełnego drzew iglastych, cienistych polanek i uroczych mostków przerzuconych przez dwa sztucznie wytyczone strumyki. Był to jakby wycięty z bajkowej scenerii kawałek lasu wepchnięty w centrum śląskiej metropolii, która – jak inne pruskie aglomeracje – była jednocześnie ośrodkiem handlowym, przemysłowym i wojskową twierdzą.

O każdej z tych funkcji świadczyły tereny graniczące z Kępą Strzelecką. Na południu Odra odcinała ją od potężnego kompleksu magazynowego i od czerwonych budynków garnizonu i koszar VI Pułku Artylerii Polowej.

Rzeka biegła następnie na północ, stając się zachodnią granicą parku. Wrocławianie, którzy wspięliby się tam na czubek któregoś z licznych potężnych świerków, mogliby ujrzeć po drugiej stronie Odry kolejny kompleks wojskowy, którego centralnym punktem był plac do musztry i strzelnica.

Pozostałe granice Kępy Strzeleckiej nabierały już charakteru przemysłowego i mieszczańskiego, tracąc zarazem militarny. Od północy ograniczała ją bowiem elektrownia parowa, od wschodu zaś Schützenstrasse[129], za którą rozciągały się zwarte kwartały kamienic i podwórek.

W samym parku kibice mogli oglądać walki pięściarskie i zapaśnicze w sali gimnastycznej; zakochani – ukrywać się w tajnych altankach i w świątyniach dumania; młodzież szkolna – zaprawiać w patriotyzmie, podziwiając potężny, stojący wśród drzew pomnik Germanii; zwolennicy hałaśliwych uciech – tańczyć i śpiewać w *établissement*, a miłośnicy broni palnej – stosownie do nazwy miejsca – w nowoczesnej strzelnicy mogli ćwiczyć swe umiejętności. Wyrzutki

społeczne, żebracy i ulicznice najgorszego sortu też tam ciągnęli w ciepłe miesiące, szukając miejsc zdalnych do noclegu i do pijackiej kopulacji.

W Niedzielę Wielkanocną właściciel tamtejszych urzędzeń rozrywkowych pan Eugen Schlieps wydawał tutaj prywatne przyjęcie. By nikt niezaproszony się nie zakradł, nie pojadł i nie popił za darmo, przed wejściem do parku od strony Schützenstrasse i wokół *établissement* Borsuk rozstawił pracujących dla siebie silnoręcznych, najczęściej zdemobilizowanych żołnierzy. Nazywano ich braćmi strażnikami.

Wyrazy „brat” i „braterstwo” pojawiały się tego ranka nieustannie i to zarówno na sztandarach zaprzyjaźnionych organizacji, jak i w prywatnych rozmowach.

Te pierwsze zwisały w nieruchomym ciepłym powietrzu, te drugie rozbrzmiewały teraz głośno przy licznych stołach nakrytych obrusami, rozstawionych wśród młodych brzózek.

Siedzieli przy nich mężczyźni w różnym wieku ze swoimi żonami lub z kochankami. Ubrani byli odświętnie, w surduty i we fraki, a w ich butonierkach tkwiły żonkile rozdawane gościom przez służbę. Większość zaproszonych zamieniła codzienne meloniki i kapelusze na uroczyste cylindry.

W zwykły dzień ich ubrania byłyby wypchane przez pistolety, a kieszenie obciążone kastetami. Ale to nie był zwykły dzień. Nie musieli się niczego obawiać. Byli w swoim gronie.

Oprócz kwiatów w butonierkach łączył ich wszystkich jeszcze jeden szczegół – na serdecznym palcu lewej dłoni każdego z nich błyszczał sygnet. Były ich dwa rodzaje, a każdy mówił co innego o statusie danego „brata”. Zwykły złoty sygnet otrzymywano po roku członkostwa w Bractwie Pierścieniowców, sygnet z diamentem po pięciu latach. Co znamienitsi mieli jeszcze złote zegarki z wygrawerowanymi na kopertach inicjałami swoimi oraz bractwa.

Goście pana Schliepsa rozmawiali, dowcipkowali, wypuszczali kłęby dymu z cygar, a co niecierpliwi kiwali na kelnerów, stojących w żołnierskim dwuszeregu, aby napełnili im ponczem szerokie, płytkie kieliszki. Nad damami

rozkwitały falbaniaste parasolki. Tu i ówdzie ktoś beknął, ktoś ryknął niepowstrzymanym śmiechem, gdzieś zawył zabłąkany i kopnięty przez kelnera kundel.

Z obu stron jednopiętrowego budynku zakładu rozrywkowego strzelały w niebo dwie wieżyce. Nad nimi łopotały czarno-biało-czerwone flagi cesarskie, co z entuzjazmem przyjmowała większość zgromadzonych tu ludzi, uważających odrodzenie wielkich kajzerowskich Niemiec tylko za kwestię czasu.

Z prawej strony budowli, koło fontanny i na tle ściany z licznymi wielkimi oknami, stali muzykanci, a z lewej – męski chór towarzystwa śpiewaczego.

Równy w południe wszystko się zaczęło. Na plac przed budynkiem weszły cztery poczty sztandarowe. Mężczyźni w białych rękawiczkach trzymali chorągwie klubów sportowych Kępa Strzelecka i Germania 1897, Towarzystwa Zapaśniczego Cyklop oraz Związku Śpiewaków Arion.

Buchnęła muzyka i rozległa się pieśń, hymn wszystkich niemieckich Pierścieniowców *Oto nadszedł dzień Pana*. Zebrani ochoczo ją podchwycili i po kilku sekundach cały lasek rozbrzmiewał donośnym śpiewem.

Kiedy po ponad trzech minutach zamilkli, przed wejściem do budynku pojawił się odświętnie ubrany Eugen Schlieps. Za nim stanął Otto Schlieps, jego syn z pierwszego małżeństwa, a obok syna druga żona Eugena Christina.

Rozległ się szmer. Wszyscy patrzyli z niepokojem na opuchniętą i posiniaczoną twarz właściciela zakładu rozrywkowego. W oczach mężczyzn błyskało zdumienie, kobiety spoglądały nań ze współczuciem. Niedowierzenie wzbudzał też brak sygnetu na lewej dłoni.

Po chwili zapadła cisza. Nikt już się nie śmiał, nikt też złośliwie nie komentował – jak to często wcześniej bywało – znaczenia dwóch jelenich poroży usytuowanych po obu stronach wejścia, z których jedno wisiało teraz jakby nad głową Schliepsa.

– Witajcie, bracia! – zawołał potężnym głosem. – Witajcie w dzień Zmartwychwstania Pańskiego! Dziękuję, że tak licznie przybyliście, choć

zaproszenie skierowałem do was w ostatniej chwili i być może zburzyłem wasze plany wielkanocne... Świątowanie wraz z rodzinami...

Wraz ze słowami z jego ust wyszedł dziwny syk, jakby miał niedopasowaną sztuczną szczękę, jak też było w istocie.

– My też jesteśmy rodziną! – odezwały się jakieś przypoehlebne głosy.

Borsuk uniósł ręce, uciszając tumult.

– Zanim was zaproszę na uroczyste śniadanie – wołał – zanim służba zastawi nasze stoły, zanim złożymy sobie życzenia świąteczne... Muszę wam coś oznajmić. Będę mówił krótko, bo głodni jesteście!

Ta zapowiedź została przyjęta z wyraźnym szmerem aprobaty.

– Odchodzę, bracia, odchodzę do więzienia! Ale nie na długo, o nie!

Zerwał się lekki wiatr, zdający się nieść jego słowa do ostatnich rzędów gości. Zapadła grobowa cisza, w której słyhać było szelest zielonych i żółtych pasów bibuły, zwisających z pączkujących dopiero gałązek brzoź.

– Oskarżono mnie o ustawienie walki Behringera z Mittagiem, obu już świętej pamięci! – ciągnął gospodarz. – O to, że postawiłem u bukmacherów ogromną kwotę na Behringera i po jego nieoczekiwanej wygranej stałem się bogaczem! – Urwał dla zaczerpnięcia tchu. – To prawda, że Behringer miał zagipsowaną pięść, to prawda, że zabił Mittaga na ringu, ale ja nic o tym nie wiedziałem, a Behringer zabrał prawdę do grobu! Dowody przeciwko mnie są wredne, nieprawdziwe i sfabrykowane! A oto spójrzcie! – Dotknął swej poranionej twarzy. – Jak nasza wspaniała policja chciała mnie złamać, jak katowaniem próbowała wydobyć fałszywe przyznanie się do winy!

Teraz rozległ się ryk wściekłości. Prawie wszyscy tu zgromadzeni mieli za sobą więzienną przeszłość i dobrze znali pałki klawiszów. Dzięki różnym stowarzyszeniom – śpiewaczym, sportowym i innym – wyszli, w swoim mniemaniu, na prostą i mieli nadzieję już nigdy nie spotkać na swej drodze żadnego strażnika.

Dźwięk rogu myśliwskiego uciszył po chwili oburzonych gości.

– Niczego ze mnie nie wydobyli, ale na tym nie poprzestaną! Zostałem aresztowany, ale ci łaskawcy z Schuhbrücke^[130] pozwolili mi spędzić święta z rodziną i z przyjaciółmi. Bądźmy zatem razem! Jedźmy i pijmy, bracia, gdyż jutro znajdę się w lochu, a potem czeka mnie niesprawiedliwy proces!

Ryk oburzenia i zawodu wstrząsnął Kępą Strzelecką. Eugen Schlieps stał nieruchomo i patrzył na tłum Braci Pierścieniowców, jego syn Otto ponuro zwiesił głowę, a młoda żona Christina ocierała łzę rogiem chusteczki.

Niektórzy ich zachowanie uznali za kiepskie aktorstwo, zwłaszcza ci, którzy wiedzieli, iż Christina była jeszcze do niedawna właśnie aktorką – gwiazdą teatryku *variété* dającego występy tu, na Kępie Strzeleckiej. Do owych niedowiarków należał Johann Reddermann, dyrektor odległego cmentarza komunalnego. Siedział wraz z żoną przy jednym z najbardziej oddalonych stolików i cały trzął się mimo ciepłej aury.

Czuł się jak Judasz. Jeszcze dzisiaj, w samą Wielkanoc, miał złożyć w prezydium policji obciążające Schliepsa zeznania.

Różnica jednak pomiędzy Reddermannem a ewangelicznym zdrajcą była zasadnicza. Chrystus nie nakazał Judaszowi, by ten go zdradził. A inspektor cmentarny właśnie taki rozkaz otrzymał wczoraj od Borsuka.



W tym czasie gdy oświadczenie Schliepsa stało się tematem numer jeden rozmów jego gości, osiem kilometrów na południowy wschód od Kępy Strzeleckiej, przy Plesser Strasse^[131] na podmiejskim osiedlu Klein Tschansch^[132], Eberhard Mock zjadł z ojcem śniadanie wielkanocne. Było ono smaczne, zwłaszcza jeśli ktoś lubił jajka w różnych konfiguracjach.

Eberhard je uwielbiał i z przyjemnością spożył trzy w majonezie, który ojciec zmieszał z kiszoną, drobno pokrojoną rzodkiewką, oraz dwa faszzerowane żółtkiem i tartym chrzanem połączonymi w jedną pachnącą i przyjemnie gryzącą podniebienie masę. Chrupiąca kajzerka z masłem, które ojciec przechowywał

w wiadrze z zimną wodą, oraz pęto wędzonej kiełbasy były znakomitym uzupełnieniem posiłku.

Mało co ze sobą rozmawiali, zwłaszcza że Eberhard zabronił ojcu picia alkoholu rozwiązującego języki – nawet małego piwa – a ten podporządkował się zakazowi.

Stary próbował snuć wspomnienia z dawnych lat, ale syn słuchał ich niechętnie. Kojarzyły mu się głównie z biciem i z wódką.

Owa substancja, co do której miał nadzieję, iż ją na zawsze porzucił, wzywała go teraz z potężną mocą. Jego pamięć wciąż podsuwała mu przed oczy obrazy przeszłych świątecznych, mocno zakrapianych biesiad, przyjaznych wesołych rozmów, chóralnych śpiewów tak mocno cementujących rodzinę i przyjaciół.

Walczył z tą wybiórczością wspomnień. Zmuszał pamięć do wyświetlania smutnych kacowych przebudzeń w Poniedziałki Wielkanocne – a to na schodach pod drzwiami, a to na ławce w parku, jak się nawet raz zdarzyło. Wydobywał z podświadomości bolesne obrazy, aby obrzydzić sobie kieliszek sznapsa albo choćby i szklaneczkę piwa.

Willibald podjął, po raz tysięczny w ostatnich latach, temat drugiego syna, Franza, który na obiad wielkanocny zaprosił wyłącznie Eberharda, pomijając ojca w swej wołającej o pomstę do nieba synowskiej niewdzięczności. Stary próbował przy tym wyperswadować Eberhardowi pomysł udania się do brata, bredząc o jakiejś rodzinnej solidarności.

Skutkiem tej perswazji była lodowata cisza ze strony syna.

Emeryt, najedzony i znudzony milczeniem Ebiego, udał się na podwórko, gdzie sąsiedzi już zasiedli wokół prowizorycznego stołu z desek, którego nogi były zwykłymi kołkami wbitymi w ziemię. Jeden sąsiad przyniósł kankę piwa, inny kawał boczku i ogórki kiszone, jeszcze inny akordeon i butelkę wódki. Słońce pięknie przygrzewało. Dwudziesty dzień kwietnia był prawie upalny.

Eberhard udał się z kocem pod pachą na samotny spacer nad Oławę, gdzie – jak miał nadzieję – nie będzie musiał słuchać wybuchów wesołości i pijackich

śpiewów. Niestety, ledwo się położył, okoliczni mieszkańcy, jakby mu na złość, zasiedli z butelkami dziesięć metrów dalej i tam postanowili dać upust swemu radosnemu świątecznemu nastrojowi.

Odrzuciwszy nieco arogancko ich zaproszenie do wspólnego biesiadowania na łonie natury, z przekleństwem na ustach powlókł się z powrotem do domu. Tam położył się na ladzie sklepu rzeźniczego, gdzie ostatnio sypiał, i paląc papierosa za papierosem, liczył mijające minuty.

Około pierwszej po południu zasnął mocnym snem. Śniły mu się różne sceny z ostatnich dni – chaotyczne, urywane i nie klejące się ze sobą fabularnie. Jeden miały jednak punkt wspólny – cmentarz w Cosel^[133]. Oto Borsuk swoim horchem uderza w mur cmentarny, a cegły rozsypują się wokół jak po eksplozji szrapnela; oto Mühlhaus siedzi na nagrobku i peroruje podniesionym głosem, wygrażając komuś fajkę; oto trumna stoi na katafalku w kostnicy i jej wieko podskakuje, a z wnętrza dochodzi pukanie, które zamienia się w natrętne walenie, jakby nieboszczyk ożył i chciał opuścić swoje drewniane łożo.

Pukanie i walenie obudziło Mocka. Spojrzał na naręczny zegarek firmy Lange i Synowie. Dochodziła druga, spał godzinę, najwyższy czas już wyjść. Do brata był zaproszony na trzecią.

Walenie w drzwi nie ustępowało. Eberhard przetarł oczy. Przez szybki ujrzał policyjnego gońca, siedemnastoletniego Petera Hansena.

Mock otworzył, odebrał od niego list i ze współczucia, iż młody musi w ten wolny dzień pracować, dał mu kawał kiełbasy i kilka jajek na twardo.

Dopiero gdy Hansen wsiadł na rower i odjechał, Eberhard zamknął mieszkanie i szybkim krokiem udał się w stronę Ofener Strasse^[134]. Skręcił w prawo w tę właśnie ulicę i po kwadransie marszu był przy cmentarzu Świętego Bernarda, gdzie znajdowała się pętla tramwaju numer dwanaście.

Dopiero gdy wygodnie się rozsiadł w pierwszym wagoniku tegoż pojazdu, otworzył list przyniesiony przez posłańca.

Niniejszym oznajmiam, że dobiegło końca śledztwo w sprawie śmierci Geoga Mittaga. Proszę wszystkich panów policjantów zaangażowanych w to dochodzenie o przybycie do prezydium policji w Poniedziałek Wielkanocny w samo południe. Nastąpi wtedy uroczyste zakończenie sprawy Mittaga połączone ze skromnym, krótkim bankietem oraz z wręczeniem nagrody temu spośród panów policjantów, który w najwyższej mierze przyczynił się do jej rozwiązania.

Lewald

Prezydent Policji



Mock przeczytał list dwukrotnie. Nie pojmował, jaki to ciąg zdarzeń doprowadził do szczęśliwego finału. Jeszcze wczoraj cała sprawa była w toku! Rozumiał tylko jedno – że to raczej nie on otrzyma nagrodę.



Dwie godziny wcześniej Eugen Schlieps zakrzyknął:

– Jedźmy i pijmy, bracia, gdyż jutro znajdę się w lochu!

Jego syn Otto wbił wzrok w ziemię, a żona Christina zaszlochała. Mówca miał dobrą pamięć i odtwarzał z niej teraz ostatnie zdania oracji, której się był wyuczył.

– Ale jeszcze jedno muszę wam powiedzieć, bracia, nim się pożegnamy, nim na moich rękach zatrzasną się kajdany... – Teatralnym gestem wyciągnął dłonie. – To, co mnie spotka, jest drogą do lepszego celu i my ten cel osiągniemy! Jeśli ktoś z was uwierzy w policyjne łgarstwa, zwłaszcza w te dotyczące trupów... Jeśli uzna za prawdę błoto, którym mnie obrzuca, i odejdzie z naszego bractwa, to zrozumie jego wybór. Nie będę się odgrywał, puszcę płazem taką zniewagę. Kto zaś zostanie przy mnie, ten po moim powrocie wejdzie do lepszego świata, który będę budować z wami, bracia, wspianiałymi ludźmi pomagającymi byłym więźniom i byłym żołnierzom! Wyrzutkom losu, którzy dzięki nam wstępują na drogę dobra!

Zerwał się potężny aplauz. Mężczyźni uderzali w blaty stołów kułakami.

– *Vivat! Vivat!* – Te okrzyki ginęły w dźwiękach orkiestry, która zaczęła grać hymn państwowy.

Obok Ottona Schliepsa stanął teraz siedemdziesięcioletni Paul Ammann, dawny szef wrocławskiego zjednoczenia Bractwa Pierścieniowców. Borsuk objął obu mocno za ramiona. Było jasne, że teraz ten duumwirat tymczasowo obejmie władzę.



Eberhard z trudem się opanował, aby nie wypić u brata piwa i wódki, bo oba te napitki zagościły na świątecznym stole w skromnym mieszkanku przy Nicolaistrasse^[135]. Pił sam gospodarz, wy dawszy na to przyjęcie pół pensji mistrza w warsztatach kolejowych. Piła jego żona Irmgard, piło jej trzech braci i trzy ich żony. Nie piły tu tylko dzieci i wujek Eberhard.

Wraz z poziomem alkoholu w żyłach świętujących ludzi wzrastała siła ich głosów oraz dosadność żartów, na jakie wobec Ebiego pozwalali sobie tylko jego najbliżsi – brat i szwagierka. Pozostali nie ośmielili się drwić z asystenta policyjnego, ale widać było po ich zaczerwienionych twarzach, iż to powstrzymywanie się od kpin jest tylko tymczasowe.

Najpierw Franz i Irmgard czepiali się jego krótkiej abstynencji, ale wkrótce celem ich docinków stał się jego kawalerski stan. Franz, coraz bardziej pijany, pokładał się na bracie, klepał go po ramionach i zachwalał mu życie rodzinne, natomiast Irmgard uśmiechała się znacząco i swatała Ebiemu pół tuzina swych koleżanek – „ładnych jak z oleodruku”. Pozostali przysłuchiwali się i – jak na razie – tylko się uśmiechali lub znaczącymi chrząknięciami podkreślali słowa gospodarzy.

Eberhard opuścił rozbawione towarzystwo po godzinie, nie słuchając protestów brata i szwagierki. Trzasnął drzwiami nieco zbyt mocno i zbiegł po schodach.

Nie wiedział, dokąd ma pójść. Najpierw oglądał wystawy, a potem snuł się bez celu po nędznych uliczkach wokół Rynku Solnego^[136], gdzie tanie dziwki wypinały w jego stronę chude biodra, a oprychy stojące w bramach łąpały złym okiem.

Wiedziony nagłym impulsem, udał się do Herty Rossenbach. Nie zastał jej jednak. Blondyn z przygolonym wąsikiem, świętujący z kompanami na podwórku kamienicy na rogu Gartenstrasse^[137] i Agnesstrasse^[138], kiedy już z głupawym uśmiechem napatrzył się na Mocka, rzekł, że „panna Cycatka” pojechała gdzieś na zieloną trawkę z koleżanką.

Widząc, iż Eberhard krzywi się na to określenie, wręczył mu na zgodę napoczętą butelkę wódki. Odmowa i wyjście z podwórka poskutkowały wyzwiskami, wśród których dominowało „kuternoga”. Były one jednak cichsze i mniej obraźliwe niż ostatnio.

Mock z trudem stłumił gniew – starcie z rozdrażnionymi pijakami mogło się skończyć bardzo nieciekawie, zwłaszcza że był bez broni. Szepcząc przekleństwa, wrócił tramwajem do domu i – ciesząc się, że ojciec wciąż przesiaduje na podwórkowej biesiadzie – położył się na swym prowizorycznym pościeli.

Noc miał kiepską. Pocił się nader obficie i nie mógł zasnąć, a kiedy już mu się to udawało, coś nieoczekiwanie wybudzało go ze snu – a to jakiś koszmar, a to konieczność wyjścia do ustępu na podwórku, a to nadejście ojca, który w pijanym widzie gramolił się po drabinie do ich pokoiku, klnąc przy tym – zgodnie ze swą dawną profesją – jak szewc.

Następnego dnia Mock nie mógł się doczekać południa, czyli godziny, na którą prezydent Lewald zwołał zebranie. W swoim biurze w prezydium policji pojawił się dużo wcześniej. Słyszał rozmowy i okrzyki na dziedzińcu, jakby szuranie krzesel po bruku. Mimo że rozpalala go ciekawość, nie wyjrzał przez okno.

Zaparzył sobie kawy i wypijał filiżankę za filiżanką. Czarny napój i nadmiar papierosów wysuszyły mu usta.

Na pytanie Smolorza, który przyszedł tuż przed dwunastą: „Czemu taki pot na czole?”, mruknął coś ze złością. Gdyby miał powiedzieć prawdę swojemu podkomendnemu, musiałby rzec: „A tak liczyłem na to mieszkanie!”.

Jeśliby miał coś dodać o swoim stanie ducha, musiałby się przyznać do tego, że każda komórka jego ciała łaknęła alkoholu.

Wraz ze Smolorzem zeszli na dziedziniec prezydium. Na środku stał długi stół nakryty na dwanaście osób. Eberhard i Kurt przywitali się z kolegami i jako ostatni zajęli miejsca.

Na stole, jak policzył Mock, stało osiem butelek czerwonego wina i cztery talerze z zakąskami. Uśmiechnięty Amelung żartował i nakładał sobie na talerz kawał pasztetu, niski Knoff się skurczył, jakby chciał zniknąć pod stołem, natomiast wysoki Ulbrich ciężko wzdychał i to zapinał, to odpinał guziki kamizelki, w której ledwo się mieścił jego wielki brzuch. O pozostałych siedmiu komisarzach kryminalnych Eberhard wiedział niewiele. Znał tylko ich nazwiska – Kaergel, Fischer, Verth, Polke, Thiemann, Brattke i Rudolphi.

Szybko ich wszystkich policzył. Dwunastu – po sześciu z każdego dłuższego boku stołu. Na jednym krótszym boku ustawiono dwa krzesła, a na drugim – tylko jedno.

Zegar nad bramą wybił południe. Na bruku zastukały obcasy.

Wszyscy wstali. Prezydent policji Max Lewald kiwnął głową swym ludziom. Pojedyncze miejsce u szczytu stołu było przeznaczone dla niego. Naprzeciwko usiadł inspektor kryminalny Heinrich Mühlhaus, a po jego prawicy – komisarz kryminalny Richard Eckmann.

Żaden z policjantów towarzyszących im przy stole nie miał teraz wątpliwości, kto się niedługo wprowadzi do pięknego mieszkania przy Ohlauufer[139].

– Wesołych świąt, moi panowie – zaczął Lewald, a kiedy nad stołem rozległo się gromkie „Nawzajem!”, ciągnął dalej: – Oto nadeszła epokowa chwila. Wybiła ostatnia godzina dla bezkarnych rzezimieszków podszywających się pod filantropów. W naszym mieście kończy się sezon dla Bractw Pierścieniowców!

Mock przez sekundę zastanawiał się, czy wyraz „pierścień” w nazwie tych organizacji rzeczywiście odnosi się do sygnetów noszonych przez ich członków.

„A może *Ring* to raczej »otoczka ochronna«? A może ring bokserski?[140]” – myślał.

– Oni udają, tylko udają dobrych wujków, pomagających biednym byłym więźniom i żołnierzom! – krzyknął Lewald. – Oni ich niby instalują w społeczeństwie na nowo! To wierutne kłamstwo! – Uderzył pięścią w stół, aż zabrzęczały kieliszki i butelki. – Oszustwa, prucie kas, kradzież kieszonkowa. – Prezydentowi drżał głos ze złości. – Handel kobietami z Bałkanów, organizowanie nocy Walpurgi, akrobatyka na fasadach domów...

„Samych peryfraz używa – pomyślał Mock, niedoszły filolog. – Zamiast powiedzieć wprost: sutenerstwo, orgie i wchodzenie do kamienic przez otwarte okna”.

– Wzbogaceni na przestępstwach mają poczucie bezkarności! – ciągnął Lewald. – Co gorsza, niektórzy komisarze z poszczególnych rewirów, nieważne kto... *Nomina sunt odiosa*[141]... Otóż ci komisarze mówią: „Pierścieniowcy trzymają w ryzach nasze dzielnice! Żaden z młodych, bezwzględnych bandytów się im nie przeciwstawi, a jeśli się odważy, to zniknie na zawsze...”. Sam słyszałem, jak jeden stary rewirowy mówił: „Pierścieniowcy odwalają za nas brudną robotę!”.

Prezydent wstał i wskazał palcem Eckmanna.

– Ten oto człowiek – powiedział wolno – pracujący w prezydium już dwudziesty siódmy rok. Zasłużony policjant, komisarz kryminalny Richard Eckmann...

Wymieniony wstał i skłonił głowę.

– Pod światłym kierownictwem inspektora kryminalnego Mühlhaua...

Ten również wstał, przyłożył rękę do serca i uśmiechnął się krzywo w podziękowaniu.

– To właśnie Eckmann doprowadził do aresztowania Eugena Schliepsa *alias* Borsuka! Wcześniej obciążył go przed panem Eckmannem swoimi zeznaniami niejaki Reddermann, odsłaniając inne jeszcze machlojki. Szef wrocławskiego Bractwa przyznał się przed panem Eckmannem do wszystkiego. I to dobrowolnie! Jego przyznanie się do winy nie było wymuszone biciem ani torturami, surowo skądinąd zakazanymi... – spojrzał groźnie na Mühlhausa, który tym razem zrobił niewinną minę – ...ale konsekwentnym i sprytnym przesłuchaniem zgodnym z teoriami psychologicznymi profesora naszego uniwersytetu Richarda Hönigswalda! Brawo, komisarzy Eckmann!

Zaczął klaskać, a za nim wszyscy uczynili to samo.

– Oddaję panu głos, komisarzy Eckmann – sapnął najwyraźniej zmęczony prezydent policji.

Ciężko dyszał przez szeroko otwarte usta. Czerwone i napuchnięte obwódki wokół oczu dodawały mu lat. Mimo że zbliżał się do sześćdziesiątki, wyglądał na dziesięć lat więcej. Wszyscy wiedzieli, że jest ciężko chory i ogłoszenie wakatu na stanowisku szefa wrocławskiej policji nastąpi niebawem.

– Tak, panowie koledzy, profesor Hönigswald to wspaniały teoretyk psychologicznych przesłuchań. Ale do rzeczy.

Richard Eckmann uśmiechał się od ucha do ucha. Był wysoki, dobrze zbudowany i ubrany elegancko. Zdawało się, że śnieżnobiały gors jego koszuli odbija światło, podobnie jak wypastowane buty. Przejechał palcami po rzadkich siwych włosach, pociągniętych pachnącą brylantyną. Był prawie w wieku Lewalda, lecz wyglądał na jego syna.

– Dziękuję panu, *Herr Polizei-Präsident*, za miłe słowa na temat mojej osoby... Ale do rzeczy.

Powtórzył te słowa z jakimś wyraźnym upodobaniem.

– Wczoraj wieczorem podczas przesłuchania Eugen Schlieps przyznał się przede mną do winy. Zaaranżował wypadek furgonu wiozącego Mittag na walkę na Kępie Strzeleckiej. Z tego powodu Mittag się mocno spóźnił...

Mock pokiwał głową. Pamiętał dobrze zniecierpliwienie i złość kibiców walących kuflami o parkiet sali gimnastycznej.

– W tym czasie, tuż przed walką, jego człowiek, pielęgniarz asystujący pięściarzom, niejaki Weidenstrass, wyposażył rękawice boksera Behringera w gips. Namoczył bandażę w gipsie i owych bandażę użył jako owijaczy. Behringer następnie zabił Mittaga, a Schlieps następnego dnia zainkasował ogromną wygraną w nielegalnym punkcie bukmacherskim przy Albrechtstrasse[142]...

Mühlhaus poruszył się niespokojnie i uzupełnił wypowiedź podwładnego:

– Nie muszę chyba panom mówić, że ten Weidenstrass oraz bukmacher, niejaki Scheche, są już u nas... – Inspektor wskazał na pozamykane okna cel, umiejscowione tuż nad brukiem dziedzińca. – No, proszę dalej, Eckmann!

– Tak jest! – Komisarz kryminalny był rozanielony. – Ale to nie wszystko, panowie koledzy! Schlieps będzie też odpowiadał za oszustwa i korumpowanie urzędników z magistratu. Otóż jako tajny właściciel zakładu pogrzebowego Posłaniec Boga otrzymywał od kilku urzędników natychmiastowe informacje o zmarłych bezdomnych i wyrzutkach społecznych. Tutaj się zresztą zapowiada kolejne bardzo ciekawe śledztwo... Dowiedziałem się bowiem, że owe wyrzutki społeczne zabijały swoich za jakieś drobne sumy, które jak ochłapy rzucał im Schlieps. Tak czy inaczej, szef Kępy Strzeleckiej chował ciała bezdomnych i prostytutek na cmentarzu w Cosel[143] i inkasował za to pieniądze od miasta. To wszystko mi powiedział wczoraj na przesłuchaniu inspektor cmentarny Johann Reddermann. Uczynił to z własnej woli. Waga jego zeznań zwalnia go z odpowiadania przed sądem...

Knoff nagle wysunął się zza stołu. Na jego twarzy malowało się szyderstwo.

– Jak to się wszystko panu pięknie udało! Wczoraj przyznał się do winy Borsuk, wczoraj też obciążył go Reddermann. Po prostu poszło jak po maśle. I to wczoraj. Po wielkanocnym maśle. Cud! Wielkanocny cud!

Mühlhaus spiorunował go wzrokiem.

– Milczeć, Knoff! – warknął. – Darujcie sobie ten smutny spektakl zawiści z uwagi na obecność pana prezydenta policji!

– Przepraszam – bąknął Knoff i dodał z całkowitą szczerością: – Mieszkam z dwoma braćmi w jednym pokoiku. Każdy by chciał mieć apartament nad Odrą...

Lewald skinął dłonią na Mühlhauusa, co oznaczało ponaglenie.

– To wszystko, panie Eckmann? – zapytał inspektor.

– Tak jest!

– Jeśli tak – Mühlhaus wstał – to pozostaje mi najprzyjemniejszy obowiązek. Oto główna nagroda za wyjaśnienie zabójstwa Georga Mittaga, ufundowana przez anonimowego dobrodzieja!

W jego palcach znalazł się duży klucz do mieszkania.

Wszyscy zaczęli bić brawo. Prezydent Lewald skinął na Knoffa i wskazał mu butelki. Młody policjant zaczął je otwierać. Gdy brawa umilkły, na dziedzińcu rozległy się odgłosy, jakie wydają korki wyciągane z szyjek. Po chwili Knoff nalał wszystkim.

– Zdrowie pana komisarza Eckmanna! – krzyknął Lewald.

Wszyscy wypili.

Oprócz Mocka.

– Nie tylko Knoff dał nam pokaz zawiści... – powiedział prezydent, patrząc na nietknięty pełny kieliszek Eberharda.

Asystent policyjny odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Chciało mu się pić. W ustach miał małą Saharę. A na stole nie było niczego oprócz wina.



Woźny i szef więzienia Josef Maron, zwany Charonem – ponieważ jak ten przeprowadzał do podziemnego, w tym wypadku więziennego, świata – zagadnął Mocka, gdy ten chciał opuścić prezydium policji:

– Mam rozkaz zatrzymać pana asystenta kryminalnego – powiedział. – Inspektor Mühlhaus mi kazał. Proszę zaczekać.

– Pić mi się chce – wychrypiał Eberhard. – Macie coś do picia, Maron?

Strażnik uniósł kankę.

– Piwka się napije pan asystent kryminalny? Co? Suszy trochę?

– Nie! – rzucił się Mock. – Wody! Tylko wody!

Maron rozłożył ręce i poszedł po Mühlhaus.

Ponieważ strażnik nie dysponował upragnioną przez Mocka ciecżą, a ten nie chciał pić wody z kranu, pozostawało mu więc tylko usiąść w stróżówce i czekać o suchym pysku na inspektora.

Mühlhaus zjawił się po krótkiej chwili. W dłoniach trzymał dwa kieliszki wina.

– Idźcie no na dziedziniec, Maron. Napijcie się wina i zjedzcie trochę gęsiego pasztetu – powiedział szef policji kryminalnej. – Poproście Knoffa, aby wam nalał. To moje polecenie. A my tutaj pogawędzimy sobie z panem asystentem policyjnym.

Maron wyszedł, a Mühlhaus spojrział spokojnie na Mocka. Postawił na biurku oba kieliszki.

– Lewald jest umierający i chce, aby mu na pogrzebie zagrały triumfalne fanfary – powiedział. – Chce być zapamiętany jako pogromca Bractwa Pierścieniowców. – Westchnął. – Schlieps zawarł z nami układ. Zniszczymy Bractwo. Ale coś za coś. Borsuk postawił warunek.

Podsunał Eberhardowi kieliszek.

– A teraz ja zawieram z panem układ, Mock – rzekł. – Przypieczętujemy go wspólnym toastem.

Eberhard czuł drapanie w gardle. Bał się, że jeśli odkaszlnie, to może wymiotować. W głowie kręciło mu się od kwaśnego zapachu wina.

– O co chodzi? – wyszeptał.

– Zapomina pan na zawsze o nekrofilii. – Mühlhaus również szeptał. – I o porwanym dziecku tej prostytutki... Zamyka pan swoje nielegalne śledztwo,

rozumiemy się, Mock? A w zamian przechodzi pan z decernatu obyczajowego pod moje skrzydła.

Stuknął kieliszkiem w szkło przyszłego podkomendnego.

– To co, Mock? Układ między nami?

Eberhard odsunął kieliszek. Powstał.

– Nie piję alkoholu. – Ledwo to wypowiedział. – Do widzenia, *Herr Kriminal-Inspektor!*

Mühlhaus zacisnął zęby ze złości. Mock nie przejął się wyrazem jego twarzy. Wyszedł na korytarz i powlókł się do ustępu, który się mieścił w skrzydle wzdłuż Ursulinenstrasse^[144].

Tam długo pił wodę z kranu. Nie dbał już o jej jakość i skutki zdrowotne. Było mu wszystko jedno.

Okienko ubikacji było otwarte. Dochodziły przez nie okrzyki rozochoconych winem mężczyzn. Dominował głos Eckmanna.

Mock otarł usta i właśnie do niego skierował te oto słowa:

– Już ja cię przejrzę na wylot, ty skurwysynu!

[129] Obecnie ul. Łowiecka.

[130] Obecnie ul. Szewska.

[131] Obecnie ul. Pszczyńska.

[132] Obecnie osiedle Księża Małe.

[133] Obecnie osiedle Kozanów.

[134] Obecnie ul. Krakowska.

[135] Obecnie ul. św. Mikołaja.

[136] Salzring – obecnie pl. Solny.

[137] Obecnie ul. Piłsudskiego.

[138] Obecnie ul. Bałuckiego.

[139] Obecnie Wybrzeże Słowackiego.

[140] Niem. Ringverein (tłumaczone w powieści konsekwentnie jako „Bractwo Pierścieniowców”) jest wieloznaczne.

[141] Bez nazwisk (łac.).

[142] Obecnie ul. Wita Stwosza.

[143] Obecnie osiedle Kozanów.

[144] Obecnie ul. Uniwersytecka.

X

Dziewczyna i kanibal

MOCK WYSZEDŁ Z POLICYJNEJ UBIKACJI i opadł ciężko na ławkę dla interesantów. Nie słuchał teraz wrzasków biesiadujących na dziedzińcu kolegów, nie palił papierosów, nie myślał o głodzie alkoholowym. Zastanawiał się nad niezwykłym zwrotem w śledztwie.

Nieoczekiwana reakcja Ludwiga Knoffa na rewelacje Eckmanna zapewne rzeczywiście była wywołana przyznaniem temuż wielkiej nagrody. Mühlhaus miał rację, nazywając ją „spektaklem zawiści”, co zresztą za chwilę potwierdził sam Knoff, narzekając na swoje kiepskie warunki mieszkaniowe.

Mock jednakże nie zwrócił uwagi – podobnie jak inni oburzeni wybuchem młodego policjanta – na emocje towarzyszące słowom o „cudzie wielkanocnym”. Istotna tu była treść wypowiedzi Knoffa. Mock zadawał sobie w duchu dwa fundamentalne pytania: „W jakiż to sposób Eckmann skłonił Schliepsa do zeznań? Czy telefoniczny szantaż, jakiemu Eberhard poddał Borsuka w Wielki Piątek, miał wpływ na bieg spraw?”.

Uważał, że zastosowanie przez Eckmanna teorii przesłuchań Hönigswalda było kompletną błagą i wynikało z chęci przypodobania się Lewaldowi. Wiedział doskonale, że wykorzystanie w praktyce idei wrocławskiego psychologa wymaga wielodniowych przesłuchań, nie zaś kilku godzin – bo na więcej Eckmann nie miał przecież czasu. Mock był pewien, że zwycięzca w kryminalnej rywalizacji musiał wobec butnego i pewnego siebie szefa Pierścieniowców użyć jakiegoś imadła. Jeśli zaś tak było, to pojawiała się kolejna wątpliwość: cóż to za imadło, które miało silniejszy nacisk niż Mockowe, czyli było skuteczniejsze niż groźba ujawnienia „braciom” nekrofilskich obrzydlistw ich szefa?

A jeśli żadnego imadła nie było? Może Schlieps zawarł jakieś tajne porozumienie z prezydentem Lewaldem, który marzył, aby zostać zapamiętanym jako pogromca Pierścieniowców? A Eckmann w tym układzie być może pełnił funkcję marionetki w rękach Lewalda, odegrał odpowiednią rolę, opłaconą apartamentem przy Ohlauufer?[145] Ktoś musiał przecież Reddermanna i Schliepsa przesłuchiwać i rzekomo zmusić tego ostatniego do przyznania się do winy! Śledztwa i przesłuchania nie mógł przecież prowadzić sam prezydent policji, ale jego marionetka już tak. Czy tak właśnie było?

Te podejrzania wywołały u Mocka poczucie głębokiej niesprawiedliwości, tym bardziej że to on wpadł pierwszy, dzięki nocnemu przesłuchaniu Reddermanna, na trop ciemnych sprawek na linii Schlieps – magistrat.

Najgorsze w tym wszystkim wydawało się to, iż sukces Eckmanna, Mühlhausa i w końcu Lewalda wykluczał Mocka z dalszego prowadzenia śledztwa w sprawie małej Bettiny Rossenbach, o czym inspektor powiedział *expressis verbis*[146]. Innymi słowy, układ zaproponowany przez Schliepsa mógł brzmieć następująco:

– Dobrze, dobrowolnie się przyznam do ustawienia walki, niech to wykaże jakiś wasz faworyt, na przykład Eckmann... Dorzucę też machlojki przy pogrzebach bezdomnych. Przyznam się zatem i pójdę na kilka miesięcy do więzienia, ale przestaniecie węszyć wokół afery nekrofilskiej. Każecie Mockowi zapomnieć o dziecku i wrócić do spisywania dziwek i pedałów.

Myśl o porzuceniu śledztwa w sprawie porwanego niemowlęcia bolała go prawie fizycznie, była nie do zniesienia, równałaby się też gorzkiej, bezwarunkowej kapitulacji i utracie honoru. Nie brał tego w ogóle pod uwagę, usiłował gorączkowo się skupić na serii pytań, jakie wywołała dzisiejsza uroczystość na dziedzińcu.

– Tu musi być coś więcej – szepnął. – Zarzuty nekrofilskie można osłabić choćby poprzez skorumpowanie albo po prostu zmuszenie Lorkego i jego posterunkowych, aby któryś z nich przyznał, że opuchnięty Schlieps zgłosił jednak napad w rewirze siedemnastym i że cała akcja została zaplanowana przeze mnie. Wybitni prawnicy będą mieli tutaj wielkie pole do popisu, a ich prywatni detektywi

mogą odkryć intrygę z Wirthem i Zupitzą. Dlaczego zatem Borsuk mimo swych wielkich możliwości dobrowolnie oddał się w ręce policji? Dlaczego ten słynny filantrop, który zdołał zdobyć tak znakomitą reputację u możnych tego świata, znów ją utracił, i to z własnej woli? Tu musi chodzić o coś więcej...

Eberhard wiedział, że o to „więcej” musi zapytać samego Eugena Schliepsa.

Miał do niego niedaleko, raptem sześćdziesiąt metrów, bo o tyle od ubikacji, gdzie pił wodę z kranu, była oddalona aresztancka cela Borsuka.

Pokuśtykał na dziedziniec, gdzie, jak sądził, spotka Marona i poprosi go o klucz do tego miejsca odosobnienia.

Spojrzał na towarzystwo przy stole. Lewalda, Mühlhausa i kilku kryminalnych już tam nie było. U szczytu siedział uśmiechnięty Eckmann, a obok niego Ulbrich i Amelung. Mniej znani Mockowi komisarze kryminalni Rudolphi, Verth i Polke śmiali się z jakiegoś dowcipu i wypuszczali gęste kłęby dymu z cygar.

Szef aresztu Maron siedział nieco z boku, obok Smolorza, gawędził z nim i z przyjemnością zjadał kawał pasztetu z gęsich wątróbek. W pewnym momencie sięgnął po butelkę wina, aby napełnić swój pusty kieliszek.

– Co jest, strażniku?! – krzyknął nieoczekiwanie dzisiejszy triumfator. – Wciąż jesteście na służbie! Wystarczy jeden kieliszek.

Josef Maron odłożył wolno butelkę. Zacisnął usta. Zatrzęsa się lekko jego mała i dobrze przycięta bródka. Wstał, aby wyjść.

– Nie przesadzaj, Richard – zawołał bełkotliwym głosem Amelung, mocno już zaczerwieniony na twarzy. – Niech się napije chłopina!

Maron bez słowa ruszył w stronę wyjścia. Najwyraźniej mocno go dotknęły wywyższanie się Eckmanna i paternalizm Amelunga. Mock poczuł, że krew napływa mu wolno do głowy. Opanował się jednak i z drwiącym uśmiechem spojrział na Eckmanna.

– Nie wystarczy panu salony przy Ohlauufer[147], co? – powiedział, po czym wskazał okna mieszkania prezydenta Lewalda na drugim piętrze gmachu prezydium: – Tam pan mierzy, nieprawdaż?

Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę, łącznie z Charonem, który już zatrzymał się w drzwiach.

– Nie za szybko, panie Cezarze? Nie za prędko na dumną deklarację *veni, vidi, vici*, co?

Eckmann wstał i odparł ostro:

– O co panu chodzi, Mock? Przypominam, że mówi pan do funkcjonariusza starszego rangą!

– Sam słyszałem, jak pański zwierzchnik pozwolił panu Maronowi korzystać z jadła i napitku. – Mock nie przestawał się drwiąco uśmiechać. – Jego rozkaz może znieść tylko prezydent! A pan jeszcze nim nie jest!

Odwrócił się w całkowitej ciszy. Opuścił dziedziniec wejściem, z którego było najbliżej do stróżówki Marona.

Szedł tam, pogwizdując. Był nawet zadowolony z tego starcia. Wezwanie strażnika na stronę, aby dyskretnie go poprosić o klucz do celi Schliepsa, mogło wzbudzić podejrzenia, a nawet zwykłą ciekawość biesiadujących policjantów. Tego zaś Mock chciał uniknąć.

– Wielki mi służbista – syknął Maron do Eberharda, gdy już wszedł za swoją ladę. – A sam sprzeniewierza się regulaminowi. Jak w sprawie, o której panu niedawno mówiłem...

Mock podrapał się w głowę. Nie miał pojęcia, o czym Maron mówi. Wiedział, że dla wywołania czegoś z pamięci najlepszy jest prosty manewr – skupić na czymś wzrok.

I zamilknąć.

Idąc za tym przeświadczeniem, spojrzął w otwartą księgę, w której każdy pracujący w prezydium funkcjonariusz zapisywał, kiedy pobrał i kiedy oddał klucz. Wśród zapisów rozpoznał swój równy charakter pisma. Jego pamięć wciąż była jednak jak *tabula rasa*.

– O jakiejże to sprawie opowiadał mi pan niedawno? – zapytał.

Maron patrzył przez chwilę w milczeniu na swego rozmówcę. Nagle uśmiechnął się lekko.

– No tak! Mówiłem panu ostatnio, kiedy pan tu nocował. Ale pan nie pamięta... Był pan trochę... Ten tego...

Uderzył się w szyję kantem dłoni.

– Nazwijmy rzecz po imieniu – rzekł poważnie Eberhard. – Byłem pijany jak bela. Jak zwierzę! Jak jakieś bydlę!

Maron zacisnął usta.

– Nie chciałem pana urazić, *Herr Polizei-Assistent* – powiedział nieco wystraszony. – Wie pan, jak go szanuję i lubię... Nie chciałem. Naprawdę.

Mock uśmiechnął się ze smutkiem.

– Byłem wtedy pijaną świnia, panie Maron, ale dziś nie jestem. Proszę, niech mi pan wszystko powie! To co wtedy.

Strażnik, zacinając się nieco, zrelacjonował, jak to przed dwoma tygodniami późnym wieczorem Eckmann przyszedł do aresztu. Towarzyszyła mu umalowana i kolorowo ubrana kobieta.

– Po prostu kurwa – stwierdził Maron. – Mówił do niej Dina.

Mock otarł pot z czoła.

– Niech pan da spokój. – Ton jego głosu był łagodny, lecz stanowczy. – Niech pan tak brzydko nie określa przy mnie tej kobiety. Proponuję ładne słowo „kurtyzana”...

– Dobrze – odparł Maron. – No to przyszedł z kurwyzaną...

Eberhard skrzywił się, słysząc to przejęzyczenie, ale już nie poprawiał.

– Wziął ode mnie klucz do celi i tam się z nią zamknął.

Strażnik w kilku słowach opisał swój ówczesny stan ducha. Jednym z częstych przymiotników był „zagniewany”.

– Tak, byłem zagniewany. Słyszałem, jak ją przesłuchiwał. Słyszałem klaśnięcia i płacz. On ją bił, policzkował, *Herr Polizei-Assistent*! A potem ją wyciągnął z celi. Słaniała się na nogach. Miała krew na wargach.

Maron sięgnął po papierośnicę, otworzył ją i podsunął Mockowi. Ten wysupłał spod gumki papierosa. Strażnik potarł zapałkę o draskę, podał policjantowi ogień i sam zapalił.

– Właśnie to panu powiedziałem... Wtedy, gdy pan był nie tentego – Wraz z każdym słowem z jego ust wydostawała się chmurka dymu. – Tylko tyle. Bom się zdziwił nieprzyjemnie. Ja jestem za regulaminem. A to przecież wbrew regulaminowi, gdy kryminalny przesłuchuje i bije kurwyzaną, zamiast sprawę przekazać ludziom od Ilssheimera. Do obyczajówki... Panu na ten przykład. I pan mi wtedy, kiedy był pan ten tego... Pan mi powiedział, że słusznie się zagniewałem, zadziwiłem, i słusznie, że wszystko żem panu powiedział. A teraz to już sam nie wiem, czy słusznie. To jakbym obgadywał wielkiego zwycięzcę.

Mock wyciągnął ku niemu rękę i uściśnął mocno jego prawicę.

– Tak mówiłem po pijanemu, panie Maron – rzekł. – I tak mówię teraz na trzeźwo. Słusznie pan zrobił, że mi o tym powiedział.

– To dobrze. – Szefowi aresztu najwyraźniej ulżyło.

– A, jeszcze jedno – dorzucił Mock. – Czy wie pan coś o talentach muzycznych Eckmanna? Może gra na akordeonie?

– Nie – odparł zapytany. – On chyba na niczym nie gra. Wielu policjantów śpiewało i grało na różnych instrumentach na dziedzińcu... Na różnych świętach państwowych. Eckmann nigdy.

Mock kiwnął Maronowi głową i zaciągnął się głęboko jego papierosem. Kiepski tytoń mu nie smakował. Ale wypalił do końca.

Jego ulubione i mocne Bergmann Privat były o wiele lepsze. Gdyby jednak wyciągnął jeden z nich, pokazałby Maronowi, że jego papierosy są tańsze i gorsze. A za nic nie chciał okazać się drugim Eckmannem, który właśnie przed chwilą, odmawiając Maronowi napitku, podkreślił ich nierówny status. Nie chciał wyjść na kogoś takiego jak dzisiejszy triumfator – kogoś, kto w Mockowej hierarchii wartości jest godny najwyższej pogardy.

Damskiego boksera.



Schodząc z kluczem do aresztanckich cel, czuł wiatr w żaglach. Informacje od Marona były jak pochodnia, która mogła oświetlić drogę do ciemnych zakamarków duszy Richarda Eckmanna albo przynajmniej doprowadzić do odkrycia jakichś jego nielegalnych działań.

Co więcej, szukanie podłych czynów komisarza – o ile takowe zaistniały – zdawało się nie przysparzać na samym początku większych trudności. Eberhard zidentyfikował szybko ofiarę damskiego boksera. Imię Dina było bardzo rzadkie i nosiły je wyłącznie przedstawicielki narodu wybranego.

Mock znał pewną żydowską prostytutkę o tym imieniu i o nazwisku niezbyt pasującym do kobiety – Schwarzbart^[148]. Nawet gdyby to nie ją Eckmann pobił w celi, to jej imię może się stać nicią Ariadny w labiryncie nowego śledztwa.

Wiedział, gdzie mieszka ta dziewczyna, i zamierzał złożyć jej wizytę. Gdyby zeznała coś obciążającego Eckmanna, Mock miałby imadło na „Cezara” i mógłby wydobyć od niego szczegóły układu Schlieps – Lewald. Dzięki nim zrozumiałby następnie, dlaczego nakazano mu porzucenie dalszego śledztwa w sprawie porwanego niemowlęcia.

„Być może Schlieps odda mi dziecko, jak obiecał? – przyszła mu do głowy nagła myśl. – Dlaczego właściwie nie miałby tego zrobić? Przecież było mu potrzebne tylko do tego, aby trzymać w szachu Hertę... A teraz, kiedy idzie do więzienia, imadło na nią nie ma już znaczenia...”

Ze zgrzytem zamka otworzył kluczem jedną z cel. Znał ją doskonale. To tutaj przed sześcioma laty uczestniczył w dzikiej orgii z kilkoma prostytutkami naraz, co omal się nie skończyło dla niego zawodową i życiową katastrofą^[149].

Odpędził te wspomnienia. Spojrzał na Borsuka siedzącego na jednej z dwóch prycz. Więzień był wciąż ubrany w uroczysty czarny surdut z żonkilem w butonierce. Z nogawek sztuczkowych spodni z mankietami wystawały lśniące lakierki. Obok pryczy, na stołku, leżał jego cylinder.

Mock usiadł po przeciwnej stronie celi, na drugiej pryczy. Jeśli chodzi o elegancję niczym nie ustępował więźniowi. W porównaniu z surdudem Schliepsa jego szary garnitur w czarne prążki tchnął nowym powiewem mody, podobnie jak koszula w szare szerokie pasy. Czarny kolor krawata oraz jego węzeł windsorski, wsunięty pod biały sztywny wymienny kołnierzyk, były jednak elementami konserwatywnymi w czasach, gdy młodzi dandysi preferowali niechlujne podwójne węzły i krzykliwe barwy, osobliwie – w różnych odcieniach żółci. Obaj panowie nie pasowali do otoczenia – ponurej celi więziennej o nieotynkowanych, porysowanych ścianach, przenikniętych smrodem wilgoci i fekaliów.

– Przyniosłeś mi sygnet, złodzieju? – Opuchnięta twarz Schliepsa rozbłysła krzywym uśmiechem. – Jeśli tak, to możemy porozmawiać... Jeśli nie ...

Zawiesił głos. Mock pstryknął od dołu palcem w podwinięte na bokach rondo homburga. Nakrycie głowy zsunęło mu się prawie na potylicę.

– Pytasz, gdzie jest sygnet? – mruknął. – A może najpierw mi powiesz, gdzie jest moje dziecko? I wyjaśnisz, po co je w ogóle porwałeś? Jeśli tak zrobisz, to wtedy sobie przyjemnie pokonwersujemy...

Schlieps oparł się o ścianę. Nie patrząc na Mocka, zaczął wolno cedzić słowa:

– Jeślibym jutro powiedział twojemu szefowi... Temu gliniarzowi z fajką... Jeślibym go zawiadomił, że mnie nachodzisz, Mock, męczysz mnie jak dokuczliwy komar... To on się wkurwi. I to ostro wkurwi. Zawarłem z nim umowę. Jednym z jej punktów jest to, że nie będę już oglądał twojej wrednej gęby.

Rzucił szybkie spojrzenie na Eberharda.

– Nie zrobię tego jednak – powiedział. – Nie poskarżę się, że mi dokuczasz. Rozumiem cię, Mock. Sam mam dziecko, wprawdzie dorosłego syna... Ale to jednak dziecko. I obiecuję, dostaniesz swoje w tym tygodniu. Koniec rozmowy, Mock!

Policjant poruszył się gwałtownie, co Schlieps źle zinterpretował.

– Nie próbuj mnie tknąć jak twoi goryle – rzekł szybko. – Bo wycofam się z układu. A gliniarz z fajką wtedy cię zdusi jak karalucha.

– Skąd znasz Eckmanna? – zadał nieoczekiwane pytanie Eberhard.

– To ten, co mnie przesłuchiwał? – odpowiedział więzień pytaniem na pytanie.

Mock zapalił swego bergmanna i wyciągnął papierośnicę ku Schliepsowi, ale ten pokręcił przecząco głową.

– Dlaczego nie jesteś konsekwentny? – Policjant przystąpił do podstępnego ataku. – Najpierw warczysz na mnie: „koniec rozmowy!”, a potem jednak kontynuujesz pogawędkę. Dlaczego nie powtórzyłeś: „koniec rozmowy!”, gdy zapytałem cię o Eckmanna? Zamiast powiedzieć mi: „spierdalaj!”, ty nagle chcesz pogadać?

– Może czuję się samotny w tym więzieniu i chciałbym z kimś zamienić dwa słowa? Z kimkolwiek, nawet z takim kundlem jak ty...

Mock uśmiechnął się szeroko.

– Chcesz pogadać? Czujesz się samotny? No to pogadajmy! Może się nawet zakumplujemy? Proponuję taki temat do dyskusji: komisarz Richard Eckmann. Co o nim sądzisz?

– Nic nie sędzę! Spotkałem go po raz pierwszy, gdy po tej walce przylazł do mnie następnego dnia z trzema innymi bykami i gips mi wygrzebał spod ringu!

Westchnął. To wspomnienie nie było dla niego miłe.

– Powiem ci, jak było, Mock! Daj mi jednak cygareta!

Eberhard otworzył papierośnicę.

– Ruszyło mnie sumienie z tym bokserem. – Schlieps wypuścił pod okienko celi obfity obłok dymu. – To wszystko nie tak miało być. Behringer miał go trzasnąć w ryj, znokautować, ale nie zabić, do cholery! Mój pielęgniarz, ten idiota Weidenstrass, zbyt gruby gips mu przyrządził. I Mittag wykorkował. Martwiłem się tym, ruszyło mnie sumienie. Biedny chłopak ten Mittag! Nie tak to wszystko miało być...

– I z tym skruszonym sumieniem popędziłeś do Eckmanna zeznawać, co? Do policjanta, którego prawie nie znasz, tak? A czemu nie do szefa kryminalnych, do samego gliniarza z fajką? Bo do mnie to chyba nie chciałeś, nie?

– Powiem ci więcej, Mock! Poszedłem z tym moim skruszonym sumieniem, jak mówisz, do samego prezydenta policji. A on mi przydzielił właśnie Eckmanna. Nie wiem, dlaczego akurat jego! Szkoda, że nie ciebie, miałbyś teraz przyjemne mieszkanie... Ale z pretensjami to do Lewalda!

– Sprytny jesteś. – Eberhard zdjął kapelusz i wachlował się nim przez chwilę. – Wiesz, że tego nie sprawdzę... Nie pójdę do prezydenta policji i nie zapytam go: jakimież to względami kierował się pan prezydent przy wyborze Eckmanna? Może połową mieszkania dla córeczki?

Schlieps aż cmoknął z zachwytu.

– Ja jestem sprytny, a ty bystry. Jak to wszystko wspaniale rozszyfrowałeś! Jak miło się z tobą rozmawia!

– Czemu porwałś Hertę i jej dziecko? – W głosie Mocka zabrzmiały twarde nuty.

Borsuk zacisnął usta. Nagle przestało być miło.

Nie odezwał się już do Eberharda ani słowem.



Asystentowi policyjnemu sprzyjał dzisiaj los, a jego personifikacją był Josef Maron. Strażnik nie tylko podzielił się z nim wiadomością o „kurwyżanie” Dinie, która mogła obnażyć słabe punkty Eckmanna, ale już gdy Eberhard opuścił celę Schliepsa, utwierdził Mocka w przekonaniu, iż król Pierścieniowców beczelnie kłamie.

Przesłanki były następujące: Eberhard zaczął pracę w policji w 1906, w dwudziestym trzecim roku swojego życia^[150], i był prawie stuprocentowo pewien, że Richard Eckmann już wówczas służył w policji kryminalnej. Nie utrzymywali ze sobą żadnych pozasłużbowych kontaktów, Eckmann był o kilkanaście lat starszy.

Maron potwierdził intuicję Mocka, iż Eckmann podjął obowiązki policyjne bardzo dawno, a ściśle mówiąc – w tym samym roku, w którym po raz pierwszy

również i noga strażnika postąpiła w prezydium policji, czyli w 1892. Co więcej, szef aresztu utrzymywał, że dzisiejszy triumfator pełnił swoje obowiązki bez przerwy aż do dzisiaj, czyli przez dwadzieścia siedem lat. Do wojska w czasie wojny jakimś cudem nie został zmobilizowany.

Mock omal nie uściskał Marona.

Radość Eberharda brała się z takiego oto wnioskania: jeśli Eckmann pracował bez przerwy w prezydium policji od końca minionego wieku i nie poszedł na wojnę, to służył również w inspekcji kryminalnej pięć i cztery lata temu, czyli w czasie gdy Eugen Schlieps pracował jako laborant w Instytucie Lekarsko-Sądowym. Każdy policjant z racji swych obowiązków musiał bywać w królestwie Lasariususa. A jeśli bywał, to znał wszystkich laborantów, których nigdy nie pracowało tam zbyt wielu – dwóch, najwyżej trzech. Laborant Schlieps musiał zatem znać policjanta Eckmanna. Tymczasem w rozmowie z Mockiem energicznie temu zaprzeczył, twierdząc, iż widział go po raz pierwszy po śmiertelnej dla Mittaga walce.

Eberhard, pokrzepiony logiczną zwartością tego rozumowania, pożegnał serdecznie Marona i wyszedł na rozświetloną Schuhbrücke^[151].

Nadszedł już najwyższy czas, aby dowiedzieć się czegoś więcej o ciemnych sprawkach Eckmanna. A o nich zapewne to i owo mogłaby zeznać niejaka Dina Schwarzbart. Jej dane, czyli adres zamieszkania i wpisy do książeczki zdrowia, Mock znalazł we własnym archiwum decernatu obyczajowego.

Spod budynku hali targowej przy Ritterplatz^[152] wziął dorożkę i pojechał przez most Piaskowy w stronę Gneisenauplatz^[153] i Blücherstrasse^[154]. Mimo że niewiele zostało mu pieniędzy, a do kolejnej wypłaty był prawie tydzień, nie wahał się skorzystać z tego środka lokomocji. Dina Schwarzbart mieszkała dość daleko – na Rebenstrasse^[155] 12 – czyli prawie dwa kwadransy na piechotę. Kawałek żelaza, który wciąż tkwił w udzie Mocka, doskwierał mu dzisiaj wyjątkowo i nie zachęcał do długich spacerów.

Fiaker zaciął konia i ruszyli. Jechali wolno, bo ludzie wielkimi, nierzadko pijanymi gromadami tłoczyli się na nadodrzańskich bulwarach.

Przewalali się przez most Piaskowy i przez most Gneisenaua^[156], blokując ruch dorożek i nielicznych dzisiaj tramwajów. Wrocławianie sprawiali wrażenie, jakby nie mogli się pogodzić z faktem, iż święta nieuchronnie mają się ku końcowi i jutro trzeba będzie znów pójść do pracy. Zachłannie się zatem rzucali na wszelkie rozrywki – pili, jedli, przekrzykiwali się i tańczyli na każdym skrawku wolnej przestrzeni, choćby przy akompaniamencie organków.

Mieszkańskie bachanalia odbywały się też na skwerze z lewej strony Gneisenauplatz^[157]. Kwartet amatorskich muzyków, wśród których dominował otyły akordeonista, wygrywał skoczne melodie. Eleganci w kapeluszach panama ściskali wyfiokowane panie. W radosnych, szerokich uśmiechach odsłaniali zęby: oni złote, one zaś – obficie pomazane szminką.

Przy wózku z preclami i kielbaskami tłoczyli się ludzie gotowi wydać ostatnie fenigi na te średniej jakości specjały. Od nóg tancerzy odbijały się psy i wrzeszczące dzieci, ścigające się wśród tumanów kurzu. Z boku stał znudzony kataryniarz, który czekał, aż muzykanci się zmęczą i będzie mógł dalej uprawiać swoją sztukę.

Mock wyobraził sobie siebie samego, jak spocony podryguje w tańcu, a potem siada gdzieś przy stole nad spienionym kuflem, a jego mózg tną blaszane dźwięki katarynki. Poczul mdłości.

– No, jedź pan! – ponaglił fiakra. – Bo do jutra nie zdążymy!

Przejechali skrzyżowanie ze Sternstrasse^[158] i zanurzyli się w zabudowę Blücherstrasse^[159] tak gęstą i wysoką, że słońce, padające teraz od zachodu, pograżało ulicę w lekkim półmroku. Za Kreuzburger Strasse^[160] dorożka skręciła w lewo i zatrzymała się przed Gimnazjum Fryderyka II^[161].

Mock zapłacił dorożkarzowi i poszedł na lewo, wzdłuż żelaznego parkanu szkoły. Stamtąd przeszedł na podwórko, skąd dochodził donośny brzęk butelek. Mieściła się tutaj fabryczka i rozlewnia lemoniady Sinalco, która to nazwa,

pochodząca od łacińskiego zwrotu *sine alcohole*[162], bardzo mu dzisiaj przypadła do gustu.

Za zakładem wśród licznych oficyn znalazł tę, której szukał – z tabliczką Rebenstrasse[163] 12. Była nieco cofnięta, przez co tworzyła miniaturowe podwórko, na którym teraz aż się kłębiło od rozkrzyczanych dzieci.

Eberhard wypatrzył jednego z malców – takiego, który wydawał się najbardziej rezolutny. Chwycił go za kołnierz i przytrzymał.

– Wiesz, mały, gdzie tu mieszka panna Dina Schwarzbart? Powiedz, a na cukierka ci dam!

Chłopiec miał nie więcej niż osiem lat. Spojrzał na Mocka ze zrozumieniem i krzyknął:

– Mój brat i moja siostra też lubią cukierki!

Był rzeczywiście rezolutny. Mock skinął głową, wyjął pugilares, wyliczył małemu trochę moniaków i poinformowany, że to na parterze, po lewej stronie, udał się do mieszkania Diny Schwarzbart.

Otworzyła mu młoda blondyna w ciąży z gęstymi tłustymi włosami, z których wystawało kilka kolorowych spinek. Uśmiechnęła się do Mocka, odsłaniając sine dziąsła i dość długie zęby. Dłoń wsadziła sobie za pasek szerokiej, rozłożystej spódnicy. Szczercząc swe budzące respekt kły, odchyłała gumkę, odsłaniając halkę.

– No i, cesarzu? Na fiku-miku ochota?

Mock pokazał policyjną odznakę, a kobieta odskoczyła i usiadła na łóżku koło trzyletniej może dziewczynki w podartej sukience.

Izba była bardzo wąska i wysoka. Okno na jej końcu wychodziło na ceglany mur sąsiedniej kamienicy oddalony najwyżej o pięć, może dziesięć metrów.

Pod oknem stało duże łóżko z pościelą bez poszewek. Na ścianie wisały na solidnych gwoździach ubrania gospodarzy i dziecinne ciuszki. Tworzyły wielkie kłębowisko płaszczy, sukienek i spodni, nad którymi wznosił się wielki cebulasty melonik, najpewniej pana domu.

Ten siedział tuż przy drzwiach na skrzyni zbitej z desek. Ubrany był w podkoszulek, szelki i przykrótkie spodnie, spod których wychodziły bosa stopy. Nie patrzył na Mocka. Drapał się po zarośniętym policzku i pokasływał z cicha.

Tę norę w połowie jej wysokości przecinały liczne sznury, na których suszyła się bielizna. Po szybie okna spływała wilgoć.

Po lewej ręce Mocka stał duży kafłowy piec z fajerkami. Pyrkał na nim garnek, z którego rozchodziła się wokół woń gotowanej kapusty. Obok znajdowały się małe drzwi, prowadziły najpewniej do składziku na węgiel. Zza tych drzwi doszedł teraz jęk rozkoszy.

– Chcę się widzieć z Diną Schwarzbart! – powiedział policjant i zapytał, wskazując palcem na małe drzwi: – Ona tam teraz zarabia na życie?

Suchotnik w ogóle nie zareagował na to pytanie, natomiast jego kobieta rozdarła się piskliwym głosem:

– Nie ma tej wywłoki! Tej Żydowicy jednej! Wyrzuciliśmy na zbity pysk! Leczyć się nie chciała, cała w strupach chodziła, klientów mi odstraszała, Żydowica przeklęta!

Mock zdjął kapelusz i przesunął dłonią po gęstych włosach. Obawiał się, że na każde pytanie otrzyma równie ekspresyjną odpowiedź.

– Kiedy ją wyrzuciłaś? Dawno? – zapytał, patrząc na jej córeczkę.

Dziecko siedziało nieporuszone i wpatrywało się w zwał ubrań, wiszących na gwoździach. Temperament odziedziczyło zapewne po ojcu.

– A bo ja wiem? – Gospodyni miała wciąż podniesiony głos. – Tydzień... Tydzień będzie! Może dwa! Kto by tam, kurwa, liczył!

– Jaki tydzień – nieoczekiwanie odezwał się mężczyzna. – Toż to miesiąc będzie, jakeśmy ją wywalili...

Jego kobieta sięgnęła ręką na parapet okna. Uniosła do ust słoik z piwem i pociągnęła duży łyk. Beknęła donośnie.

– No i poszła sobie! Bez pożegnania, suka jedna! Tu spała. – Wskazała słoikiem drzwiczki. – W nyży! Dach jej daliśmy nad głową, a ona tak ani „do widzenia”, ani

„pocałuj w dupę”!

Za drzwiami doszedł teraz jęk bólu. Mockowi zrobiło się gorąco. Chwycił za klamkę.

– To nic! – krzyknęła kobieta. – Starucha też tam jest! I jęczy, bo chora!

Mock otworzył drzwi i schylając się mocno, wszedł do nyży.

Lampa naftowa oświetlała bezokienne pomieszczenie. Na górze pierzyn i poduszek leżał brzuchaty mężczyzna z brodą. Kobieta ze sporą nadwagą ujeżdżała go, jęcząc przenikliwie i wznosząc wzrok ku czarnemu od sadzy sufitowi. Nad łóżkiem wisiała półka z dużym budzikiem i lustro, za które zatknięty był tani wachlarz z japońskimi motywami.

Najwyraźniej towarzystwo innych osób kobiecie nie przeszkadzało. Trwała pilnie przy swej robocie.

– To ona, to ona tak kwęka z bólu... Stara jest, chora... – Gospodyni stanęła w drzwiach i wskazała coś słoikiem, roniąc kilka kropel piwa.

Dopiero teraz Mock zauważył wychudzoną kobietę, która leżała na sienniku przy łóżku. Kwiliła cicho i rozpiniała guziki koszuli, jakby jej było gorąco. Z rozcięcia wypływała chuda workowata pierś i sterczały kości obleczone skórą.

– Kto to? – zapytał Eberhard. – Te kobiety tutaj?

– Ta, co się rucha, to moja siostra, a ta, co zdycha, to nasza matka...

Leżący mężczyzna poruszył dłonią. Nagle coś zabłysło. Mock podszedł bliżej, uważając, by nie potrącić nocnika, stojącego przy łóżku. Na palcu leżącego dojrzał sygnet z wygrawerowanym napisem „Kępa Strzelecka”. Klient był najwyraźniej Pierścieniowcem. Kopulująca para nie zwracała na niego uwagi. Mężczyzna sapał i przewracał oczami najwyraźniej pijany. Na twarz kobiety opadały włosy – równie gęste i czyste jak u siostry.

Mock szybko wyszedł z nyży, zamknął ją i zaczerpnął powietrza przepojonego oparami gotującej się kapusty. Wypuścił je z widoczną ulgą. Wolał być tutaj i oddychać wonią nędznego mieszkania niż w tamtej norze – gdzie smród niemytych, pocierających o siebie ciał mieszał się z octowym odorem śmierci.

– Przychodzili do Diny klienci z takimi pierścieniami jak u tego obsługiwanego przez twoją siostrę? – zapytał, kiedy już się wysapał do woli.

Kobieta najwyraźniej nie rozumiała pytania.

– Do Diny Schwarzbart przychodzili panowie z pierścieniami?

– A różni przychodzili – odezwał się mężczyzna. – I z pierścieniami, i bez...

Mock spojrział na niego. Już chciał zadać kolejne pytanie, gdy usłyszał głos gospodarza.

– Ktoś ją zabił.

Eberhard oniemiał.

– Skąd to wiesz? Wyrzuciłeś ją z domu i ktoś ją wtedy zabił?

Mężczyzna zakasłał w odpowiedzi.

– Gdzieżby tam mój Erwin kogoś wyrzucił! – krzyknęła znów kobieta, a w jej głosie zadźwięczało szyderstwo. – Co z niego za chłop? Troki od kalesonów, nie chłop! Chory, cichy! To jego wyrzucają! Znów go wywalili z roboty!

– Przestań przeklinać, pijaczko! – nie wytrzymał Mock. – I mów, skąd wiadomo, że ktoś zabił Dinę Schwarzbart?

– A wszyscy wiedzą – odparła kobieta. – Wszyscy. Cała ulica to śpiewa. Ulica swoje wie. Kiedyśmy ją wyrzucili, to niedługo się zaczęły te śpiewy. No idź pan, panie ładny, na pierwsze lepsze sąsiednie podwórko. No idź pan! I powiedz pierwszemu lepszemu dziecku, żeby zaśpiewało o dziewczynie i o ludożercy. Każde zaśpiewa! I to bez katarynki. O dziewczynie i o ludożercy. I wie pan, jakie imię będzie w tej piosence? Dina! Dina, panie ładny! Ulica swoje wie.

Mock pogłaskał po główce osowiałą dziewczynkę i wyszedł z izby.

Wsiadł do tramwaju dziesiątki i pojechał w stronę Mauritiusbrücke^[164], gdzie miał zamiar się przesiąść do piątki, jadącej na Klein Tschansch^[165].

Tramwaj zatrzymał się na przystanku przy Gneisenauplatz^[166]. Mock przez okno ujrzał skwer, na którym nie było już ani muzykantów, ani tancerzy. Za to wciąż siedział tam kataryniarz.

Policjant wyskoczył z tramwaju i podbiegł do niego.

– Niech mi pan zaśpiewa piosenkę o dziewczynie i kanibalu! – Wręczył mu ostatnie drobne z pugilaresu. – Zna pan?

– No masz! – oburzył się kataryniarz. – Kto by jej nie znał!

Po chwili Mock słuchał rzewnej piosnki:

*Była raz Dina, piękna dziewczyna,
Co to nie każdy mógł ją mieć,
Czekała ciągle na księcia z bajki,
A tu kanibal plótł na nią sieć.*

Ludzie przystawali i słuchali. Jakaś pani o szczególnie miękkim sercu nawet zachlipała.

Mock wyjął notes.

A kataryniarz śpiewał i śpiewał. O Dinie osaczonej przez kanibala, o jej dobrym sercu, o nędzy, która ją zmusiła do oddawania się za pieniądze, o narzeczonym zabitym na wojnie i w końcu o krwiożerczości potwora grasującego wśród ciemnych podwórek Oder Vorstadt^[167] i żywiącego się mięsem młodych kobiet.

Nic więcej, żadnych wskazówek.

Mock schował notes.

Ulica swoje wiedziała. Niestety, niezbyt dużo.

[145] Obecnie Wybrzeże Słowackiego.

[146] Bez ogródek (łac.).

[147] Obecnie Wybrzeże Słowackiego.

[148] Czarna broda (niem.).

[149] Zob. M. Krajewski, *Mock*.

[150] Więcej o okolicznościach podjęcia przez Mocka obowiązków policyjnych zob. M. Krajewski, *Mock. Pojedynek*.

[151] Obecnie ul. Szewska.

[152] Obecnie pl. Nankiera.

[153] Obecnie pl. Bema.

[154] Obecnie ul. Poniatowskiego.

[155] Obecnie ul. Wygodna.

[156] Gneisenaubrücke – obecnie mosty Młyńskie Południowy i Północny.

[157] Obecnie pl. Bema.

[158] Obecnie ul. Sienkiewicza.

[159] Obecnie ul. Poniatowskiego.

[160] Obecnie ul. Kluczborska.

[161] Dawniej Szkoła Podstawowa nr 56, potem Gimnazjum nr 15, obecnie Centrum Kreatywności „Talent“.

[162] Bez alkoholu (łac.).

[163] Obecnie ul. Wygodna.

[164] Obecnie most Oławski.

[165] Obecnie Księża Małe.

[166] Obecnie pl. Bema.

[167] Przedmieście Odrzańskie, obecnie Nadodrze.

XI

W górę po zboczu

MOCK OBUDZIŁ SIĘ W GABINECIE numer 221, który dzielił z Kurtem Smolorzem.

Noc przespał znośnie w swoim biurze pod kocem na wąskim rozkładanym łóżku. Wielu policjantów sypiało w miejscu pracy, zwłaszcza w czasach strasznego głodu mieszkań. Ten zwyczaj był jednak od niedawna zakazany i ostro tępiony, zwłaszcza przez szefa decernatu obyczajowego Josefa Ilssheimera. Radca policyjny, gdy rano nakrył któregoś ze swoich ludzi, darł się wniebogłose:

– Mój wydział to nie tania noclegownia, do cholery!

Z tego właśnie względu oraz z powodu częstego alkoholowego upojenia Mock wolał nocować, mimo wszelkich niedogodności, raczej w jakiejś pustej areztanckiej celi, którą mu udostępniał zaprzyjaźniony Josef Maron. Dzisiaj jednak było inaczej. Cały pierwszy tydzień po świętach radca Ilssheimer spędzał wraz ze swoją rodziną u brata w Bawarii, nie było zatem przeciwskazań do nocowania w prezydium, a powód do tego owszem był, i to nader istotny.

Mock wydał poprzedniego dnia prawie wszystkie pieniądze. Stać go było jedynie na bilet tramwajowy do domu, ale już na bilety potrzebne nazajutrz musiałby od kogoś pożyczyć. W Klein Tschansch^[168], które to osiedle traktował wyłącznie jak sypialnię, i to tymczasową, nie mieszkał nikt, z kim byłby nawet w tak niewielkiej komitywie, aby pożyczyć na bilet i na papierosy. Poproszenie zaś ojca o pieniądze uznałby za upokorzenie, bo stary, owszem, nie poskąpiłby paru fenigów, ale nie omieszkałby przy tym wygłosić jakichś głupich uwag.

Eberhard wolał zatem pomęczyć się na wąskim łóżku polowym i wśród kolegów z pracy znaleźć później kogoś, kto mógłby go poratować niewielką kwotą.

Tym kimś, na kogo najbardziej liczył, był niezawodny w trudnych sytuacjach wachmistrz policyjny Kurt Smolorz.

Mock wstał i wyszedł do ubikacji, gdzie umył twarz zimną wodą. Pociągnął opuszkami palców po twardym zarostie na szczękach i na policzkach. Ileż to razy karcił sam siebie w myślach za to, że nie przechowuje w biurku żelaznego zestawu dżentelmena: pędzla, mydła do golenia, brzytwy, szczoteczki i proszku do zębów!

W jego szufladzie znajdował się tylko inny element garderoby, ważny dla dbającego o czystość dandysa: sztywny ceratowy kołnierzyk na zmianę. Przypiął go do koszuli i przed lusterkiem zaciągnął węzeł krawata pod skrzydełkami kołnierzyka. Stary, na którym odznaczały się wczorajsze ciemne smugi brudu od spoconego karku, schował do kieszeni.

Spojrzał raz jeszcze na swoje odbicie. Staranny ubiór równoważył nieco nieprzyjemne wrażenie, jakie jego nieogolona twarz z podpuchniętymi oczami mogła robić na rozmówcach. A tych kilku dzisiaj będzie – przynajmniej taką miał nadzieję.

Pierwszy był Kurt Smolorz, choć akurat na nim wygląd szefa nie robił najmniejszego wrażenia. Wachmistrz policyjny już siedział w ich wspólnym gabinecie, kiedy Mock wrócił tam po ablucjach.

Papieros dymił w dłoni kolegi, pokrytej rudawym włosiem i licznymi piegami. Przed nim leżał papier z kilkoma okruchami chleba – znak, że Smolorz właśnie skończył jeść śniadanie.

– Posłuchajcie no, Smolorz. – Mock podał mu rękę na powitanie i usiadł. – Posłuchajcie mojej historii...

Na szerokiej twarzy Ślązaka pojawiło się zdumienie. Dziwnie go przywitał jego starszy rangą zwierzchnik.

– Historii? – Ostre jak szczotka, gęste rude włosy lekko się poruszyły, gdy otworzył szeroko oczy. – Jakaż to historia?

Mock poprawił się na krześle. Ich biurka połączone były dłuższym bokiem. Kiedy przy nich pracowali, siedzieli naprzeciwko siebie i mogli patrzeć sobie

w oczy – tak jak teraz. Z pełnym zaufaniem.

– Dobrze mi się z tobą pracuje, Kurt – rzekł Eberhard. – Bo jesteś człowiekiem uporządkowanym. Lubisz ład w pokoju i w głowie. Nikt ci bajeczki nie sprzeda, nikt ci oczu nie zamydli!

Spojrzał na otoczenie. Rzeczywiście, w ich pokoju panował wzorowy porządek. Na stoliku z telefonem nie było śladu kurzu, na blatach biurek leżały w równych rzędach obsadki, pióra, ołówki i kałamarze. Żadnych zbędnych kartek i dokumentów.

Na solidnych mosiężnych haczykach przy biurku wisały dwa introligatorskie pudełka zawierające najnowsze księgi adresowe. Również bez śladu kurzu. Nawet na wewnętrznym oknie o mlecznej szybie, które oddzielało ich gabinet od biura Ilssheimera, nie było najmniejszej plamki.

– No dobrze, panie Mock. Jakaż to opowieść?

Smolorz poprosił kiedyś Mocka, by ten mówił mu po imieniu. Eberhard odwzajemnił propozycję, ale wachmistrz upierał się przy formie oficjalnej. Mock uważał jednostronny bruderszaft za błąd logiczny, ale upór Smolorza w tej sprawie był nie do przełamania. Małomówny Ślązak zgodził się jedynie na nieużywanie tytułów służbowych i zwracał się do Eberharda zawsze *per* „panie Mock”.

– Lubisz ład i porządek, Kurt. Lubisz logiczne struktury. No to posłuchaj i powiedz, czy moja historia nie jest naciąganą bajeczką i mydleniem oczu, dobrze?

Smolorz skinął głową. Okruchy chleba wysypał z papieru śniadaniowego na dłoń i zjadł ze smakiem, po czym starannie złożył arkusz na cztery i wsunął za pazuchę. Opakowanie można było jeszcze wykorzystać, a Smolorz oszczędności się nauczył już w latach dziecięcych, w małej biednej wsi pod Kluczborkiem.

– Dlaczego to właśnie Eckmann rozwiązał sprawę Mittaga? – zaczął Mock. – Zastanawiałeś się nad tym? Dlaczego akurat on? Dlaczego Borsuk dobrowolnie oddał się w nasze ręce? Jak Eckmann skłonił go do zeznań? Bo chyba nie wierzysz w te historyjki o teorii przesłuchań...

Smolorz pokręcił głową. Milczał i nie przerywał. Za to Mock go lubił.

– Schlieps pracował niegdyś w prosektorium u Lasariususa – ciągnął. – I tam zagustował w trupach młodych kobiet. Obcował z nimi i za to został przez Lasariususa wyrzucony z pracy. A teraz przejdźmy na chwilę do innej sprawy. Dina Schwarzbart. Mówi ci coś to nazwisko?

– Tak – odparł Smolorz. – To jedna z naszych podopiecznych. Żydówka z ulicy chyba... Matthiasstrasse[169]. Niewysoka, ładna... Zdaje się, ruda...

– Zgadza się. Dinę Schwarzbart wyrzucili na bruk biedacy, którzy wynajmowali jej nyżę przy Rebenstrasse[170]. W dzielnicy krążą słuchy, że została później zaatakowana i zjedzona przez jakiegoś kanibala. Rozumiesz? Kanibala! To absurd, ale nie to jest tu najważniejsze. Wyobraź sobie, że Richard Eckmann był najpewniej jednym z ostatnich ludzi, którzy widzieli ją żywą. Przesłuchiwał ją w areszcie i tam ją dotkliwie pobił.

Zapadła cisza. Smolorz zapisywał coś w notesie. Mock był pewien, że była to wątpliwość – co łączy prostytutkę ze szczęśliwym posiadaczem nowego mieszkania? Spojrzał na zapis, który brzmiał: „No i co z tego?”.

– Richard Eckmann jest łącznikiem pomiędzy obiema sprawami – odpowiedział na to pytanie Eberhard. – Zna Schliepsa i zna Dinę. Możesz zapytać: „No i co z tego? Ja też znam Schliepsa i Dinę”. To słuchaj. Borsuk jest nekrofilem gustującym w prostytutkach, a jedna z nich ginie i cała dzielnica śpiewa o niej piosenki jako o zmarłej. To fakt pierwszy. A teraz drugi. Miłośnik martwych prostitutek przyznaje się do ustawionej walki właśnie temu, nikomu innemu, tylko temu, który brutalnie bije prostytutkę Dinę i może jest zamieszany w jej zaginięcie, a pewnie nawet śmierć!

Smolorz postawił znak zapytania w swoich notatkach i spojrzał na Mocka. Pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Nekrofilowi Schliepsowi ochota na dalsze trupy kobiet, to jasne! – powiedział. – Ale one w jego kostnicy. Stamtąd tylko je brać i obcować. Po co mu Eckmann? I dlaczego Eckmann zdobywcą nagrody? To niejasne.

– Też zadałem sobie takie pytanie – odpowiedział Eberhard. – Po co Borsukowi Eckmann, jeśli sam ma dostęp do zwłok młodych kobiet? Przecież jego ludzie kontrolują burdele i wiedzą o bezdomnych dziewczynach z ulicy. Wczoraj nawet widziałem pewnego Pierścieniowca, jak go jakaś ujeżdżała. Borsuk mógłby przecież rozkazać jednemu z drugim, aby zabijali dziewczęta i przynosili mu do kostnicy...

Zgrzytnął zębami, mówiąc o takiej hańbie.

– Ale to prędzej czy później by się wydało, Smolorz. I nawet najtwardszy zbir w końcu nie wytrzyma i pęknie. Zabijanie młodych zdrowych kobiet tylko po to, aby zrobić z ich martwych ciał worek na wydzielinę, to straszna ohyda! Nawet najgorszy bydlak długo jej nie zniesie. Załatwianie nekrofilowi trupów do dymania to parszywe zajęcie, nieprawdaż, Kurt?

Zapytany skinął głową.

– Jeśli zboczeniec Schlieps miałby duży kłopot ze znalezieniem ciał, to przed nim było takie oto wyjście. – Mock podsumowywał już ten wątek. – Zawrzeć układ z Eckmannem, którego znał z dawnych czasów. Dać mu dobrze płatne zlecenie: ty wypatrujesz dziewczyny zdatnej do zaspokajania moich zboczeń i mi ją dostarczasz. Ja ją zabijam i dymam. Tyle.

Smolorz zapalił nowego papierosa.

– A skąd to przyznanie się do ustawienia walki? Dlaczego Schlieps w naszych rękach? To wciąż niejasne – stwierdził.

– Masz rację, Kurt. Ta hipoteza tego nie wyjaśnia... – Mock postukał paznokciami po blacie biurka. – Ale mam inną. Eckmann nie dostarcza martwych kobiet Schliepsowi. Angażuje się w śledztwo tak jak ty czy ja. Chce mieć mieszkanie tak jak ty czy ja. I nagle wpada na pewien pomysł. Wie z dawnych czasów, że Schlieps jest nekrofilem. Ma on wprawdzie młodą żonę, ale bardziej go rajcuje młode trupy. To zboczeniec. Owszem, ma cmentarz i kostnicę, ale nawet nekrofil nie każdego trupa sobie wybierze. W kostnicy są najczęściej jednak zwłoki ludzi starych... Krótko mówiąc, Schlieps jest wybredny i szuka cierpliwie obiektu

do zaspokojenia swej żądz. Powtarzam: nie tak łatwo jest znaleźć młodą, ładną martwą kobietę. I Eckmann też sobie z tego zdaje sprawę. – Zaczerpnął tchu. – Nasz Richard bardzo chce rozwiązać tę sprawę i zdobyć mieszkanie, tak zresztą jak my wszyscy. Ktoś zabija wyrzuconą przez gospodarzy na ulicę Dinę Schwarzbart. Eckmann skądeś o tym wie i podrzuca ją Schliepsowi. W zakamuflowany sposób. Na przykład ktoś z jego zaufanych przywozi ją na cmentarz jako bezdomną. Może Eckmann sam ją zabił, lecz to bardzo grube oskarżenie.... Schlieps dostaje trupa, a Eckmann czeka i go obserwuje. Ten w wolnej chwili chce już się zaspokoić, wchodzi do kostnicy... Wtedy Eckmann z jakimś świadkiem wpada tam nagle i zastaje Borsuka z opuszczonymi gaciami na trupie nieszczęsnej kobiety. Robi mu na przykład zdjęcie, a potem mówi: „Mój drogi, przyznaj mi się w sprawie Mittaga, wtedy zapomnę, co widziałem, a kliszę spalę w moim nowym pięknym apartamencie”. Czy ta opowieść ma już sens, Kurt?

Smolorz pokiwał głową i wykreślił z notesu pytania, jakie chciał zadać koledze.

– Jeśli taki właśnie ciąg zdarzeń, panie Mock, to wniosek jedyny...

– Wniosek jest taki – przerwał mu Eberhard – że i Eckmann, i ja chcieliśmy wcisnąć Borsuka w imadło, ale Eckmann był szybszy i skuteczniejszy...

Wstał.

– Ale ja się nie poddam, Kurt! Muszę jeszcze raz porozmawiać z Lasariusem. Może on podsunie mi pomysł na inne imadło na Schliepsa? Może coś więcej o nim wie? O jakichś jeszcze innych jego dewiacjach... Muszę dotrzeć do jakiegoś więźnia, który z nim siedział. Może Schlieps sodomizował tam innych osadzonych. To też dobre imadło...

– Ale od Mühlhausa zakaz śledztwa. – Smolorz miał zasepioną minę. – Ono zamknięte, nagroda przyznana.

– Ja go nie zamykam! Bo ja się nie zgadzam na bezczeszczenie człowieka po śmierci! – krzyknął Eberhard. – I nie godzę się też na porywanie małych dzieci!

– Jakich dzieci, panie Mock?

Zapytany zignorował to pytanie. Podejrzanie, które od niedawna kiełkowało w jego umyśle, że Eckmann to porywacz małej Bettiny, miało zbyt chybliwą podstawę – tylko to mianowicie, że Eckmann jest brutalny wobec prostytutek, a Hertę ktoś bestialsko pobił, usiłował zabić i porwał jej dziecko.

Pochylił się ku swojemu niższemu rangą koledze.

– Powtarzam – szepnął. – Mimo że nasz „fajczarz” zabronił mi dalszego śledztwa, ja go nie posłucham! Pomożesz mi? Przesłuchałbyś dyrektora Reddermanna? Może on by nam dał kolejne imadło na Schliepsa? Wygląda mi na wrażliwego człowieka. Mógłbyś go przycisnąć, podkreślając ohydę nekrofilii... Jego synek jest też dobrym imadłem. Co, Smolorz? Mogę na ciebie liczyć?

Odpowiedzią Kurta był lekki uśmiech i skinienie głową.

Był małomówny.

I za to Mock też go lubił.



Mock już we wczesnej młodości zauważył, że zdarzenia w jego życiu układają się w sposób sinusoidalny: po serii dobrych wydarzeń następują złe – dobra passa w pewnym momencie się załamuje i pojawia się trend niepomysłny. Nie byłoby w tym niczego odkrywczego, wszak już Biblia mówiła o siedmiu latach tłustych po siedmiu chudych, gdyby nie to, że Mock potrafił z grubsza przewidzieć punkt zwrotny w przedziale jednego lub dwóch dni.

Zauważył kilka regularności i stworzył sobie w myślach kilka modeli takich zmian. Jednym z nich było prawie bezpośrednie następstwo dwóch przeciwnych zdarzeń, czyli sytuacja, gdy po jednym–dwóch dniach od wydarzenia bardzo miłego nagle pojawiała się coś bardzo nieprzyjemnego, a po tym następował powolny wzrost dobrej passy.

Na przykład przed trzema tygodniami spędził bardzo przyjemny sobotni wieczór ze swym bratem i z jego rodziną – grał w skata z Irmgard i z Franzem, snuł wojenne wspomnienia, bawił się i siłował z małym bratankiem Erwinem.

Następnego dnia poszedł na walkę bokserską – i tutaj przeżył trudne chwile, zakończone wyczerpującą psychicznie decyzją, by porzucić rozwścieczonego i zasikanego ojca, w zamian wybierając śledztwo w sprawie Herty Rossenbach.

A potem zaczął się powolny ciąg coraz lepszych zdarzeń, gdy w swym trudnym śledztwie zbliżał się do prawdy. Mock nazywał taki model następująco: szczyt, dolina i wspinaczka.

Podobnie było w ostatnich dniach. Najpierw dzięki brawurowej akcji chwycił w imadło Schliepsa. Był to szczyt dobrej passy. Następnie Borsuk mu się wymknął, pozbawiając go wspaniałej nagrody, czyli Mock znalazł się w ciemnej dolinie. Po czym – wraz ze zdobyciem potencjalnie cennych wiadomości o Eckmannie i o Dinie – zaczął się wspinać po zboczach i powoli z tej doliny wychodzić.

Był przekonany, że dzisiejszego dnia pokona kilka stopni tej wspinaczki.

Zapowiedzią był list, który ktoś wsunął mu pod drzwi akurat w momencie, gdy chował do pugilaresu kilka pożyczonych od Smolorza marek.

Wtedy właśnie gdy wychodził, aby udać się do Lasariusza, ujrzał tę kopertę. Wyjął z niej list i przeczytał go dwukrotnie:

Mam pilną sprawę, wielką prośbę do Pana Asystenta Kryminalnego. Proszę o spotkanie w pełnej konspiracji, na strychu. Śledzi mnie jakiś wróg. Proszę zatelefonować i wyznaczyć dowolną godzinę, a będę. Knorr.

Mock podniósł słuchawkę i po kilku sekundach dyżurny policjant połączył go z archiwum.

Pięć minut później stał wraz z Herbertem Knorrem na strychu – tuż nad północną klatką schodową, biegnącą od strony Ursulinenstrasse^[171]. Nad nimi wznosiły się potężne krokwie pałacu książąt legnicko-brzeskich, których siedzibą w zamierzonych czasach był obecny gmach prezydium policji.

Stali przy zakurzonemu okienku, nasłuchując, czy nie rozlegną się gdzieś obok jakieś odgłosy – na przykład trzask desek.

Oprócz gruchania gołębi oraz leciutkiego szmeru rozpalającego się papierosa, którym się Knorr chciwie zaciągał, nic więcej nie było słyhać. W ciemności strychu byli sami.

Mock dopiero teraz zauważył, że archiwista ma opuchniętą twarz i siniec pod okiem.

– Ktoś pana pobił? W tym mam panu pomóc?

– Tak – szepnął Knorr. – Właśnie o to chcę prosić. Podczas obiadu wielkanocnego mój bratanek Jürgen kategorycznie zażądał, abym się z nim zamienił mieszkaniami. Tonem zaczepnym mówił, że takiemu staremu kawalerowi nie trzeba domku na Wilhelmsruh^[172], że mogę mieszkać na jego poddaszu w kamienicy Pod Gryfami. Był pijany i coraz bardziej wściekły. Kiedy zdecydowanie odmówiłem, pobił mnie.

Mock spojrział ze współczuciem na starego archiwistę.

– Dzisiaj z samego rana poszedłem do inspekcji kryminalnej i złożyłem oficjalne zeznanie i skargę na Jürgena Knorra. Dyżurnym był komisarz Emmanuel Amelung. Zapisał wszystko, skargę włożył do segregatora. Po powrocie do archiwum długo myślałem nad postępkim mojego bratanka. I nagle jakbym ściągnął go myślami. Jürgen przyszedł do mnie trzeźwy i pełen pokory. Padł mi do kolan i błagał o przebaczenie. Całą winę zwałił na swoją żonę, która, jak twierdził, od dawna go przeciwko mnie nastawia. – Odchrząknął. – Przebaczyłem mu, poszedłem do Amelunga, żeby wycofać zeznanie. Ale ta złośliwa bestia, nigdy za sobą nie przepadaliśmy... Ta złośliwa bestia powiedziała mi, że sprawa o pobicie jest ścigana z urzędu i po zgłoszeniu nie można jej już wycofać. Nie wiem, czy kłamie ta kanalia, czy nie. Ale proszę pana o pomoc, *Herr Polizei-Assistent*... Ostatnie, czego chcę, to wsadzić bratanka za kratki!

Mock pokiwał głową w zamyśleniu.

– Każdy ma jakieś rodzinne kłopoty – szepnął i dodał już głośniejszym głosem: – Załatwione, panie Knorr. Pójdę do Amelunga i go przekonam. Nie sądzę, aby się oparł mojej prośbie.

Archiwista pochylił głowę w podziękowaniu. Wyciągnął dłoń do Mocka i po wojskowemu trzasnął obcasami.

– Zaraz, zaraz – mruknął Eberhard. – Jeszcze się nie żegnajmy. Coś mnie zastanawia...

Otoczone opuchlizną oczy Knorra błysnęły zaciekawieniem pod ceratowym daszkiem na gumce, która opinała mocno jego łysą głowę.

– Napisał pan list utrzymany w dramatycznym tonie – powiedział Mock. – Że ktoś pana śledzi. Musi się pan czegoś bać, skoro wyznaczył pan to miejsce na nasze spotkanie. Skoro wsunął pan list pod drzwi, zamiast po prostu do mnie przyjść. O co tu chodzi, panie Knorr? Czego się pan boi? Przecież nie Amelunga!

Mock spokojnie palił i czekał. Archiwista długo milczał.

– Przed świętami był pan u mnie, aby się dowiedzieć czegoś o Eugenie Schliepsie *alias* Borsuku. Powiedziałem panu, że był on podejrzewany o nekrofilie, jakiej się oddawał jako laborant u Lasariusza. Nie pamiętałem nazwiska owej osiemnastoletniej prostytutki, której ciało Schlieps miał zhańbić. Poszedłem do archiwum miejskiego i zidentyfikowałem ją jako Emmę Riegel. Napisałem to w specjalnym liściku i zostawiłem panu na biurku. Pamięta pan?

– Tak. Pamiętam.

– To było w Wielki Piątek – ciągnął Knorr. – Nie byłem tego dnia w kościele, nie jestem zbyt pobożny...

Umilkł, jakby się usprawiedliwiał. Nie musiał tego robić, dla Mocka jego religijność nie miała teraz znaczenia.

– Siedziałem sobie w ogrodzie. I nagle ktoś mnie zaatakował. Nie widziałem go. Przyłożył mi ostrze do szyi. Powiedział, że to nóż laboratoryjny do krojenia zwłok. Kazał mi zeznać, dlaczego węszyłem w sprawie Emmy Riegel. Wszystko mu powiedziałem. O panu też. Ze strachu.

Wyciągnął szyję, na której widać było wyraźne skaleczenie. Dotknął go palcem i spojrzał znacząco na Mocka.

– No to ładne miał pan święta, panie Knorr – powiedział policjant ze współczuciem. – Ale wciąż nie rozumiem, czemu jesteśmy na strychu. Skąd ta cała konspiracja?

– Napastnik kazał mi milczeć. Zagroził, że jeśli powiem panu o tym incydencie, to poderżnie mi gardło. Nożem brudnym od trupiego jadu. Skąd wiedział o tym, że sprawdzam dane zmarłej prostytutki? Musiał mnie śledzić! Może śledził mnie w archiwum miejskim... A może od momentu gdy pan był u mnie w bibliotece? A zatem może to ktoś z prezydium policji? Stąd ta cała konspiracja! – Knorr umilkł, a po chwili podniósł głos: – A ja panu wszystko powiem! Wszystko! Sumienie by mnie zagryzło, gdybym zataił. Pan mi pomaga w sprawie Jürgena, a ja co? Milczę, bo jakiś oprych scyzoryk mi przyłożył do szyi?

Zgniół obcasem niedopałek i zbliżył się do Mocka.

– Co znaczy „wszystko”, panie Knorr?

– On śmierdział owocami. Jakby jabłkami. Jak mój brat chory na cukrzycę. Trzymał mnie za gardło, było gorąco. Pewnie spocony... To i śmierdział.

Eberhard pokiwał głową.

– Może to Eckmann? – zapytał. – Poznał pan jego głos?

– Chyba nie on. – Archiwista się zamyślił. – To nie był jego głos. A poza tym Eckmann z daleka pachnie jak perfumeria... Mogę już iść? Obowiązki wzywają...

– Jeszcze sekunda, panie Knorr. – Mock uniósł dłoń. – Z nieba mi pan spadł ze swoją prośbą, bo chciałem już iść do archiwum i zapytać o Eckmanna. Co pan o nim wie? On pracuje tutaj prawie trzydzieści lat, pan niewiele mniej. Interesują mnie wszystkie szczegóły o nim. Zwłaszcza te pikantne...

Archiwista podrapał się po głowie.

– To wzorowy policjant – powiedział. – Jego akta są jak laurki. Same pochwały, żadnych pikantnych spraw... Nawet dzisiaj je przeglądałem, bo dostałem od Mühlhausa polecenie, abym włączył do nich protokół z wczorajszej uroczystości.

– Panie Knorr, ja pana pytam, czy pan sam pamięta jakieś pikantne zdarzenia z Eckmannem w roli głównej, a nie o to, co jest w aktach... – naciskał Mock.

Archiwista pstryknął teraz w swój daszek, jakby w ten sposób usiłował zaktywizować mózg. Najwyraźniej mu się udało, bo znów odezwał się konspiracyjnym szeptem:

– Nie wiem, czy to, co powiem, jest pikantne, czy nie. Sam nie wiem...

– Słucham. – Mock się lekko zniecierpliwił.

– To było dawno, wie pan... Jakoś dwadzieścia lat temu, jeszcze w minionym wieku. Byłem świadkiem takiej oto sceny. Eckmann idzie korytarzem, a naprzeciwko niego Vyhladil^[173], wówczas jeszcze nawet nie szef obyczajówki, tylko jej zwykły funkcjonariusz. Otóż Vyhlidal prowadził prostytutkę. Pan ją zna, *Herr Polizei-Assistent*... Wtedy była młoda, ponętna, teraz to niewiasta wzrostu niewielkiego, ale rozmiarów dużych. Niewysoka i pękata jak kula. Zna pan taką?

Mock kiwnął głową.

„Pewnie, że znam – pomyślał. – Jej dziewczyny powiadają, że łatwiej ją przeskoczyć, niż obejść”.

– Uśmiechnęła się do Eckmanna – kontynuował Knorr. – I powiedziała do niego coś dziwnego...

– Co? – Eberhard nie wytrzymał.

– „Cześć, Vidocq!” – rzekł z namaszczeniem archiwista. – Tak się do niego zwróciła. Vidocq. A on na to zachnął się i rzekł do Vyhlidala: „Pijana ta kurwa”. I tyle. Czy to jest pikantne? No, nie wiem.

– A wie pan, kim był Vidocq?

– To akurat wiem. – Knorr się uśmiechnął. – Pierwszy prezydent policji w Paryżu za czasów napoleońskich. Były kryminalista i złodziej, galernik chyba... Później dostąpił wielkich zaszczytów i stworzył całą policję francuską.

Mock podziękował archiwście silnym uściskiem dłoni i zszedł do swojego pokoju.

Tam otworzył notatnik i obok „Dr Lasarius” wpisał „Therese Berger”.

Te nazwiska – taką przynajmniej miał nadzieję – będą kolejnymi stopniami wspinaczki z ciemnej doliny.



Doktor Wolfgang Lasarius przyjął Mocka w sali sekcyjnej w Instytucie Sądowo-Lekarskim. Odpoczywał po obdukcji, siedząc na krześle i paląc ulubione cygaro marki Sułtan. Jeden z jego laborantów trzymał w ręku szlauch i wodą pod ciśnieniem spłukiwał krew oraz inne wydzieliny martwego ciała, które było niedawno poddawane badaniu, a teraz spoczywało na wózku. Woda zmieszana z krwią spływała pod kamiennymi ściankami, które otaczały wnękę dla zwłok, i znikła w czarnej dziurze ujścia.

Mock zbliżył się do stołu sekcyjnego.

– Chciałbym z panem doktorem porozmawiać o jednym z pańskich dawnych pracowników, o pewnym niesławnym laborancie – rzekł Mock bez zbędnych wstępów.

Lasarius spojrział na mężczyznę ze szlauchem.

– Georg, wyjdź sobie, mój drogi, na papierosa!

Laborant spojrział ze zdziwieniem na przepełnioną niedopałkami papierośnicę, stojącą na długiej nodze tuż obok stołu sekcyjnego. Kiwnął głową, zakręcił kurek, gumowy wąż położył na kafelkach podłogi i opuścił pomieszczenie.

– Eugen Schlieps – rzekł Mock wolno. – Proszę pana doktora o wszelkie informacje o tym człowieku. Interesuje mnie też pewna kwestia szczegółowa, którą można rozwiązać jedną odpowiedzią: tak lub nie. Oto pytanie: czy Eugen Schlieps znał komisarza Richarda Eckmanna?

Mock oparł się o barierkę, za którą wznosiło się niewielkie *theatrum anatomicum*, czyli schodkowo ułożone podesty dla studentów uczestniczących w sekcji zwłok.

– Tak – odparł Lasarius po dłuższej chwili. – Znali się. Schlieps pracował u mnie jako laborant przez jakiś czas, to było chyba z pięć lat temu... Eckmann bywał tu wtedy często. Pracował i wciąż pracuje w policji kryminalnej, a tacy są stałymi gośćmi moich zimnych pacjentów. Tak... Schlieps i Eckmann się

znali, a nawet lubili. Policjant tutaj bywał, odwiedzał go nawet pod moją nieobecność...

Zamilkł i nerwowo zdusił cygaro w popielnicy, wysypując z niej na podłogę popiół i kilka niedopałków.

– Prosi pan o wszelkie informacje o Schliepsie, tak? No cóż... Nie będę zatem niczego ukrywał. Hm... Kiedyś wieczorem musiałem przyjść po coś do prosektorium. Późnym wieczorem... I zastałem ich trzech przy... To znaczy Schliepsa, Eckmanna i Epsteina... Ostatniego lekarza, jaki powinien się nazywać sługą Hipokratesa. Ich trzech przy...

– Rudolfa Epsteina, lekarza chorób wenerycznych?

– Tak, tego samego.

Mock poczuł ukłucie w przeponie – jak zawsze, gdy zbliżała się ważna chwila w śledztwie. Czekał, lecz Lasarius wciąż milczał.

– Przy czym pan ich zastał, doktorze? – nie wytrzymał policjant.

– Przy kieliszku – odparł medyk. – Siedzieli tutaj, gdzie my, i pili wódkę. Ogarnęła mnie furia, gdy ujrzałem, co robili...

Znów zapadła cisza. Mock jej nie przerywał, choć czuł mrowienie w kościach i kurczenie się przepony – znak, iż niecierpliwość rozrasta się w jego piersiach jak pompowany balon.

– Nie zapomnę tego widoku. – Lasarius mówił powoli, zdaniem Eberharda zbyt powoli. – Schlieps siedział tu gdzie ja, Eckmann naprzeciwko niego, a obok Epstein. Pomiedzy nimi stał stół. Zwykły drewniany stół, wzięty z przebieralni... Na stole karafka i salaterka z ogórkami. Oraz karty. Grali w skata. – Nabrał tchu. – A obok, na stole sekcyjnym, dziewczyna. Naga martwa dziewczyna tylko z pończochami naciągniętymi na uda. prostytutka, którą ktoś zakłuł w jakimś zaułku. Wiem, że Eckmann prowadził śledztwo w jej sprawie...

Umilkł.

– No i co? – napierał Mock.

– Przewrócili ją na bok, pod głowę coś podłożyli, zgięli rękę w łokciu, podnieśli jej powieki. Dziewczyna wyglądała tak, jakby leżała z głową podpartą na dłoni i przyglądała się ich partyjce skata. Epstein powiedział: „Mamy fajną dziewczuchę”... – W zakłopotaniu potarł dłonią nos. – To było świństwo, *Herr Polizei-Assistent*. Wielkie świństwo. Tak traktować zwłoki, naigrywać się z nich... Następnego dnia zwolniłem laboranta Schliepsa z pracy.

„Chyba odbyło się tam jeszcze większe świństwo, ale dałem słowo honoru Knorrowi, że na ten temat nie puszcę pary z ust” – pomyślał Mock, a na głos powiedział:

– A zachowanie Eckmanna zgłosił pan komuś z prezydium policji? Jego ówczesnemu zwierzchnikowi?

Medyk spojrzał na rozmówcę z bezbrzeżnym zdumieniem. Potem rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby jego wysokie okna, regały i studenckie pulpity chciał wziąć na świadków naiwności, jaką okazał Mock swym pytaniem.

– Zrobiłem, co mogłem. Wyrzuciłem laboranta na zbity pysk! Ale nie poskarżyłem się na Eckmanna. Nie sądziłem, aby ktokolwiek w prezydium przejął się losem jakiejś dziewczyny, która, wyklęta przez rodzinę, wycierała wrocławskie bruki! Wokół była wojna, stosy trupów żołnierzy ginących za ojczyznę. Kto by się przejął jakąś upadłą kobietą!

Mock chciał już iść, bo nagle gniew podszedł mu do gardła, a bał się, że powie Lasariusowi o jedno słowo za dużo. W końcu się opanował, choć nie na tyle, by całkiem zamilknąć.

– Ja bym się przejął, doktorze – warknął. – Do widzenia!

Medyk chwycił Mocka mocno za przegub.

– Ja o tym wiem, że tylko pan by się przejął taką dziewczyną – powiedział ze śmiertelną powagą. – I do pana to bym poszedł. Ale pana wtedy nie było. Pan karczował wtedy afrykańską dżunglę^[174].



Salon rozkoszy panny Therese Berger mieścił się przy Charlottenstrasse^[175] w dużej, okazałej kamienicy, sto metrów od Höfchenplatz^[176], tuż przed kościołem Świętego Karola Boromeusza. Właścicielka tego przybytku bardzo pilnowała, by to sąsiedztwo nie odcisnęło się negatywnie na zyskach. Innymi słowy, starała się prowadzić swój interes nader dyskretnie, by nie kłuć w oczy wiernych zdążających na nabożeństwa.

Zatrudniała tylko pięć dziewcząt. Ponieważ były one bardzo ładne, a ich zdrowie było najwyższej próby, do *madame* Therese ciągnęły rzesze mężczyzn i – co nieczęste w takich przybytkach – właścicielka mogła dokonywać selekcji klientów. Wkrótce dorobiła się sporej grupy stałych bywalców. Byli to najczęściej bardzo zamożni goście – wśród nich przemysłowcy i arystokraci – umawiający się z dziewczętami w określone dni i godziny. Kupcy czy komiwojażerowie, którzy pod wpływem piątego czy szóstego kufla piwa nabraliby erotycznej ochoty i nagle zdecydowałiby się na odwiedzinę salonu panny Therese, na ogół odchodzili z kwitkiem.

Pierwszą zaporę przed przypadkowymi klientami stanowił hojnie opłacany przez *madame* stróż kamienicy. Do jego obowiązków należało powstrzymywanie pijaków lub awanturników. Jeśli nawet któremuś z tych spragnionych amatorów panów udało się – co było nader rzadkie – jakoś oszukać dozorcę i dostać się na czwarte piętro, gdzie znajdował się salon rozkoszy, to tam natrafiali na dwóch osiłeków, którzy już bez pardonu usuwali ich z kamienicy. Gdyby tych jakimś cudem tam nie było, porządek przywracała gruba i okuta laska szefowej.

Dzięki temu zakład panny Berger funkcjonował cicho i dyskretnie, a kulturalni bywalcy ani nie zakłócali spokoju sąsiadów, ani nie budzili zgorszenia wiernych, którzy mogliby się oburzać na wieść o istnieniu przybytku rozpusty tuż obok świątyni.

Eberhard Mock znał pannę Berger od dawna, lecz w odróżnieniu od niektórych kolegów nie nadużywał tej znajomości, aby korzystać za darmo lub ze sporą zniżką z wdzięków jej powabnych podopiecznych. Uważał, że takie postępowanie zrównywałoby go z alfonsiem, który mówi do kobiet tej profesji: „Ja cię chronię,

a ty mi się odwdzięczaj!”. Owszem, bywał w jej salonie, ale zawsze płacił normalną stawkę i zawsze wybierał tylko jedną i tę samą dziewczynę. Hertę Rossenbach.

Tego dnia asystent policyjny odwiedził pannę Berger o nietypowej godzinie – o jedenastej przed południem.

Został grzecznie przepuszczony przez stróża i strażników. Wszyscy doskonale wiedzieli, kim jest.

W salonie było pusto. Dziewczyny odsypiały noc, właścicielka siedziała w kantorze i sporządzała plan najbliższych wydatków. Kiedy się dowiedziała, kto przyszedł o tak wczesnej porze, natychmiast przerwała swoje zajęcia i przybiegła do Mocka.

Ten przywitał się z nią grzecznie i przez chwilę się nie odzywał. Nie mógł się nadziwić, że to miejsce, tak niezwykle i pełne powabów w przyćmionym czerwonym świetle lamp, teraz w ostrym słońcu wyglądało jak pusta poczekalnia dworcowa – wyludniona, pełna drobin kurzu w promieniach światła i śmierdząca zastarzałym papierosowym dymem.

– Ja w sprawie Herty Rossenbach – powiedział w końcu i zawiesił głos.

Lubił pannę Berger i nie chciał od razu wypalać do niej z grubej rury, pytając o Eckmanna.

– Może kawy? – *Madame* spojrzała na niego z nieukrywaną sympatią.

Była dyskretnie umalowana, a jej pełne policzki pokrywała niezbyt gruba warstwa pudru. Włosy wciąż miała w papilotach, co sprawiało, iż wyglądała jak dobrotliwa babcia.

– Niech mi pani wyjaśni, co robiła na pojedynkach bokserskich.

Z jednej strony zignorował zaproszenie na kawę i wydał jej polecenie, co miało świadczyć o powadze jego wizyty, z drugiej zaś – uczynił to tonem tak spokojnym i łagodnym, jakby pytał o samopoczucie.

– Bokserzy są często moimi klientami. A poza tym lubię ten sport. Lubię patrzeć, jak twardzi mężczyźni zamieniają się na ringu w drżące galarety. Mam

wtedy jakąś wewnętrzną satysfakcją, wie pan? Ja zresztą w ogóle lubię sport.

Wskazała na dwie skrzyżowane na ścianie rakiety tenisowe. Były one czymś niezwykłym w domu publicznym, pełnym ciężkich aksamitnych zasłon, obrusów z frędzlami, lusterek i pobrzękujących szklanych paciorków nanizanych na sznurki.

Mock pokiwał głową.

– Pamięta pani Paula Vyhladila?

– Jakże mogłabym zapomnieć o takiej kanalii... Nazywali go Hipopotamem, prawda?

– Tak. Podziela pani opinię, to była wyjątkowa kanalia. – Mock zdjął homburg i położył go sobie na kolanie. – Wiele lat temu Vyhlidal prowadził panią korytarzem w prezydium policji. Ujrzała pani Richarda Eckmanna. Przywitała go słowami: „Cześć, Vidocq!”. Pamięta to pani?

– Nie! – panna Berger zacisnęła usta.

Zmieniła się na twarzy. Jeśli w tej chwili przypominała babcię, to tylko taką, która chce wytarosić za ucho wrednego wnuka.

– Dlaczego nazwała go pani „Vidocq”?

Milczała, teraz zaciskając już oczy. Nad jej nosem pogłębiła się pionowa, „lwia” zmarszczka.

Mock uśmiechnął się przyjaźnie.

– Panno Berger, przecież pani wie, że szanuję pani podopieczne. Uważam, że pani praca spełnia najwyższe wymagania czystości i higieny, a ten salon nie jest jaskinią hazardu, zbrodni i przemocy. Jest miejscem, którego pragną tacy dżentelmeni jak ja.

Pochylił się ku niej, otarł oczy i pociągnął lekko nosem, jakby zaszlochał.

– No i dokąd pójdę, ja nieszczęsny i spragniony ciepła kobiecego ciała, jeśli któregoś dnia będzie pani musiała zamknąć swój lokal?

Udawał, że wyciera teraz łzy.

– A dlaczego zamknąć? Bo jacyś bigoci ustawią się pod kościołem Karola Boromeusza z transparentami: „Zamknąć dom rozpusty!”, „To sąsiedztwo urąga

dobrym obyczajom!”. No, niech mi pani powie, dlaczego takie pseudo miał Eckmann, a ja zapobiegnę wszelkim podkościelnym ekscesom...

– Eugène-François Vidocq był...

– Dzisiaj się dowiedziałem, kim był – przerwał jej Mock. – Ale wciąż nie wiem, dlaczego Richard Eckmann miał takie pseudo...

– Siedział w więzieniu – szepnęła panna Berger. – Eckmann, pod swoim pierwszym, prawdziwym nazwiskiem... Nie wiem, jak brzmiało. Siedział w więzieniu za jakieś malwersacje. Okazało się, że jest niewinny. Wypuszczono go, zwrócono mu honor, a nawet jako zadośćuczynienie dostał pracę w policji. Szybko awansował. Z przestępcy policjant... Jak ów Francuz. Bardzo lubił przydomek „Vidocq”. Kazał tak do siebie mówić...

Sięgnęła do papierošnicy Mocka. Eberhard wstał i podał jej ogień.

– Powiedziała pani do niego: „Cześć”. Jest pani z nim na ty?

– To mój dawny klient – rzekła w zamyšleniu. – Gdy byłam dwadziešcia kilo młodsza... Lubił mnie, pozwalał mówić sobie po imieniu. Był bardzo miły. Brał też moje dziewczyny, kiedy już sama odeszłam z zawodu. Pewnego dnia wziął taką jedną... Klaudyneę. Taki miała pseudonim, nie pytałam, jak się naprawdę nazywa. To się działo dawno, jakoś na początku wieku... No to wziął ową Klaudyneę. Było lato. Wyjechał z nią dokądś na zieloną trawkę.

Umilkła nagle.

– I co z tą dziewczyną? – ponaglił ją Eberhard.

– Nie wróciła – odparła panna Berger. – Już nigdy nie wróciła. Eckmann też już nie wrócił, ani do mnie, ani do moich dziewcząt. Nie pojawił się nigdy, ani w moim poprzednim salonie, ani tutaj.

– Eckmann znał Epsteina. – Policjant zmienił wątek. – Pani też zna Epsteina, i to bardzo dobrze. Co ich łączyło?

Nagle zaterkotał telefon. Panna Berger przeprosiła Mocka i podniosła słuchawkę. Po kilkunastu sekundach podała ją swemu nieoczekiwanemu gościowi.

Policjant przypomniał sobie, że zostawił sekretarzowi prezydium numer burdelu, w razie gdyby Smolorz miał mu coś ważnego do zakomunikowania.

I to był Kurt. Wiadomość była arcyważna, o czym świadczyła nie tylko jej treść, ale i forma. Jedynie podczas przesłuchań świadków albo w sytuacjach nadzwyczajnych Smolorz używał orzeczeń.

A teraz właśnie użył.

– Jest to dziecko – rzekł.

[168] Obecnie Księżę Małe.

[169] Obecnie Jedności Narodowej.

[170] Obecnie ul. Wygodna.

[171] Obecnie ul. Uniwersytecka.

[172] Obecnie osiedle Zacisze.

[173] Postać ta występuje w powieści M. Krajewskiego *Mock*.

[174] Zob. M. Krajewski, *Mock. Ludzkie zoo*.

[175] Obecnie ul. Krucza.

[176] Obecnie pl. Hirszfelda.

[177] Obecnie ul. Krucza.

XII

Pani Zemsta

DROGA Z CHARLOTTENSTRASSE^[177] NA CMENTARZ w Cosel^[178] zabrała Mockowi prawie trzy kwadranse. Tym razem dorożka nie dojechała do starego wejścia, zbudowanego jeszcze w czasach gdy nekropolia służyła jedynie mieszkańcom okolicznych wsi, lecz na polecenie Eberharda zatrzymała się wcześniej, przy wschodnim narożniku cmentarza, u zbiegu Pilsnitzer Strasse^[179] i Coselstrasse^[180].

Na placu dla pojazdów było już kilka dorożek, furmanek, a nawet jeden dyliżans i automobil. Ludzie obsługujący owe wehikuły trzymali się nieco z boku, jakby nie chcieli zostać uznani za żałobników, którzy z wieńcami i kwiatami wchodzili już na cmentarz.

Mock wyskoczył z dorożki. Przepychając się wśród ludzi w czerni, pobiegł w stronę bramy. Minął ją i stanął na początku szpaleru drzew, na końcu którego widać było kaplicę z czerwonej cegły.

Choć dystans, jaki przebiegł, był niewielki, to jednak jego płuca zaprotestowały przeciwko temu wysiłkowi fizycznemu. Oparł dłonie na kolanach i ciężko oddychał. Co chwila ktoś go popychał i przepraszał. Ludzie ciągnęli w stronę kaplicy, a ich duża liczba świadczyła, iż zaraz się rozpocznie pogrzeb kogoś znacznego.

Coś w nim w środku rzeziło i jakby się rozrastało, dławiąc gardło. Wiedział jednak, że to nie tylko sfatygowane nikotyną płuca dają o sobie znać. To przerażające myśli i wyobrażenia zbijały mu się w piersi w jakiś szorstki węzeł.

Po jego prawej ręce stał w otoczeniu drzew dom dyrektora cmentarza. Przed budynkiem widział wysoką, chudą postać Reddermanna, który żywo gestykulował i lekko popychał w stronę wejścia do domu jakąś korpulentną kobietę.

– Nic się nie stało! Nic się nie stało! – krzyczał do niej. – Nie wierz plotkom, znoszonym przez tych pijaków grabarzy! No, idź już do domu, kochana!

Mock odwrócił się w lewo i ujrzał, jak szybkim krokiem zmierza ku niemu Kurt Smolorz.

Wyprostował się i spojrzał w jego kierunku. Znał swego współpracownika od niedawna – niecały rok – i jak dotąd uważał go za uosobienie spokoju.

Smolorz mówił niewiele i niewiele się zmieniało jego piegowate oblicze. Rzadko się uśmiechał, rzadko zasepiał, nie dowcipkował i nie śmiał się z dowcipów, nie świntuszył i nie narzekał. Tylko zdziwienie potrafiło czasami wykwitnąć na jego fizys – wtedy lekko otwierał usta, a gęste rude włosy jakby mu się rozprostowywały nad czołem. Jeśli już do kogoś z prezydium policji pasowało określenie „kamienna twarz”, to chyba tylko do tego wachmistrza.

Teraz jego oblicza nie można było nazwać kamiennym. Oczy płonęły, a półotwarte usta wyginały się w dół, jakby w niemym szlochu.

– Jest to dziecko. – Wskazał na kierunek, z którego przybiegł. – O tam!

– Prowadź!

Mock odtrącił jakiegoś żałobnika i ruszył szybkim krokiem za Smolorzem w stronę budynku z czerwonej cegły wyglądającego jak brat bliźniak domu dyrektora. Wiedział, że mieści się tam cmentarne biuro, poczekalnia oraz kostnica.

Nagle poczuł, że ktoś łapie go za dłoń. Czyjaś mokra, duża ręka ścisnęła jego palce. Wyrwał się ze wstrętem i ujrzał przy sobie dyrektora Reddermanna. Gwałtowny ruch Mocka sprawił, że mężczyzna skulił się ze strachu.

– Mogłem pochować i nic nie mówić! – wołał łamiącym się głosem. – Nic nikomu nie mówić. Ani słowa panu wachmistrzowi. Ale ja powiedziałem. Powiedziałem! Bom ucziwy!

Mock, nie zważając na jego łzawe zapewnienia, szedł szybko w stronę kaplicy, mając przed sobą rozłożyste bary Smolorza. Dyrektor biegł za nimi.

– Błagam, niech pan pamięta, *Herr Polizei-Assistent!* – Chwytał się rękawa Eberharda jak żebrak natarczywie domagający się jałmużny. – Niech pan pamięta,

że nie zatuszowałem sprawy... Że powiedziałem wszystko panu wachmistrzowi! Że się nie bałem, choć Schlieps może mnie za to zabić, zniszczyć! On ma długie ręce! Może mnie dosięgnąć nawet z więzienia!

Mock o nic go pytał, nie żądał wytłumaczeń. Wiedział, że zaraz wszystko będzie jasne. Pragnął tej jasności i jednocześnie bał się jej panicznie. Jeśli jego ponure przeczucia się spełnią, to za drzwiami kostnicy – bo nie wątpił, że tam zmiernają – czeka go koszmar na jawie.

„Z tego słonecznego świata – myślał – wejdę zaraz w przestrzeń bólu. Za tymi drzwiami rozciąga się pole cierpienia”.

Uderzył się w czoło.

– Uspokój się! – powiedział na głos do samego siebie. – To nie jest twoje dziecko!

Smolorz otworzył drzwi do kostnicy.

– Uwaga, stromo! – ostrzegł.

Mock już tutaj był i wiedział o tym. Schody biegły w dół. Odrutowane lampy wiszące na ukośnym suficie emitowały słabe żółtawe trupie światło. Oświetlało ono stojące przy schodach chorągwie klubów sportowych i stowarzyszeń tworzących wrocławskie Bractwo Pierścieniowców.

Kiedy wszyscy trzej zeszli na dół, owiała ich charakterystyczna woń. Wilgoć, trutka na szczury, lizol. Reddermann przekreślił włącznik światła. Zalało ono kostnicę ostrym, zimnym blaskiem.

Na jej środku stały dwa kamienne stoły. Na jednym z nich leżały zwłoki przykryte prześcieradłem. Spod niego wystawały dwie sine, opuchnięte stopy.

Człowiek pod przykryciem musiał być gruby, bo jego brzuch swym wielkim wzniesieniem wypinał się jakby w stronę strzelistego neogotyckiego sklepienia.

W ścianach kostnicy znajdowały się dwie duże nisze do przechowywania zwłok. Zasłonięte były ceratą. Osłona z tegoż materiału zwisała w otworze znajdującym się w ścianie naprzeciwko wejścia. Krople pokrywające wewnętrzną

część ceraty świadczyły o przeznaczeniu oddzielonego w ten sposób wnętrza. Zapewne myto tam zwłoki, ubierano je i pokrywano im twarze kosmetykami.

Smolorz zbliżył się do drugiego stołu, ustawionego obok tego, na którym spoczywał grubas. Na kamiennym blacie leżała otwarta trumna.

Mock czuł, że ma nogi jak z ołowiu. Zamknął oczy i szurając podszwami jak starzec chory na podagrę, zbliżył się do trumny. O coś się potknął. Otworzył powieki i przeklął szpetnie.

Czubek jego czystego, wypastowanego buta natrafił na klapę wystającą nieco ponad powierzchnię podłogi. Klapa zamknięta była na solidną sztabę i kłódkę.

„Chyba porysowałem trzewik – pomyślał – trudno, zapastuje się rysę”.

– Dina Schwarzbart – powiedział Smolorz.

W trumnie leżała młoda kobieta. Była całkiem naga, jedynie jej nogi obleczono w pończochy, a stopy wciśnięto w pantofle na wysokim obcasie. Na odsłoniętej piersi ziała rana od noża lub bagnetu – taka sama ja ta widoczna na zwoskowanych, zmydlonych zwłokach Emmy Riegel; taka sama, jaką oprawca pozostawił na ciele Herty Rossenbach.

Reddermann wskazał palcem na jakiś splachetek materiału leżący na jej udzie. Mock pochylił się nad ciałem.

Poczuł, że szorstki węzeł zaczyna znów się zaciskać w jego żołądku. Ów materiał był czarnym paluchem, obciętym z gumowej kauczukowej rękawicy.

– Prosektoryjna „prezerwatywa” – szepnął. – Z zawartością.

Reddermann zaczął płakać. Jedną dłonią oparł się o brzeg trumny, drugą pochwycił Mocka za rękaw. Szlochał i usiłował coś powiedzieć, ale jego słowa ginęły w mokrym odgłosie smarkania.

Tym razem policjant nie wyszarpywał się z jego uchwytu. Stał jak wryty przy trumnie Diny Schwarzbart.

– Wczoraj około drugiej w nocy to wszystko. – Dyrektorowi przyszedł z pomocą Smolorz. – Takie zeznanie dyrektora. Na cmentarzu w środku nocy trzech ludzi...

– Obudziłem się. – Dyrektor wytarł nos i piskliwym głosem wszedł mu w słowo. – Obudziłem się, bo spać nie mogę... Obudziłem i w świetle księżyca widzę z okna, jak trzech ludzi wchodzi na teren cmentarza. Otworzyli bramę kluczem i zamknęli ją za sobą. O drugiej w nocy! Patrzyłem, poszli w stronę kostnicy. Wyszedłem za nimi po cichu. Widziałem, jak jeden z nich otwiera drzwi, wchodzi tutaj, a dwóch staje przy drzwiach jak straż. Wycofałem się po cichu do domu. Pan Schlieps zabronił mi się interesować takimi wypadkami... Mówił: „Nie patrzeć, mordę w poduchę i spać!”.

Zaczął się trząść, jakby nawet udawanie głosu Schliepsa przejęło go strachem. Szczekał zębami. Na chwilę wyczerpał umiejętność wypowiedzania sensownych zdań. Oparł się o stół z grubasem i zapatrzył bezmyślnie w schody biegnące w górę.

– Trumna bezimienna – powiedział Smolorz. – Zwykła, zbita z nieoheblowanych desek. Jak dla bezdomnych.

Wskazał na jedną z nisz.

– Schlieps nie pozwalał inspektorowi otwierać trumien nieoznakowanych – dodał, używając orzeczenia.

Wzmianka na jego temat wyrwała Reddermanna z chwilowego otępienia. Spojrzał na Mocka.

– Ale ja ją otworzyłem! – krzyknął nagle. – Dziś rano. Po pańskiej wizycie w Wielki Piątek i po odkryciu tej nieszczęsnej Emmy Riegel nie mogłem już dłużej nic nie robić. Nie mogłem już dłużej milczeć, przymykać oczu na to wszystko... Pan mi uświadomił, jaka tutaj ohyda. Oblazła mnie ona jak robactwo! Zewsząd, zewsząd nadlatują ohydnicie cmentarne i siadają mi na twarzy... I zdecydowałem się! Zdecydowałem! Kiedy tylko zamknęliście Schliepsa. Wahałem się, ale przyszedłem tutaj rano. Do kostnicy i zobaczyłem grabarza... Był tam krótko przede mną.

Reddermann umilkł i zaczął sobie mierzwić dłońmi rzadkawe włosy na potylicy. Wysunął koniuszek języka. Wyglądał tak, jakby tracił zmysły.

– Dzisiaj rano trumna otwarta. Sprawcą jeden z grabarzy. – Wachmistrz policyjny uzupełniał relację. – Taki złodziej, pijanica... Jemu do złodziejstwa ochota. Okraść trupa... Otworzył. A wtedy w trumnie ta kobieta... Ubrana jak w burdelu... A to w jej włosach, w jej włosach...

Eberhard zbliżył się do wezgłowia trumny. Gęste, grube włosy Diny rozsypały się dokoła jej głowy. Pod kark dziewczyny podłożona była haftowana poduszka.

– Pod głową! – zaczął krzyczeć Reddermann. – Błagam pana, niech pan pamięta, że pana zawiadomiłem! Niczego nie kryłem! O wszystkim wam powiedziałem!

Mock wstrzymał oddech i dotknął włosów zmarłej. Przebił się palcami przez ich warstwę i dotknął czegoś twardego.

„Kolek – pomyślał. – Kolek jej pod głowę podłożyli”.

Odgarnął włosy. I zrobiło mu się ciemno przed oczami.

To nie był kolek, lecz główka dziecka.

Pod jej czaszką nie leżała poduszka, lecz niemowlęce ciało.

Jej włosów nie dotykała haftowana poszewka na poduszkę, lecz haftowana sukienka.

Z inicjałami B.R.

Jak Bettina Rossenbach.



Półtorej godziny później Herta Rossenbach rozpoznała sukienkę swego dziecka.

Kiedy Mock przyjechał do niej z ciuszkiem, który zdjął z martwego ciała, kobieta sprzątała mieszkanie, podśpiewując przy tym półgłosem.

Na widok Eberharda najpierw się uśmiechnęła, a potem wesoły grymas zamarł jej na wargach. Każdy ruch Mocka, każde drgnienie mięśni jego twarzy wołały: coś złego się stało! coś bardzo złego!

Eberhard wyciągnął dziecięcą sukienkę z teczki.

Herta spojrzała na nią i chwyciła się dłońmi za gardło, jakby sama siebie chciała udusić. Cofnęła się przy tym gwałtownie, zatrzasnąwszy biodrami szufladę, w której właśnie układała czyste niemowlęce ubranka.

– Gdzie ona jest? – zapytała z resztką nadziei w głosie. – Skąd ta sukienka? Gdzie jest moja Bettinka? Kiedy ją zobaczę?

Jej głos zabrzmiał nieoczekiwaną wesołością. Mock ją rozumiał. Owszem, minę miał grobową, jednak wciąż nie padło żadne zdanie, które by świadczyło o tym, iż jest on posłańcem żałobnej wieści.

– Bettina jest w kostnicy! Zdjęliśmy z twojego martwego dziecka tę sukienkę.

Powiedział to zdecydowanym tonem, jakby chciał zagłuszyć współczucie, które szarpało mu się w piersi. Jakby chciał udawać – choć łyzy cisnęły mu się do oczu – mocnego, nieczulego człowieka.

Herta rzuciła się na niego z pięściami i mocno go pchnęła. Uderzył się plecami o ścianę, zrywając makatkę z wizerunkiem uśmiechającego się bobasa, którą Herta niedawno przybiła gwoździkami do ściany.

– Jak śmiałeś zdjąć z niej sukieneczkę! Jak śmiałeś, ty bydlaku!

Biła go pięściami po piersi, w pewnym momencie trafiła również w szczękę. Zasyczała z bólu, gdy napięła się jej skóra na piersi, tam gdzie oprawca wbił nóż.

Ręce Herty opadły bezwładnie wzdłuż ciała. Otworzyła szeroko usta. Łzy zaczęły jej płynąć po policzkach. Niektóre wpływały do ust ich kącikami, inne kapały już z podbródka. Twarz nie wygięła się jednak w żadnym grymasie bólu, żadna zmarszczka nie pojawiła się na jej czole. Tylko wielkie błyszczące łyzy wskazywały na cierpienie matki, która właśnie dowiedziała się o śmierci dziecka.

Ale była to tylko pierwsza faza rozpacz.

Nagle Herta krzyknęła i oparła się o komodę. Jej twarz zaczęła się poruszać w skurczach bólu. Na czystej podomce pod pachami pojawiły się plamy potu.

Mock do tej pory panował nad przeszywającym go współczuciem. Łykał łyzy i całą siłą woli skupił się na tym, żeby ich nie było widać. Nie udało mu się jednak.

Wydarzenia dzisiejszego poranka oraz pragnienie alkoholu rozrywające mu mózg od momentu gdy ujrzał martwe dziecko, nie uczyniły z niego Mucjusza Scewoli.

Nie wytrzymał. Impulsem nie stał się wcale widok tej wrocławskiej Niobe.

Eberhardowi łzy wylały się z oczu, gdy spojrzał na komodę. Była bardzo starannie i nader gładko pomalowana białą olejnica. Żadnych zacieków, żadnych zgrubień farby.

Herta bardzo się starała, aby uczynić dom z tej ponurej nory, wetkniętej gdzieś w kąt podwórka. Dokładnie odnowiła komodę, pilnowała porządku w szufladach, codziennie nakręcała zegar i zmywała deski podłogi. Ale już nie było na tym świecie osoby, dla której warto było utrzymywać to lokum w czystości.

Myśli Mocka i Herty biegły tymi samymi drogami. Kobieta zaczęła wywalać na podłogę ubrania z szuflad.

I wtedy Eberhard zaszlochał. Zacisnął raz jeszcze powieki z całej siły. Nie odciął jednak swych zmysłów od otoczenia. Słyszał walenie drewna o podłogę.

Nie wiedział, jak długo trwało. Kiedy otworzył oczy, Herta leżała na łożku. Cicho, bez najmniejszego ruchu.

Przestąpił przez połamane szuflady, leżące na podłodze. Usiadł koło kobiety.

I tak siedział bez słowa. Godzinę, może dwie.

Herta w tym czasie nawet się nie poruszyła.



Ocknął się, gdy zegar wybił jakąś pełną godzinę. Nie liczył jego uderzeń, nie patrzył na tarczę. Czas nie miał dzisiaj znaczenia.

Herta nie spała. Siedziała na łożku pod ścianą. Przyłgnęła do niej plecami, kolana podciągnęła pod brodę. Plamy pod pachami podomki były ogromne.

W oczach kobiety pojawiły się złe błyski.

– Powiem ci wszystko pod jednym warunkiem.

Miała spokojny głos.

– Chcę umrzeć, muszę umrzeć, nie mam dla kogo żyć. Tylko mi nie mów, że jeszcze mogę mieć dzieci! Nic mi tylko nie mów! Nie odzywaj się, nie wal żadnymi zasranymi mądrościami! Siedź i słuchaj!

Mock skinął głową, ale nie siedział. Wstał. Podeszedł do wiadra z czystą wodą, na brzegu którego wisiała chochelka. Nalał nią wody do kubka i podał go Hercie.

– Napadł na mnie w piwnicy. Zamroczył mnie jakimś chemicznym preparatem. Bettinę schował do futerału na akordeon. Miał go ze sobą... Chłopaki z podwórka tak mówiły. Wywiózł mnie na tamten cmentarz, gdzie chciał mnie zabić, gdzie byliśmy... Ja urwałam tam kawałek tkaniny... Ale o tym wszystkim to już wiesz...

Trzymała kubek w obu dłoniach, przybliżała go do ust, lecz nie pociągnęła zeń ani łyka.

– Nie wiesz jednak czegoś... On zobaczył, że uciekłam, i przyjechał tutaj w nocy lub nad ranem. Czekał na mnie tutaj... Czekał...

Kubek wypadł jej z rąk, woda chlusnęła na pościel. Zapadło milczenie. Herta wciąż wspierała się o ścianę. Łzy znów zaczęły jej płynąć po policzkach.

– Jeśli chcę mieć dziecko żywe... – szeptała. – Tak powiedział tutaj. Jeśli dziecko ma być żywe... To mam milczeć przed glinami. Tak powiedział.

Spojrzała na Mocka ostro.

– Miałam ci nic nie mówić! I nic nie powiedziałam! A on i tak zabił Bettinę...

Eberhard oczekiwał, iż to ostatnie zdanie wywoła u kobiety kolejną falę rozpacz.

Tak się jednak nie stało. Herta zaczęła cedzić słowa z lodowatym spokojem.

– Ja już nie jestem człowiekiem, Mock. Jestem zemstą. Zaraz się przekonasz, powiem ci, jak się zemszczę. Słuchaj! Tylko słuchaj i nie sraj mądrościami!

Eberhard pochylił się ku niej, aby nie uronić słowa.

– Czekał na mnie w domu, jak wróciłam. Chwycił mnie, nagą i poranioną. I szeptał mi do ucha... Śmierdział. Smród jabłek wokół... Powiedział coś takiego: „Jeśli chcesz odzyskać dziecko, przyjdiesz wtedy i wtedy, tu a tu. Weźmiemy cię,

jakbyś była kurczakiem na rożnie: jeden od przodu, drugi od tyłu. Przygotuj się na ostry tartak. Tylko pary z ust masz bykom nie puścić”. Tak to powiedział.

„Ma ich być dwóch? – myślał gorączkowo Mock. – Ale jakim cudem dwóch! Chyba nie będzie żadnych dwóch! Bo Schlieps siedzi w areszcie, to może przyjdzie jeszcze ktoś inny! Ten, co dzisiaj w nocy obcował z martwą Diną Schwarzbart? A może to Eckmann? A dyrektor? Może to on?”

Nie zadał Hercie żadnego pytania. Nie zapytał o warunek, o którym wspomniała. Nie udzielał żadnych rad. Słuchał, milczał i patrzył ze zdumieniem, jak kobieta, przerażona i pogrążona przed chwilą w otchłani bólu, zamienia się w Panią Zemstę.

– I ja ci powiem, gdzie to jest „tu a tu”... I kiedy nastąpi ten rożen... Ten ostry tartak. Też ci to powiem. Tylko musisz spełnić jeden, jedyny mój warunek. Brzmi on: zorganizujesz moją śmierć. Nie na niby. Ale śmierć prawdziwą. Zorganizujesz mój zgon i pochowasz mnie razem z dzieckiem, rozumiesz?

Teraz to ona pochyliła się ku policjantowi.

– Musisz mu pozwolić mnie zadźgać. To będzie dobrowolna śmierć. Dołączę do Bettiny. Chcę z nią być. Na zawsze.

Mock patrzył na nią teraz z podziwem. Nie widział w niej prostytutki, lecz dzielną młodą kobietę o niezłomnym katońskim charakterze, która straciła sens życia i ma pełne prawo decydować o jego zakończeniu.

– A gdzież tu zemsta? – zapytał. – Jest tylko sprawiedliwość. To jej stanie się zadość, bo zaczaję się na sprawcę lub sprawców, zakuję ich w kajdany i wsadzę do więzienia. Ale zemsta? Gdzież tu jest twoja zemsta, Herto?

– Zaraz się dowiesz, jak będzie wyglądała. Kiedy zrobisz to, co ci zaraz powiem, kiedy położysz na tym stoliku to, czego chcę... Wtedy usłyszysz, gdzie i kiedy będzie ten tartak. I jaka będzie moja zemsta. Na jednym i na drugim. Bo do „rożna” potrzeba dwóch chłopów. Oni obaj mnie chcieli. Jeden śmierdzący jabłkami i jakiś jego kompan. Gdyby nie ci dwaj, Bettina by żyła. Bez zabicia tego drugiego zemsta jest nieważna. Posłuchaj, co się stanie...

I Herta mu powiedziała. Wszystko. Dokładnie. Szczegółowo przedstawiła swój plan zemsty.

Był przerażający, jednak Mock musiał przyznać, iż to, czego żądała, nie było zbyt trudne.

Lecz straszliwie okrutne.

I dla niej samej, i dla uczestników zabawy w „pieczenie kurczaka na rożnie”.



Eberhard wiedział, że jeśli położy na stoliku Herty to, czego żąda, i dowie się, gdzie i kiedy zostanie ukarany porywacz i morderca dziecka oraz jego kompan, to wtedy uruchomi się nieunikniony ciąg zdarzeń, w których ważnym wątkiem będzie śmierć kobiety.

Z jednej strony podziwiał ją za siłę ducha i za godne Katona Utyckiego decydowanie o własnym życiu, z drugiej zaś – po prostu nie chciał, aby umarła. W jego głowie rodziła się myśl, którą wciąż odrzucał, a która nieustannie wracała jak natręt. Nie chciał nawet ubierać jej w słowa, wierząc, iż może się ona urzeczywistnić jak magiczne zaklęcie.

Stał bezradnie na środku pokoju, aż Herta Rossenbach kazała mu wyjść i przyjść dopiero wtedy, gdy będzie miał to, czego chciała.

Kiedy opuszczał jej lokum, rzekł do samego siebie, wypowiadając na głos to, czego się obawiał:

– Nie chcesz, żeby umarła, bo bardzo ci zależy na niej, ty durniu!

Wiedział, że śmierć Herty jest warunkiem *sine qua non* złapania mordercy dziecka. Ale pozostawał jeszcze cień nadziei na uratowanie jej samej, była jeszcze jedna deska ratunku. Chwycił się jej teraz rozpaczliwie.

Uratować Hertę mógł tylko doktor Rudolf Epstein. Jedyńy z owego pijackiego tria z prosektorium – dewiantów, którzy z martwej dziewczyny zrobili sobie obserwatorkę ich partii skata. Mock wierzył, że odpowiednią perswazją skłoni go

do zeznań. Wiedział, że nie musi być wobec niego brutalny. Miał w zanadrzu skuteczne imadło.

– Jeśli konował powie mi coś, co doprowadzi do porywacza, a potem złapię i jego, i jego współnika, to być może obejdzie się bez krwawej ofiary? – szeptał. – Niewykluczone, że Hercie wystarczy, jeśli żywcem wspólnie zakopimy obu bydlaków w jakimś bezimiennym grobie na cmentarzu? Wszak Reddermann mi nie odmówi takiej uprzejmości! I może wtedy Herta, dokonawszy zemsty na obu, odrzuci myśl o samobójstwie?

Podrapał się po głowie i mówił dalej:

– A wtedy może przełamię własne opory przed związaniem się z byłą prostytutką? Może swą troską zjednam sobie jej nieufne serce?

– Masz nierówno pod sufitem? – usłyszał bełkotliwy głos. – Bo gadasz sam do siebie...

Podniesieniem ręki pozdrowił sąsiadów Herty, siedzących na podwórzu z kanką piwa.

– Napijiesz się? – zawołał jeden z nich.

Zwracanie się *per* „ty” do policjanta było zuchwałe, ale sama propozycja – przyjazna. Wiedział, co by się stało, gdyby ją przyjął. Obudziłby alkoholowego demona. Aby dzisiaj poprawić sobie nastrój, nie wystarczy łyk czy nawet kufel. A jutro nie wystarczy nawet cysterna. Będzie pił i pił, aż trafi na ulicę, a później do kostnicy pana Reddermanna.

Pokręcił głową przecząco i pokuśtykał w stronę wyjścia z podwórza.

Do Epsteina było niedaleko. Pięć minut później Mock minął narożną perfumerię Landsberga i okazawszy stróżowi policyjną odznakę, wspiął się na pierwsze piętro i zapukał do drzwi gabinetu opatrzone tabliczką.

Dr Rudolf Epstein

Choroby skórne i weneryczne



Tym razem otworzył mu stary służący o twarzy upstrzonej czerwonymi plamami, co nieodparcie nasuwało odwiedzającym – również Mockowi – myśl, że ów starzec nie jest najlepszą reklamą gabinetu dermatologicznego.

Człowiek ten był burkliwy i niezbyt przyjaźnie nastawiony do świata. Policyjna odznaka nie zrobiła na nim większego wrażenia. Oznajmił, że teraz pan doktor ma pacjentkę i za chwilę „może znajdzie czas dla kogoś nieumówionego”.

Mock machnął ręką na arogancję starego, nie miał zamiaru pokazywać mu miejsca w szeregu, bo już na dzisiaj wyczerpał limit swych nerwowych reakcji. Usiadł w przedpokoju, który był jednocześnie poczekalnią, i wzgardziwszy starymi tygodnikami wiszącymi na ścianie w drewnianych uchwytych, zapalił papierosa. Zza drzwi dochodziły ściszone głosy medyka i pochlipywanie jakiejś kobiety.

Minął prawie kwadrans, gdy głos Epsteina się podniósł, krzesło zaszurało na podłodze, a klamka się poruszyła. Drzwi się otwarły i pojawiła się w nich szczupła kobieca postać. Spojrzała na Mocka i szczerzej nasunęła na twarz czarną woalkę.

– Do widzenia, panie doktorze!

Prychnęła, mijając Eberharda.

„Pewnie chciała w ten sposób okazać lekceważenie męskiemu rodowi – postawił w myślach hipotezę – którego jakiś wredny przedstawiciel wykorzystał ją podle i zaraził tryprem”.

Wszedł do gabinetu. Epstein nie był zachwycony jego wizytą. Nie odpowiedział na powitanie, usiadł ciężko za biurkiem i zsunął do szuflady leżące na nim papiery.

Słońce padające z okna ujawniało wyraźnie niedostatki higieniczno-kosmetyczne doktora: włoski sterczące z uszu i z brody oraz nieopiłowane paznokcie żółte od nikotyny.

Mock nigdy nie mógł się nadziwić, iż ten pięćdziesięcioletni niechluj mimo swego zaniedbania i staromodnego stroju brylował na koncertach i na wernisażach w towarzystwie młodych artystów, z którymi był na ty. Policjanta drażniło również to, iż na owych przyjęciach co chwila towarzyszyła lekarzowi coraz to inna młoda

kobieta, co sugerowałyoby dużo wyższe dochody niż tylko honoraria wenerologa. Łatwy dostęp do morfiny – jak to bywa w wypadku lekarzy – owszem, mógł być jakimś uzasadnieniem tej komitywy, ale Mock nie zadowalał się prostymi wyjaśnieniami. W wolnych chwilach wciąż węszył wokół tego medyka, próbując rozszyfrować pochodzenie jego dochodów. Epstein oczywiście o tym wiedział i okazywał Mockowi tyle sympatii, ile gołębiom, które brudziły mu parapet.

Nieoczekiwany przybysz zamknął drzwi, podszedł do biurka i usiadł na jego brzegu. Uśmiechał się lekko, a zwisającą nogę wprawił w ruch wahadłowy, jakby był bardzo zrelaksowany.

– Co jest, Mock? – warknął Epstein. – Zaraz mam kolejną pacjentkę!

Był równie butny i arogancki jak jego służący. Najwyraźniej nie pamiętał ostatniej wizyty Mocka, kiedy to po silnym kopnięciu policjanta wylądował wraz z fotelem pod swoją szklaną gablotą.

Eberhard pod wpływem chwili postanowił mu teraz o tym przypomnieć.

A potem dopiero przedstawić argumenty rozumowe.

Popatrzył na jego krawat o nieokreślonej ciemnej barwie z przyklejonym pasemkiem makaronu. Przewyciężając wstręt, błyskawicznie chwycił go za gardło i pchnął w stronę gabloty, w której stały próbówki, menzurki i maści.

Pchnięcie było silniejsze niż ostatnio. Wtedy szyba, uderzona łokciem lekarza, tylko brzęknęła, teraz – trafiona podłokietnikiem fotela – trzasnęła zgrzytliwie. Pojawił się na niej zygzak pęknięcia.

Epstein nie protestował. Skulił się i patrzył na Mocka od dołu oczami wypełnionymi ciemną nienawiścią. Policjant podszedł do niego, mocno stukając obcasami.

– Dymałeś trupy w prosektorium, konowale? – Uczynił charakterystyczny gest przedramieniem. – Wraz ze swoimi funflami Eckmannem i Schliepsem, co? Szukałeś nowych wrażeń, co?

Chwycił go za ramiona i z całej siły wcisnął głęboko w fotel. Od lekarza biła woń stęchlizny i naftaliny, jakby swój surdut dopiero co wyciągnął z szafy.

– Mógłbym ci mordę wsadzić w tę gablotę, porysować ją trochę szkłem, bo golenie by ci się przydało!

Odetchnął głośno, okazując obrzydzenie, jakie wzbudzała w nim ta bliskość.

– Ale wtedy musiałbym mieć dłuższy z tobą kontakt, ty śmierdzielu!

Chwycił go za kołnierz i pociągnął do góry. Medyk posłusznie wstał. Mock pchnął go lekko w stronę okna, a sam zasiadł w obrotowym fotelu i podjechał do biurka.

– Nie dziwię ci się, Epstein, że nie chcesz tu siedzieć. – Uśmiechnął się krzywo. – Że marzysz o profesurze na uniwersytecie. Brudno tu i smrodliwie... Nie mógłbyś tu kiedyś posprzątać? Samemu albo dać zajęcie temu truposzowi, co mnie tu wpuścił. Dostarczyłbyś rozrywki staremu wenerykowi... Na co go leczyłeś? Tryper czy kalafiory?

Epstein podszedł do krzesła dla pacjentów i usiadł na nim ciężko. Mock z niechęcią spoglądał na jego zakurzone i powykrzywiane buty.

– Pozostańmy przez chwilę przy temacie uniwersytetu. – Poglaskał mikroskop stojący na blacie. – A właściwie przy kwestii konkursu na stanowisko profesora. Wiesz, Epstein, że uniwersytecki kanclerz przed rozpoczęciem procedury konkursu pisze do Sądu Krajowego^[181] list z zapytaniem, czy dany kandydat na profesora jest nieskazitelny z punktu widzenia prawa. Urzędnicy sądowi z Ritterplatz^[182] są bardzo skrupulatni i nie zadowolają się sprawdzeniem akt u siebie. Zawsze zwracają się do nas, do prezydium policji, z prośbą o zaktualizowanie informacji...

Wyciągnął papierosa i zapalił go powoli, nie spuszczając oczu z Epsteina, który kręcił się nerwowo.

– Twoje akta są czyste, Epstein, sprawdzałem. Wiesz jednak doskonale, że mogę je zabrudzić, zanieczyścić... Zacznę za chwilę. Aresztuję cię za posiadanie morfiny. Oczywiście jako lekarz, możesz ją mieć. Ale jutro przyjdzie do mnie przynajmniej trzech morfinistów i każdy z nich przysięgnie, że kupował narkotyk od ciebie. I tak zaczną radosną twórczość zasrywania twoich akt... Dodatkowo wmieszam cię w bezczeszczenie zwłok... Choć coś w tej twórczości może mnie

powstrzymać. Na przykład twoje szczere zeznania na temat kolegów trupojebców. No, powiedz mi, Epstein! Co cię łączyło i łączy z dwoma panami: Richardem Eckmannem i Eugenem Schliepsem?

Doktor przeczesał palcami swe długie, rzadkie włosy i założył je za uszy. Długo się nie wahał.

– Powiem panu wszystko – rzekł z kamienną twarzą. – Ja żadnych trupów... Z żadnymi nie obcuje. Ja mam tylko jedną namiętność. Morfinę.

Mock wyjął notes. Słuchał i pisał.

– A był to tak – rzekł medyk. – W roku wybuchu wojny popadłem w zawodowe tarapaty...



Doktor Rudolf Epstein w roku 1914 miał rzeczywiście duże kłopoty. Powodem było oszustwo, którego się dopuścił wobec pewnej pacjentki. Kobieta miała jakieś niegroźne uczulenie, które szczególnie się rozprzestrzeniło w okolicach ud i pudendów. Epstein powiedział jej, że zapadła na szczególnie groźny rodzaj syfilisu – nazwał go „syfem japońskim” – i przedstawił przerażonej kobiecie straszliwe perspektywy zdrowotne.

Kiedy pacjentka popadła w rozpacz, doktor zaczął ją uspokajać, iż może ją poddać eksperymentalnej terapii, która jest jedyną jej nadzieją. Do owej terapii potrzebna jest morfina, która w roku wybuchu wojny była wręcz marzeniem ściętej głowy, gdyż wszystkie jej zapasy skierowano do szpitali polowych.

Kobieta była żoną aptekarza, niezbyt wierną swojemu mężowi, o czym doktor doskonale wiedział, i obiecała – oprócz sowitego honorarium – dostarczać medykowi dodatkowe buteleczki z narkotykiem. Kradła je oczywiście z mążowskiego składu i sprawa szybko się wydała.

Aptekarz wpadł w furję i chciał wszcząć postępowanie dyscyplinarne przeciwko Epsteinowi we Wrocławskiej Izbie Lekarskiej. Ten, wiedząc, iż taki proces przed koleżeńskim trybunałem może pogrzebać jego marzenia o karierze

uniwersyteckiej, zwrócił się z prośbą o pomoc do swojego bardzo wpływowego pacjenta, którego kilkakrotnie leczył z różnych wstydlwych dolegliwości.

Był nim Paul Ammann, wówczas szef wrocławskiego Bractwa Pierścieniowców, poprzednik Schliepsa. Obiecał on zająć się problemem nieszczęsnego nałogowca. I zrobił to nader skutecznie. Aptekarz wycofał zarzuty i sprawa została zamieciona pod dywan.

Któregoś dnia Ammann zjawił się w gabinecie Epsteina i wyjaśnił, że udzieloną mu pomoc potraktował jako dobrą inwestycję. I teraz prosi o wzajemność oraz o długoterminową współpracę.



– Skontaktował mnie ze Schliepsem – mówił doktor, nie patrząc na Mocka. – Miał plan. Chciał wejść w interes funeralny. Otworzyć firmę pogrzebową, która by chowała bezdomnych i prostytutki. Czyli tych, o których nikt się nie upomni. Za ich pogrzeby miałby płacić magistrat. Niekiedy tym nieszczęsnym ludziom trzeba było pomóc zejść z tego świata. Tym się zajmowali siepacze Ammanna.

Nie patrzył na Mocka i mówił jak katarynka.

– Do tego interesu potrzebni byli Ammannowi jeszcze dwaj ludzie. Jakiś laborant w prosektorium, który by dawał cynk o bezdomnych trafiających w ręce Lasariusza, oraz lekarz, który by dokonywał pośpiesznych sekcji zwłok i udawał, że nie widzi, iż zgon nastąpił w wyniku zastosowania przemocy. Laborantem był Schlieps, a lekarzem ja. No i przy okazji zaprzyjaźniłem się ze Schliepsem i z Eckmannem, który z racji policyjnych obowiązków często bywał w prosektorium. – Uśmiechnął się lekko. – Nawet zostałem osobistym lekarzem ich wszystkich. Wypisuję im leki na wszelkie dolegliwości. Od maści na hemoroidy po laudanum...

Mock zamyślił się głęboko. Machinalnie otworzył szufladę biurka. Przelotnie przesunął wzrokiem po papierach, ogryzkach ołówków, strzykawkach i po

podwójnych szkiełkach, pomiędzy którymi naukowiec rozmazał kroplę jakiejś substancji, aby ją badać pod powiększającym okularzem.

– Syfilis czy tryper? – zapytał policjant w zamyśleniu.

– Słucham? Może pan zapytać pełnym zdaniem?

Mock potarł palcami skronie.

– Wiem, że Eckmann jest kawalerem tak jak ja. Tacy mężczyźni muszą jakoś zaspokajać swoje potrzeby. Raz nie włożyłem gumowego kapturka i zostałem pańskim pacjentem. Może i Eckmannowi to się zdarzyło? No to pytam. Syfilis, tryper czy może banalna drożdżyca?

– Jego jedyną chorobą jest cukrówka – odparł lekarz. – A poza tym jest chyba coś, co jego popędy trzyma mocno w ryzach.

Mock poczuł, że lekko go swędzi skóra na policzku. Czuł, że jedno, może dwa pytania dzielą go od mety.

– Jakie są symptomy cukrówki? – zapytał.

– Jest ciągle spragniony, pochłania ogromne ilości płynów – odparł Epstein. – Często oddaje mocz...

– Śmierdzi jabłkami?

Mock drżąc, czekał na odpowiedź. I zaraz padła:

– Tak. Śmierdzi, jak się spoci. Dlatego myje się bardzo często, używa talku. Stara się też tłumić tę woń mocnymi perfumami i wodą kolońską.

Doktor pokiwał głową.

– Zresztą smród się wzmógł dopiero w ostatnich tygodniach. Wcześniej nie był tak mocny. On się pojawia najczęściej wtedy, gdy Richard tego sobie podje. Staje się wtedy pobudzony i agresywny.

Mock nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

„Porywaczem i mordercą jest Eckmann! – myślał gorączkowo. – Przyprawdę go Hercie na sznurku i ona się na nim zemści! Nie będzie musiała sama siebie składać w tej straszliwej krwawej ofierze!”

– Ja gdy jestem pobudzony i agresywny, to pragnę kobiety, że tak się panu zwierzę. A on? Chce mu się wtedy obcować?

– Tak – odparł medyk. – Bardzo się chce.

– I bierze wszystko, w co trafi przyrodzeniem? Nawet trupa w prosektorium?

Epstein złożył dłonie pod brodą. Na jego obliczu pojawił się dziwny smutek.

– No właśnie... – szepnął. – Już powiedziałem, że jest chyba coś, co go powstrzymuje przed tym „trafianiem”. Opowiem coś panu. Wiem, że łamię tajemnicę lekarską, ale... Czuję się rozgrzeszony. Ten bydlak pobił kiedyś pannę Berger...



Eckmann był wtedy pijany. W celach czysto towarzyskich odwiedził „swojego Rudiego”, jak nazywał Epsteina. Siedzieli sobie w gabinecie i przerzucali się dowcipami, kiedy weszła Therese Berger. Na widok kobiety Eckmann zerwał się z krzesła i uderzył ją.

Panna Berger uciekła, a damski bokser wyjaśnił przyjacielowi, że „starej dostało się to, na co zasługuje”. Doktor, zniesmaczony bardzo tym, że w jego gabinecie pobito panią, z którą od lat robił dobre interesy, zażądał od Eckmanna dalszych wyjaśnień. Ten odpowiedział:

– Taka jedna jej suka... Klaudyna jej na imię było. Pogryzła mnie suka dotkliwie. No wiesz, tam na dole... No i kiedy mi staje, to boli bardzo...



Epstein spojrzał na Mocka.

– Nie chciał mi pokazać, *Herr Polizei-Assistent*, więc nie wiem na sto procent, czy jest zdolny do kopulacji. Po paru dniach wszystko odwołał, twierdząc, że nagadał mi bzdur po pijanemu. Nie chciało mi się też zgłębiać literatury na ten temat. Co mnie obchodzi, czy komuś staje, czy nie... Nie jestem pewien na sto procent. Powiedziałem przecież „chyba”! – Odetchnął ciężko. – Wszystko panu

wyznałem. Już się nie boję. Ammann ledwo dycha, ma raka... Schlieps siedzi w więzieniu, nic mi nie robi. Jego synek Otto został wprowadzie mianowany przez starego na następcę, ale on na pewno nie pójdzie w ślady ojca. Ten chłopak zapowiada się raczej na pastora albo na organistę. Nic mi nie grozi, *Herr Polizei-Assistent!* Mogę się zająć w końcu pracą naukową, a nie wystawiać gangsterom fałszywe zaświadczenia.

Wstał.

– No właśnie – uśmiechnął się lekko. – Może mi pan zwolnić miejsce za biurkiem? Chcę do mikroskopu... Mam nadzieję, że moje akta w archiwum policyjnym będą czyste.

– Jak łąza, drogi doktorze – zapewnił go Mock.

Po zdobyciu tych wszystkich informacji jego serce przepęniała wdzięczność wobec losu, a także Epsteina.

Zrobienie mu miejsca przy mikroskopie i zadbanie o to, aby nic nie zszargało jego opinii w królestwie Herberta Knorra, było doprawdy niewysoką ceną za potężny krok naprzód, jaki uczynił w tym śledztwie.

Miał w kleszczach Eckmanna.

„A jeśli uda mi się odciągnąć Hertę od śmierci – pomyślał – to może wtedy zrobię krok milowy i w moim własnym życiu?”

[178] Obecnie osiedle Kozanów.

[179] Obecnie ul. Pilczycka.

[180] Obecnie ul. Pałucka i częściowo ul. Kozanowska.

[181] Obecnie gmach Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Wrocławskiego.

[182] Obecnie pl. Nankiera.

XIII

Znikąd nadziei

SŁOŃCE ZACZEŁO SIĘ JUŻ CHYLIC KUCHACHODOWI, gdy na biurku w portierni prezydium policji zaterkotał telefon. Strażnik Maron podniósł słuchawkę i wysłuchał tego, co miał do powiedzenia rozmówca, który się przedstawił jako Engelbert Sdunek. Jego komunikat był bardzo krótki:

– Młyn Guzikowy, stodoła.

Josef Maron wiedział, co ma uczynić, gdy usłyszy owo osobliwe miano i zaszyfrowaną wiadomość. Natychmiast wykręcił numer pokoju Mocka. Asystent policyjny wysłuchał i podziękował strażnikowi.

Sprawa była zbyt delikatna i zbyt poważna, aby polegać na oficjalnym połączeniu przez policyjną centralkę telefoniczną. Pracownicy ją obsługujący, panna Greta Steinfuss i pan Klaus Wiese, byli ludźmi ciekawskimi, a pracę mieli niezbyt absorbującą, mogliby zatem z nudów podsłuchiwać, jeśliby dzwoniący od razu chciał się połączyć z Mockiem. Sprawy obyczajowe były dla nich zawsze ekscytujące. Chęć rozmowy z Maronem natomiast nie budziła raczej ich zainteresowania.



Młyn Guzikowy, czyli miejsce, w które Mock miał się dzisiaj udać, było bardzo blisko jego domu nad Oławą.

W pobliżu granic miasta rzeka przyjmowała postać małych bagnistych rozlewisk i kryła się wśród trzciny. Przy zacisznym zagajniku, gdzie w czasie Świąt Wielkanocnych Mock nadaremnie szukał spokoju, nagle i nieoczekiwanie wyrzucała jakby spod ziemi dwa bystre i szerokie ramiona, zwane Górną i Dolną

Oławą. Oblewały one bezimienną wyspę, z grubsza przypominającą równoległobok postawiony na jednym z wierzchołków. Zachodni wierzchołek owej figury był mostem, obok którego pieniała się woda rzeki, poruszając wielkim młyńskim kołem. Tam wynurzał się spośród drzew stary Młyn Guzikowy i zabudowania gospodarcze jego obecnego właściciela młynarza Franza Folgnera. Malowniczy pejzaż sprawiał, iż częstymi gośćmi nad tutejszymi wodami Oławy byli studenci Akademii Sztuki i Rzemiosł Artystycznych albo malarze amatorzy. Siedzieli godzinami i malowali ów młyn, noszący swą zagadkową nazwę już od średniowiecza.

Mąki nie kupowali, a za piwo i za bułki też nie bardzo mieli czym płacić. Właściciel wolałby oczywiście, aby częściej od artystów zaglądali do niego piekarze, którzy – podobnie jak on sam – też musieli zacisnąć pasa i nie kupowali tyle mąki co kiedyś, bo również ich klientela mocno zbiedniała. Folgner potrzebował zatem każdego grosza, tym bardziej że jego obejście od lat wymagało remontu.

Niewysoki pan ubrany z krzykliwą, ekstrawagancką wręcz elegancją, który przed kilkoma miesiącami przyjechał do Folgnera dorożką i zaproponował wynajęcie pustej i nieużywanej stodoły, spadł mu zatem jak z nieba. Młynarz nie miał najmniejszych oporów, aby swemu najemcy uroczyście obiecać, iż nie piśnie nikomu słowa o ich umowie i że nigdy nie będzie zaglądał do wynajętego budynku.

Heinrich Cornelius Wirth, który mniej więcej właśnie wtedy rozpoczął swój przemysłowy proceder, również był bardzo zadowolony z zawartej transakcji. Nie dysponował bowiem żadnym magazynem, w którym mógłby przechowywać trefne towary, a ten świeżo wynajęty był nie tylko duży, ale i bardzo dyskretnie położony.

Otoczenie młyna o zmroku nie miało wielkiej wartości dla malarzy, a właśnie wtedy barki wiozące przemycane dobra zatrzymywały się na wysokości folwarku Bischofswalde^[183], przy naprzeciwległym brzegu Odry. Stamtąd jakiś współpracujący z Wirthem chłop lub rybak ze wsi Pirscham^[184] transportował je furmanką niewiele ponad pół kilometra dalej, do miejsca, skąd spławiano je po wodach Oławy łódką do Młyna Guzikowego.

Dotąd Eberhard Mock bardzo lubił to miejsce z powodu jego walorów krajobrazowych oraz spokoju i ciszy, jakich można było tam zaznać. Od dzisiaj Młyn Guzikowy będzie mu się zawsze kojarzył – taką przynajmniej miał nadzieję, gdy tam jechał na rowerze – ze zwycięskim zakończeniem sprawy porwania i śmierci nieszczęsnej córeczki Herty Rossenbach. Ta myśl wywoływała oczywiście pewien odruch satysfakcji, choć uczucie to było raczej nikłe z powodu smutku, jaki wzbudziła w Mocku śmierć dziewczynki i rozpacz, w jaką wpadła jej matka.

Przejechał przez most, minął dwóch ubranych w fartuchy malarzy i zatrzymał rower przed wejściem na młynarską posesję. Zsiadł z niego i poprowadził go przez podwórze.

Ostrożnie się rozglądał. Nie wiedział, gdzie jest stodoła. Nie był tu jeszcze nigdy i nie miał pojęcia, czy jakiś wiejski burek nie poszarpie mu spodni. Wbrew jego obawom dużego psa uwiązano przy budzie i jedynie zaszczekał potężnie, dając znać swemu panu, że oto na podwórzu pojawił się intruz.

Młynarz, widząc, że ten zmierza w stronę stodoły, natychmiast stracił nim zainteresowanie.



Richard Eckmann wisiał głową w dół. Kostki jego nóg były obwiązane kilkakrotnie grubą liną do cumowania barek. Miał na sobie tylko buty i kalesony. Jego włosy, zwykle starannie uczesane, teraz zwisały nad klepiskiem stodoły grubym, groteskowym, sklejonym pomadą pasmem. Ramiona i boki znaczyły czerwone pręgi, siniejące już na krawędziach. Widomy znak, że niemowa Zupitza dobrze się odnalazł w roli biczownika.

Mimo ciepłej pogody w kącie dymiła koza, której rura wydechowa przechodziła przez dziurę w desce i wystawała na zewnątrz. Na klepisku leżał kauczukowy wąż, jakich używano na małych barkach w pompach do odsysania

wody. Wydawał się cienki i niegroźny, lecz w rękach potężnie zbudowanego niemowły Zupitzy stawał się źródłem palącego bólu.

Mock bez słowa podał rękę olbrzymowi i zbliżył się do jego szefa. Wirth na widok Mocka wstał, językiem przerzucił papierosa z jednego kącika ust w drugi i poprawił jaskrawozielony krawat, wyłaniający się ze śliwkowej kamizelki.

– Nikt nic nie widział, jakeśmy go brali – powiedział, ściskając prawicę Eberharda. – Nagrzewać już pręt?

– Do białości – odpowiedział Mock i rozejrzał się za jakąś skrzynką.

Znalazł ją w sąsięku, wyciągnął i przysunął do wiszącego człowieka.

Usiadł na niej okrakiem. Nie patrzył na więźnia, lecz obserwował, jak Zupitza rozgrzewa pręt w kozie.

Po chwili Eberhard przeniósł wzrok na opuchniętą twarz Eckmanna.

– Zabiłeś to dziecko? – zapytał. – Córeczkę Herty Rossenbach. Zabiłeś?

– Nie! – krzyknął torturowany. – Ono samo umarło. W nocy. Przestało oddychać. Po prostu przestało i umarło! To był pech, straszny pech! Nikt tej dziecinie nic nie zrobił!

Kiedy mówił, ślina tryskała mu z ust. Jedna kropla upadła na spodnie Eberharda. Opluty poczuł, jak w jego piersi bucha płomień.

Oto przed nim wisi – zdany na jego łaskę i niełaskę – zbrodniarz, przez którego umarło dziecko, i podlec, który za swe czyny zainkasował wielką nagrodę.

Nie wytrzymał. Wzniósł dłoń i jej kantem uderzył wiszącego w szczękę tak mocno, jakby chciał oderwać mu głowę od szyi. W tym momencie gdy poczuł w dłoni przeszywający ból, zdało mu się, że Eckmannowi coś chrupnęło w karku. Rozkołysało się wiszące ciało.

Boleść, jaka przenikała dłoń, pomogła Eberhardowi opanować myśli. Wstał i zatrzymał wahadło, w jakie teraz zamienił się Eckmann. Podeszedł do niego i pociągnął nosem.

– Śmierdzisz jabłkami, skurwysynu – syknął. – A zatem nie kłamiesz. To ty porwałś Hertę i jej dziecko. Wpakowałeś jej nóż w serce, a przynajmniej tak

sądziłeś... To ty groziłeś Knorrowi.

Zobaczył, że Eckmann ma zamknięte oczy. Przez jego policzki przebiegały jakieś skurcze.

– Wody mu na łeb, Zupitza – powiedział Mock do niemowy. – Mam nadzieję, że go nie zabiłem.

Nadzieja na szczęście nie okazała się płonna. Zupitza chlusnął wodą z wiaderka w twarz Eckmanna. Ten otworzył oczy, a właściwie jedno, bo drugie było całkiem zapuchnięte.

Mock czekał chwilę, aż woda spłynie na klepisko.

– Było tak – syknął do wiszącego, masując dłoń. – Ty zabijałeś te nieszczęsne prostytutki i dostarczałeś ich ciała Borsukowi. On je dymał, nie ty, prawda? Bo ty nie możesz... Masz pokiereszowanego ptaszka, co?

Eckmann milczał.

– Jeśli nie będziesz zeznawał, to cię zmuszę – mruknął Mock.

Spojrzał na Zupitzę, który właśnie wyjmował z kozy pręt i przyglądał mu się uważnie, jakby naocznie chciał sprawdzić jego temperaturę.

– Na temat ptaszka nie musisz mi nic opowiadać – ciągnął Mock. – Wystarczy, że ściągnę ci gacie. Co? Mam ci ściągnąć te kalesraki?

– Tak... Prawda... – wychrypiał Eckmann. – Nie mogę dymać. Ani żywych, ani martwych kurew! Dziwek wstrętnych i śmierdzących, tych szczurzyc, co gryzą i choroby przenoszą!

Mock uśmiechnął się lekko.

– No dobrze – westchnął. – Zabijałeś te kobiety, bo miałeś do nich jakiś żal, prawda? Nazywasz je dziwkami, szczurzycami... Ale martwe ciała dymał Borsuk. To wszystko wiem. A teraz powiedz mi coś, czego nie wiem. Dlaczego to robiłeś? Gadaj wszystko po kolei. Najpierw niech się dowiem, skąd znasz Borsuka! Czy z prosektorium, czy już wcześniej go znałeś? Słyszałem, że w kiciu siedziałeś, co, Vidocq?

Eckmann przez chwilę milczał.

– Siedziałem w ciupie za niewinność – wysapał po chwili. – Byłem wojskowym, oficerem, porucznikiem, zajmowałem się dostawami mundurów, furazem. Oskarżono mnie o malwersacje, o łapówkarstwo... Że niby brałem grubą forszę od fabrykanta von Schwasta za załatwienie mu zamówień od wojska na mundury. To nieprawda, ale siedziałem. Borsuk jako więzień funkcyjny usługiwał osadzonym oficerom. Moi współwięźniowie wywyższali się ponad niego. Gardzili nim. Traktowali go jak służącego... Ja odnosiłem się do niego z szacunkiem. Zdobyłem jego życzliwość, a nawet przywiązanie.

Oddychał ciężko. Jedna powieka była tak opuchnięta, że widać było tylko małą szparkę. Charczał, a z jego ust zaczęła się sączyć strużka śliny.

– Byłem niewinny, a adwokat udowodnił to w apelacji. – Jego głos nieoczekiwanie zrobił się piskliwy. – Wyszędłem, armia zatuszowała całą sprawę dzięki wpływom von Schwasta. Zmieniłem oficjalnie nazwisko, dostałem dobrze płatną pracę w policji jako zadośćuczynienie za straty moralne, cha, cha, cha!

Ten śmiech zabrzmiał upiornie w pustej przestrzeni stodoły. Jaskółki zerwały się spod powały. Wirth się skrzywił. Zupitza wyjął zza pazuchy butelkę i pociągnął z niej spory łyk.

– Borsuk mi się odwdzieczył za ludzkie traktowanie. – Teraz Eckmann szeptał. – To on nakłonił von Schwasta do pomocy, by mi pracę załatwić...

– A twoja wdzięczność, Eckmann, czym się objawiała? Postanowiłeś zabijać prostytutki, mścić się na nich, bo ci jedna kiedyś kutasa pogryzła, a potem ciała tych kobiet dostarczałeś dewiantowi Schliepsowi. Na przykład Dinę Schwarzbart... Tak było, Eckmann?

W niezapuchniętym oku pojawił się błysk wściekłości.

– Nie udowodnisz mi tego, skurwysynu! – krzyknął i nagle ściszył głos. – Zresztą to bez znaczenia... Powiem ci wszystko, Mock! Spuść mnie na ziemię, ja ci wszystko powiem po dobroci. Na miłość boską, Mock!

– Takiś chętny do pomocy? – Eberhard poczuł zdziwienie, ale i pewien niepokój, że sprawy zaczynają mu się wymykać z rąk.

– Bo ja wkrótce umrę – zacharczał Eckmann. – Bo ja nie chcę żyć... Bo mnie już wszystko jedno. Dziwki można zabijać, bo to zakały rodu ludzkiego, ale dziecina niewinna! Przeze mnie umarła. No, spuść mnie na ziemię, Mock.

Eberhard kiwnął na Zupitzę. Ten powoli zwolnił linę i po chwili Eckmann leżał na ziemi. Długo się napawał tą zmianą na lepsze. Oddychał głęboko z wyraźną ulgą. W końcu zwrócił ku Mockowi swe zdrowe oko.

– A Dinę zabrałem wprost z ulicy. I kilka dobrych dni trzymałem na cmentarzu.



W kostnicy było zimno, lecz w piwnicy pod nią – jeszcze zimniej. Wielkim kluczem otworzył kłódkę w klapie w podłodze, podniósł właz i zszedł ciężko po kilku stopniach.

Zapalił światło. W kącie kulila się przerażona Dina Schwarzbart. Była naga i sina z zimna. Gęste rude włosy zasłaniały jej piersi i łono.

Uśmiechnął się do kobiety. Poczował erekcję, ale za chwilę nadszedł ból, ściskający mu członek stalowymi kleszczami. Wściekłość zakłębiła mu się w piersi.

Takie jak ona zasługują wyłącznie na jego bagnet. Tylko bagnetem takie... Nic a nic go nie boli, kiedy stalowym ostrzem penetruje ich ciało.

W tej małej piwniczce trzymał kobiety żywe. Stąd je wyciągał, gdy w kostnicy kamienny stół był wolny. Tam swym bagnetem usuwał z tego świata jego zakały, a potem odchodził.

Po nim w kostnicy pojawiał się tamten.

Uśmiechał się do Diny. Zza pazuchy wyjął zawiniątko. Rozpakował je.

– To prezent dla ciebie – mruknął. – Jedwabne pończoszki. Włóż je, a potem buty i szykuj się na wszystko! Na orgię, jakiej nie przeżyłaś, ty szmato!



Kiedy wydała z siebie ostatnie tchnienie, szarpnął za bagnet i wyciągnął go z niej. Rozległo się jakby ciche mlaśnięcie.

Usłyszał ciężkie kroki na schodach. Tamten ostrożnie stawiał kroki w ciemności.

Stanął blisko.

– Dziecko umarło – powiedział powoli. – Tej nocy. Mam je przy sobie. Włożę do trumny z tą dziwką. Nikt nic nie wie, cicho sza...

Morderca odwrócił się gwałtownie i chwycił przybysza za gardło. Dobrze trafił, tamten zaczął się dusić.

– O kurwy nikt nie pyta, trupojebco! – ryknął Eckmann. – To były ludzkie śmieci bez rodzin! Ale dzieciątka nie można tak po prostu zakopać! Bez księdza, bez modlitwy! To ludzka istota, ty skurwysynu!

Tamten wyrwał się z uścisku i wymacawszy brzeg stołu, stanął po jego drugiej stronie, w bezpiecznej już odległości.

– Spokój! – powiedział z naciskiem. – Spokój, i to już! Jeszcze raz tylko spróbuj mnie dusić, to powiem wszystko Mühlhausowi. I zaraz się okaże, jakim jesteś wspaniałym zwycięzcą śledztwa w sprawie Behringera! Ciesz się swoim cudownym apartamentem z widokiem na rzekę! Nie żądam, żebyś go sprzedał i podzielił się ze mną! Ale żądam, abyś mi dostarczał dalej takich jak ona.

W ciemności rozległ się szelest, gdy przesuwiał dłonią po udzie martwej dziewczyny obleczonym w pończochę.

– Przestań się mazgać, Richard! – powiedział pojednawczo. – Jest działanie, jest zysk. Ty się mścisz, ja mam uciechę! Nie zmieniaj tego stanu rzeczy! Jest dobrze, Richard! No, idź już stąd, bo chcę być z nią sam. Ostro mnie już do niej bierze...



– Nazwisko! – Mock otarł pot z czoła. – Nazwisko tego nekrofila! Czy to Eugen Schlieps?!

– Masz opinię dziwkarza, Mock. – Związany na klepisku Eckmann jakby nie dosłyszał pytania. – To wyobraź sobie, że gdy ci staje, to pojawia się potworny ból, jakby ci ktoś zaciskał drut na fujarze... I zaraz ci smętnie opada. Byłeś mężczyzną, jesteś flakiem. To sprawiła pewna Klaudynka. Chciała mi odgryźć, rozumiesz, bo ją za bardzo zmuszałem do dmuchania balonika, a ona tego nie lubiła! Ja w ogóle, jak jeszcze byłem buhajem, to lubiłem różne sztuczki. Na przykład pieczenie kurczaka na rożnie... Wiesz, co to jest?

Mock wiedział, ale milczał.

– To ją zabiłem. A potem zabijałem inne. Nikt o nie nie pytał, nikt się nimi nie interesował...

Ciężko oddychał przez chwilę, jakby te wspomnienia wywołały u niego podniecenie.

– I kiedyś pewien nekrofil odkrył mój proceder. Zaproponował umowę. Ja zabijam, on dyma. To zamożny człowiek, dobrze mi płaci. Obopólna korzyść. Jest działanie, jest zysk, twoja zemsta, moja uciecha. Tak do mnie mawiał.

– Nazwisko! – Mock wstał ze skrzynki. – Nazwisko tego zbrodźca!

Eckmann się uśmiechnął, co na jego opuchniętej fizys wywołało jakby skurcz. Jego związane jak baleron ciało lekko drgnęło. Po chwili mocniej.

A potem zaczął gwałtownie poruszać nogami. Gdyby na klepisku był śnieg, to pewnie ruchami swego ciała wygrzebałby w nim jakąś głębszą jamę. Tymczasem wzbijał tylko kłęby kurzu. Ta cała pantomima miała świadczyć o rozbawieniu.

– Nauczyłem się jednego w więzieniu – zawołał pełnym głosem. – Nie zdradza się koleżków! Rozumiesz?! Gównu się ode mnie dowiesz! To jest mój honor, którego nigdy nie splamię. Grozisz mi śmiercią? Idioto, ty mi grozisz tym, czego pragnę. Jak tylko stąd wyjdę, to rzucę się na młyńskie koło. Nie mam rodziny, po co mi mieszkanie? Nawet podymać nie mogę! Po co mnie żyć? Właśnie dlatego ci wszystko powiedziałem! Życie już nie dla mnie!

Mockowi huczało w głowie. Zdawało mu się, że w stodole jest jakieś echo, które podbija okrzyki Eckmanna. Czuł, że zaraz mózg mu eksploduje, a jego

kawałki rozplasną się po deskach sąsiedku jak miękki miąższ arbuza. Już wiedział, że bez złapania tego drugiego nie spełni warunku Herty. I jej nie ocali.

– Nie mogę! Już nie mogę! – szeptał.

Podszedł do Zupitzy i wyciągnął dłoń. Niemowa zdjął rękawiczkę i wskazał oczami rozpalony do białości pręt.

– To za chwilę – powiedział Mock przez zaciśnięte zęby. – To za chwilę! Teraz daj mi wódki!

Pił, pił i pił.

A potem przypalał Eckmanna i w przeraźliwym swądzie skóry i tkanek, wrzeszczał:

– To za Hertę! To za jej dziecko! To za Dinę! To za twój kryminalny triumf! To za mieszkanie z ojcem w norze! To za mój powrót do nałogu!

Eckmann mimo tortur nie wyjawiał nazwiska dewianta.

Herta musiała umrzeć.



Eberhard był pijany. Wyszedł z obejścia pana Folgnera i nieudolnie prowadził rower, który raz się przekrzywiał w jedną stronę, spadając na prowadzącego, a raz w drugą, ciągnąc go ku sobie i sprawiając, że Mock zbaczał z wyobrażonej linii prostej, której usiłował się trzymać.

O dziwo, jego umysł – jak dotąd – nie został zamroczony prawie całą butelką palinki, którą to węgierską wódkę właśnie szmuglowała spółka Wirth & Zupitza. Rozumował wciąż trzeźwo i dość jasno. Wiedział, że jest to stan tymczasowy, że zaraz jego myśli pogrążą się w pijanym chaosie.

– Wszystko się kończy – szeptał do siebie. – Nie powstrzymałem Herty przed śmiercią. Ona umrze, umrze Eckmann. Obydwoje tego chcą, no to umrą!

Torturowany policjant z początku nie chciał się zgodzić na plan Herty. Rozżarzony pręt przyśpieszył jego pozytywną decyzję w tej kwestii.

Mockowi pozostawało tylko jedno: spełnić żądanie panny Rossenbach. Aby poznać czas i miejsce aktu zemsty, musiał dać jej coś, czego pragnęła. A owo „coś” mógł uzyskać jedynie od medyka sądowego doktora Wolfganga Lasariususa.

Upojenie alkoholowe nadchodziło nieubłagane. Mock czuł, że zaraz spadnie na niego jak ciepła wilgotna zasłona, że zaraz mu spęta nogi, zablokuje język i odbierze pamięć.

Postanowił przechytryć zbliżającego się demona. I to był najlepszy dowód na jego pijany stan – myśl, że można odpędzić, opóźnić coś, co jest nieuchronne jak wystrzał po naciśnięciu cyngla.

Uśmiechając się do młodej malarki, która właśnie dołączyła do swoich kolegów, położył rower i zaczął się rozbierać.

Zaraz się zanurzy w chłodnej wodzie, zaraz się oczyści z alkoholowego czadu i będzie znów myślał jasno i logicznie.

Stanął na moście i szykował się do skoku w spienioną wodę tuż za młyńskim kołem.

Nagle poczuł silny uchwyt. Zupitza ściągnął go z kamiennej barierki.

Wtedy świadomość Eberharda rozmyła się i rozproszyła. Rozpłynął się w alkoholowej nirwanie.

Potężny niemowa uratował mu życie.



Następnego dnia Mock obudził się grubo przed świtem. Z gardłem palącym od pragnienia, z ustami wysuszonymi jak żużel, ubrał się we wczorajszą przepoconą koszulę oraz w pogniecione ubranie. Nie znalazłszy krawata, zapiął koszulę pod szyją i z butami w rękach zszedł po cichu po drabinie do dawnego sklepu stryja Eduarda. Tam wsunął obuwie na stopy i zdając sobie sprawę, że jego pugilares jest pusty, ruszył na piechotę w stronę miasta.

Potykał się, przeklinał szpetnie, ale szedł – jak ktoś, kto nie ma już wyboru, tylko musi maszerować przed siebie.

Godzinę później wchodził – drżący od kaca i mokry od potu – na teren Wydziału Medycznego wrocławskiej Alma Mater.

Usiadł na ławce przed prosektorium. Wiedział, że doktora Wolfganga Lasariusza jeszcze nie będzie, ale wszystko było lepsze, choćby siedzenie godzinami na ławce przez Instytutem Lekarsko-Sądowym, niż rozmowy z własnym ojcem i utyskiwanie starego, na które byłby skazany, gdyby wstał i wyszedł później niż o godzinie piątej.

Siedział zatem ponad trzy kwadransy, podpierając rękami czoło i katując się myślą: „Dobrze ci tak, pijaku, nachlałeś się, to cierp”.

Budził przy tym zdumienie studentów zmierzających na zajęcia po przerwie wielkanocnej. Wiedział, że wygląda w ich oczach – nieogolony, bez krawata – jak pener, który przypadkiem zawędrował na kampus uniwersytecki.

Zdawał też sobie sprawę z tego stróż budynku, w którym mieściło się „królestwo umarłych”, jak nazywano instytut Lasariusza. Ów pedel, zacny człowiek nazwiskiem Hans Kuchciok znający dobrze Mocka, postanowił oszczędzić mu dalszego wstydu.

Zabrał go do stróżówki, obficie napoił wodą oraz kompotem jabłkowym ugotowanym przez małżonkę, a nawet nakarmił kanapką z serem. Poczęstował papierosem i pozwolił siedzieć u siebie aż do czasu, gdy przybędzie dyrektor instytutu.

Lasariusz przyszedł przed dziewiątą i choć krytycznym okiem ocenił stan Mocka, to jednak wysłuchał go i udzielił stosownej rady w kwestii, która sprowadziła do niego policjanta.

Eberhard dowiedziawszy się tego, po co tu przyszedł, podziękował i doktorowi Lasariuszowi, który śpiesząc się na wykład, na szczęście nie wnikał, po co Mockowi te dziwne informacje, i portierowi Kuchciokowi za jego dobre serce, dzięki któremu objawy kaca stały się nieco mniej jadowite.



Ten dzień był bardzo intensywny. Mock długo konferował z radcą kryminalnym Heinrichem Mühlhausem, a później odwiedził jeszcze doktora Epsteina. Wczesnym popołudniem zapukał do drzwi panny Herty Rossenbach. Pod szyją miał krawat kupiony za kolejną pożyczkę od nieocenionego Smolorza. Rozchełstana koszula oznaczałaby jego zdaniem brak szacunku wobec kobiety, która już prawie wsiadała do łodzi Charona.

– Masz? – zapytała, otworzywszy mu drzwi.

W odpowiedzi wyciągnął dłoń. Na niej leżało zawinięte w chusteczkę to, czego żądała.

– To się stanie dzisiaj wieczorem – rzekła lekko. – Dwudziestego piątego kwietnia. Ostatni piątek miesiąca. Kostnica, cmentarz w Cosel[185].

– Dostaniesz to przed samym wejściem na cmentarz – rzekł twardo. – Wciąż wierzę, że się rozmyślisz...

Kiwnęła głową.

Całe popołudnie i wieczór spędzili razem. Wieść o znalezieniu porywacza dziewczynki, który przyznał się do winy, Herta przyjęła dość chłodno – bez żadnych emocji, jakby sukces Mocka był normalnym i naturalnym zadośćuczynieniem ze strony złego losu. Nie pochwaliła Eberharda, nie okazała satysfakcji, jedynie dwukrotnie się upewniła, co się stanie z Eckmannem po jej śmierci.

Kiedy Mock usiłował przedłożyć jej swój plan, który był ostatnią, rozpaczliwą próbą uratowania kobiety, spokojnym tonem kazała mu się zamknąć.

Zamknął się zatem, a ona też nie rzekła już ani słowa.

Herta szykowała się na śmierć i chciała po sobie zostawić porządek. Eberhard – jakkolwiek uważał sprzątanie w jej sytuacji za irracjonalne – to jednak pomagał kobiecie w osobliwym pożegnaniu się z tym światem. Wraz z nią doprowadził do ładu mieszkanie, umył podłogę, talerzyk i kilka szklanek. Tylko ubrań w szufladach komody nie pozwoliła mu układać.

Przez cały czas milczeli.

Bo jeśli nie da się powiedzieć niczego sensownego, trzeba milczeć.

W tym milczeniu umysł Mocka pracował na najwyższych obrotach.



Rozstali się pod komisariatem rewiru XXV przy Bärenstrasse^[186] na odległym osiedlu Pöppelwitz^[187]. W czasie drogi z Agnesstrasse^[188], a była to podróż przez pół miasta, Mock już nie milczał.

Przez cały czas namawiał Hertę do zmiany decyzji. Przekonywał, że może udawać zmarłą, że może leżeć nago bez ruchu na stole w kostnicy, a wtedy on, Mock, i jego ludzie zablokują cios mordercy, a potem przydybią zbrojeńca, gdy będzie się do niej zbliżał.

Nie patrzyła na Mocka. Jej odmowa była zdecydowana i pozbawiona jakichkolwiek płaczących nut – jakby nie o swojej śmierci mówiła, lecz o wyborze najkrótszej drogi do sklepu. Wiedział, że jej nie przekona. Chyba że siłą.

Wybiła jedenasta wieczorem, gdy dorożka zatrzymała się pod komisariatem. Panna Herta Rossenbach wysiadła i podała Mockowi suchą, mocną dłoń. Latarnia gazowa wydobywała z mroku biel jej twarzy i czerń żałobnej sukni z białym wykrochmalonym koronkowym kołnierzykiem.

Spojrzał w jej zaczerwienione oczy. Były bez wyrazu – jak oczy człowieka, który bezmyślnie się zapatrzył w jakiś punkt.

Wysunęła dłoń z jego dłoni i wsiadła do drugiej dorożki, którą powoził przebrany za fiakra posterunkowy, podwładny szefa rewiru komisarza Friedricha Metza. To od niego miała odebrać narzędzie zemsty.

Drynda zniknęła już za rogiem, gdy od strony Frankfurter Strasse^[189] rozległ się ryk silnika. Skręcił stamtąd i pod komisariat zajechał daimler. Za kierownicą siedział Heinrich Cornelius Wirth, a na tylnej kanapie pomiędzy dwa potężne ciała Zupitzy i Smolorza wciśnięty był Richard Eckmann.

Mock ciężko usiadł obok kierowcy i spojrzał na niego. Wirth zamknął oczy i je otworzył. To oznaczało: „Mam farbę i chloroform”.

Eberhard odwrócił się do szczęśliwego posiadacza mieszkania przy Ohlauufer[190]. Doszedł go lekki swąd przypalonej skóry.

– Czeka na ciebie twoja ostatnia ofiara, Eckmann! Ma serce po prawej stronie, rozumiesz? Tylko tym razem zrób to, jak należy!

Pokazał mu bagnet, który ukrywał schowany w pochwie pod marynarką.

Eckmann skinął głową.

On nie porzucił jeszcze nadziei. W myślach widział drogę ucieczki.

Ruszyli ostro. Musieli dogonić Hertę wiezioną przez fałszywego dorożkarza.



W kostnicy panowałby zupełny półmrok, gdyby nie jedna słaba okratowana żarówka świecąca nad schodami. Komisarz policji Richard Eckmann zbliżył się ze swym bagnetem do leżącej na kamiennym stole panny Rossenbach. Oparł się o jego krawędź i uniósł dłoń ze śmiercionośnym narzędziem. Namacał obfitą pierś kobiety. Nie mógł się dłużej delectować tym dotykiem, bo krew zaraz napłynie mu do lędźwi i sparaliżuje jego członek potwornym bólem. Powoli opuszczał bagnet. Czuł gniew na wszystkie ladacznice świata i na ich bękarty.

Richard Eckmann tak właśnie, i tylko tak, określał nieślubne dzieci prostytuttek. Mówienie o „biednej dziecinie”, o wyrzutach sumienia, jakie niby miał po śmierci niemowlęcia – to było tylko mydlenie oczu, gra na zwłokę, kiepskie aktorstwo, na którym Mock się nie poznał. Co więcej, Eckmann wcale nie miał zamiaru oddać się w ręce wymiaru sprawiedliwości.

Od ciała leżącej Hertę biła woń chloroformu. Cukrzyk przez ułamek sekundy się zastanawiał, czy śmierć otumanionej chemicznie dziwki da mu taką samą satysfakcję, jaką czuł, gdy uwalniał świat od ladacznic, kiedy były w pełnej przytomności. I wtedy zrozumiał, że nie. Że pragnął ich bólu. Że śmierć w znieczuleniu nie jest godną zapłatą za ich podłe życie.

Odpędził tę myśl. Dostał w końcu od Mocka to, czego chciał – możliwość zniszczenia jeszcze jednej kurwy o zębach szczurzyca. Nie mógł się w tej chwili

o nic targować.

Zniżał bagnet, jego czubek już prawie dotykał jej skóry.

Teraz wymierzy dobrze, wie o anatomicznej anomalii tej suki.

Nie zdążył. Chwył, który unieruchomił mu ramię, mógłby kruszyć kamienie. Żelazne palce rozwierające mu pięść mogłyby łupać orzechy laskowe. Usłyszał jakiś nieartykułowany dźwięk – sapnięcie, a może chrząknięcie. Potem inne silne ramiona chwyciły go wpół.

Usłyszał zgrzyt w zamku dobiegający spod stołu, a potem przeraźliwy pisk zawiasów klapy w podłodze. Ktoś go popchnął i komisarz Richard Eckmann wpadł do piwnicy.

– Zamknij na kłódkę skurwysyna, Zupitza – usłyszał z góry głos Mocka. – A Hertę polej farbą!

Zazgrzytał zamek w klapie u góry. Eckmann zasyczał z bólu, wstając z kamiennej posadzki. Choć bolało go wszystko, śmiał się w duchu. Oszukał Mocka.

– Zaraz się stąd wydostanę – szeptał, przeszukując po omacku dobrze sobie znane kąty pomieszczenia.

Odsunął prawie niewidoczną kotarę w rogu i podszedł do drzwiczek. Otworzył je z piskiem zawiasów. Wionęła ku niemu wilgotna piwniczna woń.

Przed nim był korytarz. Prowadził pod cmentarzem i jego murem. A dalej znajdowała się kłapa, którą dało się otworzyć od środka zwykłym pchnięciem. Ponura legenda głosiła, iż korytarzem owym przechodzili do kostnicy sataniści, goście i przyjaciele Remusa von Woyrscha seniora, który to arystokrata, ojciec feldmarszałka Remusa tegoż nazwiska, słynął na całą okolicę z uprawiania pogańskich kultów religijnych.

Richard Eckmann, mimo że potwornie osłabiony po torturach, wcale nie chciał umierać. Wiedział, że gdy tylko się wydostanie z tego lochu i dotrze jakoś do Rynku, uciekając pogoni, gdy tylko zapuka do kamienicy Pod Złotym Psem, to

Reinhold von Schwast mu pomoże – jak kiedyś. No i może liczyć na Ammanna i innych *Kameraden*.

Kuśtykając i ciężko dysząc, dotarł do klapy. Podniósł ją lekko i odetchnął świeżym powietrzem.

Pomiot tej dziwki, którą właśnie niemal zakłuł, obchodził go tyle co szczur, który z lekkim piskiem otarł się wilgotnym futerkiem o kostkę jego nogi.



Nekrofil otworzył bramę na cmentarz i wszedł na jego teren pewnym krokiem. Widział wcześniej Eckmanna zmierzającego do kaplicy. Wszystko więc było w porządku.

Do kaplicy miał nie więcej niż sto metrów. Zmierał do niej nieco zgarbiony, trzymając się jedną ręką za nabrzmiałe krocze. Drugą schował w kieszeni surduta. Opuszkami palców gładził obcięty palec prosektoryjnej rękawiczki.

Otworzył drzwi kaplicy i zapalił światło. Tak, była na środku, leżała na kamiennym stole cała w ciepłej jeszcze krwi. Zaraz podniesie jej żałobną sukienkę i ujrzy pończochy na nogach – tak jak lubił.

Trząsł się z podniecenia. Podeszedł do martwej kobiety, podciągnął jej sukienkę. Po czym spuścił spodnie.



I wtedy otrzymał potężny cios w kark. Poleciał w przód, o coś się potknął, a potem runął jak długi na posadzkę. Czuł, że ktoś wkłada mu między zęby jakby drewniany kołek. A potem jakieś mocne palce wpychają mu do gardła śliski glut o smaku wosku.

Zazgrzytał zębami i rozgryzł to coś. Wtedy poczuł potworny ból. Jakieś ostre odłamki wbiły mu się w język i w podniebienie.

Usłyszał wolne kroki. W półmroku ujrzał czyjąś zwałistą, krępą postać.

– Twoje nazwisko? – usłyszał niski, tubalny głos.

– Otto Schlieps – wystękał zgodnie z prawdą, czując, jak okruchy szkła dostają mu się do gardła.



Richard Eckmann odsunął klapę i po szczeblach tkwiących w murze wyszedł na zewnątrz. Mimo boleści, jakie szarpały każdą tkankę jego ciała, był szczęśliwy. Zaczerpnął głęboko tchu i spojrzął na gwiazdy.

– No proszę, proszę – usłyszał znajomy głos. – Szczur wylazł z kanalizacji, panowie!

Do jego nozdrzy doszła woń waniliowego tytoniu Candela.

– Dla wszystkich będzie lepiej, Eckmann, jak palniesz sobie teraz w łeb – powiedział radca kryminalny Heinrich Mühlhaus, wyciągając ku niemu pistolet Mauser. – Jeden nabój. Ocalisz honor swój i wrocławskiej policji, a nad twoim grobem zagrają fanfary.

Eckmann odwrócił się gwałtownie. Za Mühlhausem stali dwaj rośli mężczyźni. W świetle księżyca rozpoznał Amelunga i Marona.

– Nie uciekniesz, Eckmann – ciągnął Mühlhaus. – Chłopaki do tego nie dopuszczą. Wiesz, co tam jest napisane, nad bramą cmentarza?

Eckmann zatrzymał przez chwilę wzrok na wyprostowanym ramieniu szefa, a potem spojrzął w górę.

– „Także cierpienie jest Bożym posłańcem” – przeczytał w nikłym świetle latarni.

– A powinno być... – Mühlhaus dotknął zimną ręką jego ramienia. – Powinno być „Porzućcie wszelką nadzieję”. Jak przed wejściem do piekła w poemacie Dantego.



Inspektor cmentarny Johann Reddermann płakał bezgłośnie, gdy widział, jak Mock i dwaj jego goryle wyprowadzają syna Eugena Schliepsa. Szli w stronę

zaparkowanego pod starą bramą samochodu. Zawarkotał silnik i odjechali.

Ale to nie było wszystko. Po kilku minutach Reddermann usłyszał strzał spod muru cmentarza, tam gdzie było tajne wyjście z kostnicy.

A potem usiadł przy sekretarzyku i zamoczył stalówkę w kałamarzu.

– Wszystko wiedziałem – dyktował sam sobie i pisał z lekkim szelestem po szorstkim papierze. – O wynaturzeniu Ottona Schliepsa, o mordowaniu przez Eckmanna niewinnych dziewcząt. Chowałem je po cichu na rozkaz ojca zbrojnego. Słyszałem kwilenie niemowlęcia w kostnicy, gdzie Schlieps junior je trzymał. I nic nie zrobiłem! Nic! Bo się bałem, bo chciałem mojego Theodora otoczyć ochronnym parasolem, chciałem mieć pieniądze na jego naukę. On taki zdolny! Czy dzisiaj, wskazując radcy kryminalnemu Mühlhausowi tajne przejście, zrehabilitowałem się? Nie i po stokroć nie!

Na papierze rozlał się kleks. Reddermann oderwał stalówkę od kartki pamiętnika i szepnął:

– Znikąd dla mnie nadziei!

Kwadrans później ciało dyrektora zawisło na cmentarnej bramie, która – według Mühlhause – winna być uznana za przedsionek piekła.

[183] Obecnie osiedle Biskupin.

[184] Obecnie osiedle Bierdzany.

[185] Obecnie osiedle Kozańców.

[186] Obecnie ul. Niedźwiedzia.

[187] Obecnie Popowice.

[188] Obecnie ul. Bałuckiego.

[189] Obecnie ul. Legnicka.

[190] Obecnie Wybrzeże Słowackiego.

XIV

Sit ei terra gravis[191]

OTTO SCHLIEPS BYŁ NIEŚLUBNYM DZIECKIEM bandyty Eugena Schliepsa oraz Fanny Weinberg, kucharki pracującej w ogrzewalni dla bezdomnych i alkoholików przy Wachtplatz[192]. Jego matka była bystrą, roztropną i ciężko pracującą kobietą. Ludzie nie mogli zrozumieć, jak to się stało, że kiedyś kompletnie straciła głowę i dała się uwieść groźnemu złodziejowi, który nosił się elegancko, po pańsku, i udawał dżentelmena włamywacza, podczas gdy był tylko okrutnym rabusiem.

Otto narodził się dziewięć miesięcy po tym, jak matka uległa owemu złodziejowi pod rampą Spółki Żelaznej Lindnera przy Jahnstrasse[193]. Działo się to rok albo dwa przed końcem wieku dziewiętnastego. Diennej daty nie znał ani on sam, ani jego rodzice.

Matka umarła bowiem na gorączkę połogową dwa dni po narodzinach dziecka, a ojciec od sześciu miesięcy siedział w więzieniu. Eugen Schlieps miał przed pójściem za kratki trzy kochanki naraz i nie pamiętał dokładnie, kiedy doszło do amorów pod rampą, a zatem nie wiedział, do jakiej datyiennej dodać dziewięć miesięcy ciąży.

Małościem zaopiekowała się koleżanka matki, Paula Saremba, kelnerka z pobliskiej karczmy Pod Wielorybem – niewiasta tyleż poczciwa, ile mocno zaawansowana w alkoholowej chorobie. Leżąc na łożu śmierci, matka Ottona wymusiła na Pauli, aby oznajmiła Eugenowi, iż dziecko umarło, a sama zajęła się jego wychowaniem.

Kobieta dotrzymała słowa. Wychowywała go przez kilka pierwszych lat życia i w końcu – gdy już od dawna chodził i mówił – postanowiła go ochrzcić.

Ksiądz Augustyn Kasperczyk, wikary z pobliskiego kościoła Świętego Mikołaja, nie mógł wydobyć od niej informacji, kiedy to dokładnie ów chłopiec się urodził. Przyjrzał mu się zatem, uznał, że dziecko ma cztery lata, i zapisał datę narodzin jako rok 1898, nie uwzględnivszy ani dnia, ani miesiąca. Przy okazji ksiądz został jego – nieco przymusowym – ojcem chrzestnym.

Paula Saremba starała się, jak mogła, dbać o chłopca, ale naprawdę wychowywała go ulica i jej proste, okrutne zasady.

Otto był chorowity, przygarbiony, brzydki i wiecznie cierpiał na jakąś wysypkę. Wyśmiewały go dziewczynki, a kopniakami odpędzały miejscowe łobuzy grasujące w tym zatęchłym kwartale brudnych od sadzy kamienic i krytych papą bud przeróżnego przeznaczenia.

Otto Schlieps był dzieckiem samotnym i obdarzonym bujną fantazją. Zimą przesiadywał w ogrzewalni dla bezdomnych i alkoholików, gdzie niegdyś pracowała jego matka, a latem włóczył się po chaszczach porastających brzeg pobliskiej Odry.

Jego życie dokonało zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni, gdy któregoś dnia w czasie tych wędrówek natknął się na łowiącego ryby księdza Augustyna Kasperczyka, a ten rozpoznał w nim swojego chrześniaka. Wikary wypytał chłopca o to i o owo, zbadał jego warunki życiowe i ku rozpaczy Pauli Saremby, która w pijanym widzie już nie odróżniała majaków od rzeczywistości – zgłosił go do adopcji radcy sierocemu odpowiedzialnemu za ten rewir.

Ów zaczął działać i w ciągu miesiąca, który Otto spędził w służbówce na plebanii, zidentyfikował i odnalazł ojca chłopca. W listopadowy wieczór roku 1908 do drzwi Kasperczyka zapukał Eugen Schlieps, przebywający na wolności od kilku miesięcy i pracujący jako laborant w prosektorium Instytutu Lekarsko-Medycznego przy Auenstrasse[194].

I wtedy w życiu chłopca wszystko się zmieniło.



Cmentarz parafialny Świętej Doroty był wąskim, długim i gęsto zadrzewionym terenem pomiędzy Steinstrasse[195], Rothsürbenstrasse[196] a cmentarzem parafialnym Świętego Maurycego.

Ciepłego majowego przedpołudnia odbywała się na nim tylko jedna ceremonia pogrzebowa, w której oprócz księdza uczestniczyło niewielu żałobników.

Nad grobem stało krzesło. Na nim siedziała młoda kobieta spowita w czerń. Nie widać było jej twarzy, zasłoniętej przez woalkę.

Oprócz niej znalazło się tam jeszcze pięć młodych i urodziwych kobiet ubranych w czarne sukienki i kapelusze. Towarzyszyła im jejmość w średnim wieku, niewysoka i pękata. Nieco dalej stało czterech nieodpowiednio, kolorowo ubranych mężczyzn o zaczepnym wejrzeniu i ruchliwych dłoniach ozdobionych sygnetami z tombaku. Trzymali w dłoniach nędzne i przywidłe nieco białe goździki.

Ostatni żałobnik nosił ciemnoszare spodnie i czarny surdut, z którego rozcięcia wystawał szeroki czarny krawat ze szpilką zakończoną perłą. Był średniego wzrostu, o atletycznej budowie i gęstych czarnych włosach.

To na niego spoglądał teraz ksiądz Adalbert Roter, wikary od Świętej Doroty. Czuł, że ów mężczyzna, który opłacił pogrzeb, był blisko związany z kobietą siedzącą na krześle i jej maleńką córeczką, którą właśnie chowano. Jego staranny sposób wysławiania się wskazywał na dobre wykształcenie, a zachrypnięty głos, podkrążone oczy i alkoholowo-tytoniowa woń na uleganie słabościom rodu ludzkiego.

– Chce pan coś powiedzieć? – zapytał ksiądz.

Eberhard spojrział na trumienkę, gdzie spoczywało ciało Bettiny Rossenbach. A potem na matkę dziewczynki.

Myślał przez chwilę. Czuł wyczekujące spojrzenia tych wszystkich wyrzutków społecznych. Rozumiał ich. Oni by chcieli, aby powiedział o Hercie Rossenbach, dzielącej jeszcze niedawno ich los, coś serdecznego, coś wzniosłego, coś, co zapadłoby im w pamięć i co powtarzaliby później w swych wspomnieniach.

Ale Mock nie chciał spełniać niczyich oczekiwań. Ani księdza, który zapewne chętnie by usłyszał coś pobożnego o życiu wiecznym, ani innych żałobników, do których musiałby mówić językiem prostym – że dziecko było zadbane, kochane nad życie... I patos, i prostota wydawały mu się tylko oprawą wypowiedzi, tylko formą. A do sedna nie potrafił dotrzeć, najtreściwszej treści nie potrafił uchwycić. Brakowało mu słów, nie starczało mu dzisiaj myślowej finezji.

Pokręcił przecząco głową i nie rzekł nic, jakby się bał, że jego słowa zginą w poszumie drzew, którymi nagle szarpnął porywisty wiatr.

Mock podszedł do grabarza, który stał nieco z boku z łopata. Chwycił za gruby konopny sznur, który biegł pod malutką trumną. Razem wolno i ostrożnie spuścili ją do dołu. Eberhard sięgnął po łopatę. Sucha ziemia uderzyła o drewniane wieko.

To było lepsze niż improwizowana mowa pogrzebowa. Regularny szelest łopaty nabierającej piach i jego stukot o drewniane pudło mówiły wszystko o marności świata i ludzkiego żywota.

Kiedy już trumienka została zasypana ziemią i kwiatami, Mock podszedł do nieruchomej kobiety siedzącej na krześle. Podał jej ramię.

– Odprowadzę panią, panno Rossenbach.

Matka pochowanego dziecka podniosła woalkę. Jej twarz była kredowobiała. Wyrzuciła z siebie kilka zdań, które natychmiast podchwycił wiatr i poniósł ku uszom żałobników:

– To ja miałam go zabić. Miałam być katem. A zostałam tylko przynętą. Precz! To jest moje pożegnanie z tobą, Mock!

– *Salve, regina, Mater Misericordiae...* – zaintonował ksiądz Roter. – *Vita, dulcedo et spes nostra, salve!*^[197]

Nikt nie podchwycił pieśni. Jedyna osoba, która rozumiała jej łacińskie słowa, miała krtań ściśniętą, a szczęki skamieniałe – wszystko po to, aby w tym białym topolowym śniegu nie wykrzyczeć straszego bluźnierstwa przeciwko Królowej Miłosierdzia i Nadziei.



Tej nocy Otto Schlieps przespał nie więcej niż dwie godziny. Nie mógł zasnąć wcale nie z powodu bólu, który przeszywał jego usta i przełyk ostrymi falami. Nie, takie bóleści nie przeszkadzały mu we śnie; bez trudu przewycięzał je jego osobliwy talent, objawiony już w dzieciństwie, do zasypiania na zawołanie jak kamień w każdych okolicznościach.

Schlieps junior nie mógł zasnąć, bo dręczył go niepokój. Lekarze i pielęgniarki nie powiedzieli mu, dlaczego zwykłe skaleczenie – owszem, bolesne i raniące gardło – wymagało leczenia w jednym z najlepszych wrocławskich szpitali, czyli w Szpitalu Cesarzowej Augusty przy Blücherstrasse[198].

Kiedy ich pytał, czy jego rana jest poważna, odpowiadali, że tak i że czeka go operacja. Nie wierzyli, że ktoś mu wepchnął do gardła jakieś szkło, które wywołało zakażenie. Nie przyjmowali do wiadomości, że ktoś wlał mu do gardła spirytus i porzucił w stanie kompletnego upojenia pod Dworcem Głównym. Nie miał żadnych dowodów na istnienie krępego mężczyzny, którego – z powodu mroku w kostnicy – nie miał szans nigdy rozpoznać.

W czasie żrącej bezsenności analizował swoje postęпки. Nie rozumiał, dlaczego ludzie czuli odrazę wobec tego nieszkodliwego aktu, podczas którego on przecież nikogo nie krzywdził.

– Eckmann i tak by te kobiety zabijał – usprawiedliwiał się sam przed sobą. – Bo on nienawidził prostytutek. Nie robił tego dla pieniędzy, które mu płaciłem!

Wyrzuty sumienia mówiły mu jednak:

„Przestań się usprawiedliwiać! Zawarłeś z Eckmannem pakt! Pakt zbrojeńców. Gdyby nie twoja dewiacja, to maleństwo przecież by żyło! Byłoby przy matce, a ona zapewne by wiedziała, co robić, gdy dziecko nagle w nocy zaczyna się krztusić!”.

Takie myśli przejmowały młodego nekrofila najpierw słabym, a z dnia na dzień coraz silniejszym niepokojem. Starał się go zagłuszyć, wzbudzając w sobie fale optymizmu.

– No dobrze, jestem chory – mówił do siebie. – Może to coś poważnego... Niech będzie. Przecież jestem pod opieką najlepszych lekarzy. Operacja na pewno się uda!

Aby się utwierdzić w tym przekonaniu, patrzył na szpitalne *separé*. Swym eleganckim wystrojem przypominało raczej mały salonik. Stojący pod ścianą stolik przykrywała serweta, a na niej stał wazon, w którym salowa co trzy dni zmieniała kwiaty. Umieszczony na kółkach blat podjeżdżał codziennie pod brodę leżącego i nęcił nozdrza zapachem smakowitych, specjalnie opłaconych i przyrządzanych dlań zup i budyniów. Przez wielkie drzwi mógł przed snem wyjść na balkon, aby posłuchać odgłosów nocnego ogrodu. Separatka przypominała raczej górski pensjonat niż pokój cierpień. Ojciec – mimo synowskich feblików – nie żałował mu na ten szpitalny luksus, a młoda macocha wykonywała wszystkie jego nakazy wydawane z więzienia.

Po kilku dniach wszystko się zmieniło. W jednej z wielu bolesnych chwil zrozumiał, że ani jedzenie, ani sen nie są czymś danym mu na zawsze. Doznawał bowiem dziwnego szczękościsku, który uniemożliwiał mu przełykanie nawet papki, jaką go karmiono. W nocy zamiast senności brał go w swe władanie niepokój i natłok myśli.

Do tego doszły dziwne, niekontrolowane skurcze mięśni. Najgorsze było mrowienie, które przebiegało przez jego gardło i między łopatkami. Wyskakiwał wtedy z łóżka, podciągał koszulę i szukał biegających po nim owadów. Nie znalazłszy ich, siadał ciężko przy umywalce, odkręcał kran i lał sobie na łeb zimną wodę.

A potem walił się w mokrą pościel i czekał, aż nadejdzie ból puchnący w gardle.

I nadchodził.



Pogrzeb Eckmanna, który się odbył kilka dni po ceremonii na cmentarzu Świętej Doroty, właśnie się kończył.

W głowie Eberharda Mocka huczała jeszcze tradycyjna pieśń *Ich hatt' einen Kameraden*[199], odśpiewana przez chór policjantów z prezydium.

On sam jej nie śpiewał. Stał oparty o drzewo i palił papierosa. Czuł, jak alkohol, który właśnie przełknął, przyjemnie pali mu gardło. Uśmiechał się sam do siebie.

Już dawno przebrzmiały salwy z karabinów, a wiatr porwał słowa pochwał i przemówień. Wokół grobu, pokrytego kwiatami i szarfami, zrobiło się pusto; nie było nikogo, komu można by złożyć kondolencje. Komisarz policji Richard Eckmann, który – jak głosił oficjalny komunikat dla prasy – przypadkiem sam się postrzelił, nie miał żadnej rodziny.

Po chwili pod wielkimi tujami, w miejscu, gdzie przecinały się główne dukty cmentarza komunalnego przy Gräbschener Strasse[200], pozostało tylko dwóch mężczyzn: Eberhard Mock i Heinrich Mühlhaus.

Szef inspekcji kryminalnej podszedł wolno do zasypanego wieńcami grobu. Z jego ust wyleciała gęsta zawiesina. Plwocina łagodnym łukiem opadła na szarfę z napisem: „Byłeś naszym przyjacielem, cześć Twojej pamięci. Koledzy ze Związku Śpiewaczego Arion”.

– Co? Wyrzuty sumienia? – zapytał Mock. – Niepotrzebnie, przecież nie wygłosił pan mowy, inspektorze...

Nigdy by sobie nie pozwolił wobec Mühlhause na tak zuchwałą i protekcjonalny ton, gdyby nie ośmielił go kolejny palący łyk dereniówki.

Szef inspekcji kryminalnej odwrócił się do niego gwałtownie, jakby chciał zgromić jego bezczelność. Opanował się jednak.

Wyjął fajkę i zaczął ją nabijać tytoniem.

– Prezydent policji ma mi to za złe – odpowiedział powoli. – Wydał mi rozkaz wygłoszenia pochwały Eckmanna, a ja odmówiłem. Ale to nie był żaden wielki akt

odwagi, Mock! Prezydent Lewald niedługo już się z nami pożegna. Łatwo takiemu odmówić, prawda?

– Tak. – Eberhard spoważniał. – Ja też pewnie nie stałbym z drwiącym uśmiechem pod drzewem... Nie paliłbym w czasie pogrzebu i nie pozwoliłbym sobie na pusty śmiech... – Spojrzał w oczy Mühlhausowi. – Gdybym nie wiedział, że pan inspektor podziela moje uczucia!

Mühlhaus wydmuchnął kłęb dymu.

– Moje uczucia są nieważne, Mock – rzekł twardo. – A pan zbyt dużo pije. To może być przeszkodą w pańskiej karierze.

Eberhardowi ta uwaga wydała się tak błaha, tak nieistotna wobec tego żniwa śmierci i wobec ostatniego tchnienia dziecięcia, że już chciał bluzgnąć jakimś szyderstwem. Nie zrobił jednak tego, bo nagle usłyszeli szelest kroków na piaszczystej alejce. Odwrócili głowy.

Eugen Schlieps szurał po piachu więziennymi buciorami, z których wystawały jego skute łańcuchem kostki nóg. Był ubrany w gruby szary drelich. Obok niego szło dwóch posterunkowych w czakach ozdobionych srebrną gwiazdą.

Borsuk kiwnął głową Mühlhausowi i Mockowi. Na jego twarzy wciąż widniały sińce, pamiątki po spotkaniu pod pralnią Alpejska Szarotka z duetem Wirth & Zupitza.

– Pozwolić mu! – Inspektor wydał rozkaz strażnikom. – Niech robi, co chce!

– On o to prosił. – Spojrzał na zdumionego Mocka. – On pisał z więzienia. Prosił, by pozwolić mu się pożegnać z Eckmannem, a potem wszystko nam wyjaśni. Najbardziej wstydlive sprawy.

Schlieps podszedł do grobu i stanął na szeroko rozstawionych nogach. Skutymi w kajdanki rękami rozpiął spodnie. Po chwili strumień jego moczu bił po wieńcach i szarfach.

Zapiął rozporek i podszedł do Mocka i Mühlhausa.

– Naprawdę nazywał się Hecht – rzekł jakby do siebie. – Richard Hecht. Siedzieliśmy razem na Kletschkau Strasse[201]. On był niewinny, wyszedł po kilku

latach, papuga był dobry. Wojskowy... Wybronił go. Hecht wyszedł i jako Eckmann rozpoczął policyjną karierę. Nie zapomniał o koleżkach spod celi, ale o swojej przeszłości chciał zapomnieć. – Nabrał tchu. – Jakaś dziwka od „mamy” Berger chciała mu odgryźć kutasa. On tę dziwkę zabił. Był katem prostytutek, żadnej nie przepuścił, mścił się za swoją fujarę...



Mock przypomniał sobie sekcję zwłok Richarda Eckmanna. Doktor Lasarius trzyma w dłoni zakrwawiony skalpel i wolno dyktuje swojemu asystentowi:

– Zbliznowacenia wokół członka. Kiedy doznawał erekcji, te blizny nie pozwalały przepływać krwi. Ból był bardzo dotkliwy, denat nie był zdolny do współżycia seksualnego...



– Czemu naląłeś mu na grób, Schlieps? – zapytał Mock.

– To był łajdak – mówił Borsuk w zamyśleniu. – Przychodził do prosektorium, gdy tam pracowałem. Zakumplowaliśmy się trochę. Czasami towarzyszył mi syn. Eckmann wszedł kiedyś do kibla i ujrzał, jak mój Otto popełnia grzech prawiczków. Powiedział mu: „Po co walisz konia, tu można sobie dobrze podymać, tylko trzeba trochę wazeliny”. Pokazał mu, jak to robić, i obiecał kupować mu prezerwatywy, a jeśli go przypili i nie będzie miał żadnej pod ręką... Niech obetnie paluch od rękawiczki. To był diabeł. Sam nie mógł, więc innych zachęcał!

Przez chwilę milczał.

– To się spodobało mojemu synowi... Aż za bardzo mu się spodobało. Eckmann niedawno mi groził, że wyda bezceństwa juniora. Wziąłem je na siebie i wylądowałem w kiciu. To był diabeł. Mocz mu na grób.

– Każdy coś robi dla własnego dziecka, o ile je ma... – rzekł Eberhard.

Teraz i on splunął na stos kwiatów.

– *Sit ei terra gravis!* – To były ostatnie jego słowa tego dnia. – Niech mu ziemia ciężką będzie!

Potem siedział w milczeniu kilka godzin nad brzegami pobliskiej rzeki Ślęzy. I pił, pił, aż pograżył się w odmętach zapomnienia.



W chwili gdy Schlieps senior w poczuciu słuszności bezcześcił grób Eckmanna, jego syn szarpnął za zasłony i otworzył okno w swym eleganckim *separé* na pierwszym piętrze Szpitala Cesarzowej Augusty. Do pomieszczenia wlało się światło i odgłosy nieodległej ulicy.

Ten hałas i ostre promienie słońca przeniknęły Ottona i jakby utkwily w jego kręgosłupie jak kolce.

Czuł, jak się ściągają mięśnie jego twarzy, jak lekki powiew wiatru zaczyna mu osuszać oślinione zęby, które odsłonił jak rozdrażniony pies. Skóra na twarzy mu posiniała, a głowę pokrył zimny pot.

Mięśnie pomiędzy żebrami zwarły się i uniosły płuca. Przepona spłaszczyła się i rozciągnęła jak worek. I tak wszystko zastygło w śmiertelnym skurczu.

Otto Schlieps wziął ostatni wdech, ale wydechu już zrobić nie zdołał.

[191] Niech mu ziemia ciężką będzie (łac.).

[192] Obecnie pl. Solidarności.

[193] Obecnie ul. Sokolnicza.

[194] Obecnie ul. Mikulicza-Radeckiego.

[195] Obecnie ul. Kamienna.

[196] Ta ulica, łącząca dzisiejszą Kamienną i Wieczystą, już nie istnieje.

[197] Witaj, królowo, Matko Miłosierdzia! Życie, słodyczy i nadziejo nasza, witaj! (łac.).

[198] Obecnie ul. Poniatowskiego.

[199] Miałem towarzysza broni (niem.).

[200] Obecnie ul. Grabiszyńska.

[201] Obecnie ul. Kleczkowska.

EPILOG

15 maja 1919 roku



WROCLAW

ASYSTENT POLICYJNY EBERHARD MOCK wstał z ławki stojącej przed Instytutem Lekarsko-Sądowym, który z policyjnego punktu widzenia był najważniejszą jednostką naukową wydziału medycznego wrocławskiego uniwersytetu. Wrzucił do kubła na śmieci pustą butelkę po dereniówce. Myślał o słowach doktora Wolfganga Lasariusza zarzucającego mu, że jest mordercą Ottona Schliepsa, leżącego teraz na prosektoryjnym stole.

Chwiejnym krokiem wrócił do *theatrum anatomicum*. Kiedy ujrzał medyka, w głowie zahuczały mu niedawno wypowiedziane przez niego słowa: „Wie pan, co jest najgorsze w tej całej tragicznej sprawie? Że pan podaje w wątpliwość rację mojego działania, a ono jest racją mego istnienia. Po co mam kroić tego nieszczęsnego nieboszczyka, Mock? Po co mam wykonywać moją pracę, jeśli obaj wiemy, co zobaczymy w środku? Niech no pan mi powie, do czego ja jestem tutaj potrzebny? Pan nie potrzebuje mojej ekspertyzy, pan wszystko wie, bo to właśnie pan go zabił!”.

Mock stanął obok stołu sekcyjnego i patrzył na ciało młodego człowieka wygięte w nieprawdopodobny łuk. Poczł nagle duszącą woń cygara.

– Jestem panu winny wyjaśnienie, doktorze. – Spojrzał na Lasariusza. – Kiedy byłem ostatnio u pana... No wie pan, wtedy, z samego rana... Byłem pijany, pamięta pan. Pański portier Kuchciok zatroszczył się o mnie...

– Do rzeczy, Mock! – rozzłościł się medyk.

Wydawało się, że Eberhard nie słyszy tego ponaglenia. Patrzył podejrzliwie na mleczone szyby sali, jakby obawiał się, że ktoś może za nimi stać i podsłuchiwać. W poszukiwaniu wrogich uszu i oczu spoglądał też na pulpity i szufladki katalogu.

– Zapytałem pana wtedy o tak zwane więzienne połyki – odezwał się w końcu. – W jakiej substancji, w jakim opakowaniu umieścić jakiś ostry przedmiot, aby po połknięciu... Aby owa substancja się rozpuściła, a przedmiot poranił żołądek albo przełyk. Prawda? O to pytałem?

– Myśli pan, że mam amnezję? – zapytał ostro Lasarius. – W odróżnieniu od pana mało piję!

– Gliceryna. – Mock puścił mimo uszu tę cierpką uwagę. – Tak mi pan powiedział. Gliceryna się rozpuszcza pod wpływem temperatury ludzkiego ciała. Poszedłem do znajomego lekarza i bakteriologa, człowieka o moralności co najmniej wątpliwej...

– Chyba znam tego człowieka – wtrącił Lasarius.

– A on zrobił to, co mu poleciłem – prychnął Mock, jakby tym odgłosem chciał okazać pogardę niemoralnemu człowiekowi, o którym mówili. – To, o co mnie prosiła nieszczęsna kobieta, której dziecko porwał Eckmann, a zabił ten dewiant przez swe zaniechanie.

Medyk nagle się uspokoił – jak zawsze, gdy ciekawość naukowa zwyciężała emocje.

– No i co to było w tej glicerynie? – zapytał.

Mock milczał.

– No tak! – Szef instytutu uderzył się w czoło. – Epstein włożył te cieniutkie szkiełka z toksyną wytworzoną przez zarodnikujące bakterie *Clostridium tetani*... W glicerynowy czopek. Ale po co to było tej kobiecie?

– Chciała umieścić ten tężcowy granat wewnątrz siebie – odparł Mock. – A kiedy to bydlę... – Wskazał na Schliepsa juniora. – Wraziłoby w nią swój narząd, toby się dotkliwie skaleczyło i zaraziło tężcem... Taka byłaby jej zemsta.

– Ależ wtedy i ta kobieta by się zaraziła! – zakrzyknął medyk.

– Ona tego chciała, doktorze. Ona chciała umrzeć. Ale na to nie pozwoliłem. Moi ludzie ją uspili, zanim wepchnęła w siebie glicerynę ze stłuczonym szkłem z bakteriami tężca...

– A jak ten czopek dostał się do ust Schliepsa juniora?! – zawołał zdumiony lekarz.

Eberhard uśmiechnął się i rozłożył bezradnie ręce.

– A skąd mnie to wiedzieć?

– Jest pan mordercą, Mock!

Doktor Lasarius nagle zmienił się na twarzy. Napłynęła na nią czerwień gniewu.

– Nie wiedziałem, że pan wykorzysta te wiadomości, aby kogoś uśmiercić! – krzyknął. – Nie wiedziałem! Przez pana i ja jestem zamieszany w morderstwo, Mock!

Eberhard spojrział na niego kamiennym wzrokiem.

– Gdyby nie dewiacje tego bydlęcia – wskazał głową zimnego pacjenta – żyłoby małe dziecko. – Odetchnął. – Spotkała go zasłużona kara. Jeśli już, to jest pan zamieszany nie w morderstwo, ale w zemstę, doktorze. W sprawiedliwą zemstę! Albo w mniejsze zło, jak pan woli!

Czerwona twarz Lasariusza omal nie pękła z furii.

– Idź pan do swojego pięknego apartamentu, Mock! Idź i pomyśl, jak wykorzystałeś moją wiedzę i moją dobrą wolę! Bo chyba podziwiasz Odrę i Oławę z Ohlaufer[202], co? Masz reprezentacyjne mieszkanie po śmierci Eckmanna, co? Była ci ona na rękę, nawet nie zaprzeczaj! Mühlhaus mi mówił, że oprócz Eckmanna to pan najwięcej się zasłużył w wyjaśnienie sprawy Behringera! To jak? Uwił pan tam sobie gniazdko z panną Hertą Rossenbach? Wszak jest ona coś panu winna za ocalenie życia...

– Na pogrzebie córki panna Rossenbach pożegnała się ze mną raz na zawsze. Od dziś pracuje z dziećmi u radcy sierociego Wittiga. A ja... No cóż. Oddałem to mieszkanie fundatorowi. Nie chcę tam mieszkać, z każdego kąta słyszałbym kwilenie dziecka...

Mock miał nadzieję, że jego gest zyska mu choć częściową przychylność doktora.

Nadzieja była płonna. Twarz medyka stała się purpurowa.

– Nie udawaj teraz człowieka honoru! Nie chcę cię więcej znać, Mock!

Policjant uśmiechnął się krzywo.

– Jest pan doktor trzecim oprócz Herty człowiekiem, który nie chce znać Eberharda Mocka.

– A kto jest pierwszym?

– Ja – odparł Mock. – Nie chcę już dłużej znać siebie samego. Najchętniej bym się pożegnał sam ze sobą.

$$\frac{13}{50} / \frac{29}{05} / \frac{20}{22}$$


*Powieść ukończyłem
dnia 29 maja 2022 roku
o godzinie 13.50.*

[202] Obecnie Wybrzeże Słowackiego.

POSŁOWIE

POWIEŚĆ, KTÓRĄ ŁASKAWY CZYTELNIK właśnie (z satysfakcją, mam nadzieję) przeczytał, jest autorskim pożegnaniem z Eberhardem Mockiem, bohaterem, który od roku 1999, z przerwą w latach 2011–2015, występuje w mojej literackiej biografii. Jest on protagonistą dwunastu moich książek, współbohaterem jednej (*Głowa Minotaura*) oraz postacią poboczną w *Rzekach Hadesu*. Ponieważ zaprzyjaźniłem się z Ebim i często o nim myślę jako o rzeczywistej osobie, pozwolą Państwo, że go ożywię w następnych zdaniach tego *Posłowa*.

Otóż zakomunikowałem mu powody naszego literackiego rozstania, podsumowując je łacińską sentencją *Tempora mutantur nos et mutamur in illis* (czasy się zmieniają, a my zmieniamy się wraz z nimi; dosłownie: „w nich”). Moją decyzję przyjął z łagodną ironią i ze stoickim spokojem. Wydaje mi się, że po cichu się spodziewa (na co się raczej nie zanoszi), iż kiedyś powołam go znów do życia, aby tropił morderców w zaułkach Wrocławia.

Od postaci fikcyjnych przejdźmy do rzeczywistych.

Przy pisaniu *Błagania o śmierć* mogłem liczyć na pomoc wielu osób. Wśród nich byli wybitni specjaliści z zakresu medycyny sądowej (Jerzy Kawecki, Łukasz Szleszkowski), kryminalistyki (Paweł Leśniewski) i medycyny ogólnej (Robert Krawczyk). Dzięki nim rozwijałem i modyfikowałem tak wyraźnie widoczne w tej książce wątki nekrofilskie, funeralne i medyczno-sądowe.

I te motywy, i wszelkie inne byłyby ubogie oraz pozbawione historycznego i obyczajowego tła, gdyby nie mrówcza praca mojego literackiego eksploratora Mikołaja Kołyszki, który w przeróżnych materiałach i w czeluściach internetu znajdował dla mnie arcyważne informacje z bardzo szerokiego spektrum: od zwyczaju chowania podrzutków pod murem cmentarnym poprzez relację z oszukańczych walk bokserskich do cen produktów żywnościowych, zmieniających się na początku lat dwudziestych w tempie zastraszającym.

Liczne poprawki natury narracyjnej zgłosili moi redaktorzy i eksperci literaccy. Redaktorka Karolina Macios zapoznała się z planem powieści i wprowadziła doń wiele ważnych uzupełnień, intensyfikujących i twórczo komplikujących zlekceważone nieco przeze mnie w zarysie całej historii relacje uczuciowe Eberharda Mocka z ojcem oraz z Hertą Rossenbach. Redaktor Zbigniew Kowerczyk wnikliwie tropił błędy i nieścisłości fabularne oraz – za co mu jestem szczególnie wdzięczny – ocalił Hertę Rossenbach, którą w pierwszej wersji powieści bezdusznie uśmierciłem. Znamca powieści sensacyjnych Maciej Lamparski zapoznał się z powieścią dwukrotnie, w punkcie wyjścia (plan) i dojścia (pierwsza wersja), i zgłosił liczne poprawki, tępiąc bezpardonowo moje wybujałe – niekiedy „zahaczające o *science fiction*”, jak się ekspresyjnie wyraził – narracyjne fantazje. Językową stroną książki zajęła się redaktorka Katarzyna Mach, która nie ograniczyła się jedynie do wyłuskiwania błędów gramatycznych, stylistycznych, do skreślania powtórzeń i błędnych fraz, ale tu i ówdzie dorzuciła trafne uwagi rzeczowe (szczególnie doceniam jej spostrzeżenie, iż w Wielki Czwartek w kościołach milkną dzwony).

Za życzliwą pomoc wszystkim wymienionym powyżej osobom bardzo dziękuję i oświadczam, iż za wszelkie błędy^[203] tylko ja jestem odpowiedzialny.

Marek Krajewski

[203] Pod adresem mrkkrajwsk@gmail.com czekam na listy uważnych Czytelników, którzy by w *Błaganiu o śmierć* dostrzegli jeszcze jakieś błędy.

**Książki Marka Krajewskiego o Eberhardzie Mocku
(według chronologii wydarzeń)**



Mock. Pojedynek

Mock

Mock. Ludzkie zoo

Widma w mieście Breslau

Mock. Golem

Dżuma w Breslau

Koniec świata w Breslau

Moloch

Diabeł Stróż

Śmierć w Breslau

Głowa Minotaura

Festung Breslau

**Książki Marka Krajewskiego o Edwardzie Popielskim
(według chronologii wydarzeń)**



Dziewczyna o czterech palcach

Pomocnik kata

Liczby Charona

Miasto szpiegów

Rzeki Hadesu

Czas zdrajców

Głowa Minotaura

Erynie

W otchłani mroku

Arena szcurów

Władca liczb

Spis treści:

Karta tytułowa

PROLOG

WROCŁAW

- I. Przed atakiem
- II. Śmiertelny cios
- III. Na trzeźwo
- IV. Przemocą
- V. Wyjść z mgły
- VI. Zboczeniec
- VII. Rekonstrukcja zdarzeń
- VIII. Ohydnicie cmentarne
- IX. Triumfalne fanfary
- X. Dziewczyna i kanibal
- XI. W górę po zboczu
- XII. Pani Zemsta
- XIII. Znikąd nadziei
- XIV. Sit ei terra gravis

EPILOG

POSŁOWIE

Karta redakcyjna

Projekt okładki
Monika Drobnik-Słocińska

Zdjęcie na okładce
everettovrk (Adobe Stock)

Opieka redakcyjna
Dorota Gruszka

Redakcja
Zbigniew Kowerczyk
Karolina Macios

Adiustacja
Katarzyna Mach

Korekta
Barbara Gąsiorowska
Aurelia Hołubowska

Copyright © by Marek Krajewski
© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2022

ISBN 978-83-240-6628-5

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com